

SONIA ROSA

# MANIPULANTKA

Czego możesz spodziewać  
się po swojej najlepszej  
„przyjaciółce”?

Wszystkiego  
najgorszego...



FILIA

SONIA ROSA

# MANIPULANTKA

FILIA

„Kobieta chlubi się tym, że jest kochana, chełpi się tym wobec innych kobiet, aby obudzić w nich zazdrość”.

Otto Weininger

## 1. IWONA

Patrzę na Annę. Przyglądam się jej uważnie, studiuję każdy jej gest, chłonę ją całą sobą. Nie wiem czemu, ale odkąd ją poznałam, jestem nią totalnie zauroczona. Chcę być taka jak ona, choć wiem, że nigdy nie będę, i to boli mnie czasem tak mocno, że z trudem oddycham... Ona chyba wie, że jestem nią zafascynowana w sposób, który ociera się o jakąś obsesję, ale nigdy mi tego nie wytknęła. Przyjaźnimy się, może nawet jesteśmy nierozłączne, co sprawia, że moje nowe życie nie wydaje się aż tak nieznośne, jakie mogłoby być bez jej obecności.

Siedzimy na rampie załadunkowej na tyłach drogerii, w której obie pracujemy, i korzystając z chwili przerwy i nieobecności właściciela – otyłego, oślizgłego i obleśnego pięćdziesięciolatka Włodka Żbika, wystawiamy twarze do słońca. Maj zaczął się koszmarnie – ziąb, poranne mgły i przenikliwa wilgoć odbierały mi całą radość życia, ale w końcu zrobiło się cieplej, a ja mogłam cisnąć do kosza z brudną bielizną zmechacony szary sweter z golfem, który na przemian z tanią bluzą z nadrukiem w róże nosiłam niemal przez całą wiosnę.

– O czym myślisz? – odzywa się nagle Anna.

Sekundę później ciska na beton niedopałek, wdusza go w niego czubkiem znoszonej jasnoróżowej tenisówki, zeskakuje z rampy, na której się umościłyśmy, i kilkakrotnie porusza głową na boki, jakby chciała ulżyć zeszywniałemu karkowi.

– O niczym. – Wzruszam ramionami i w sumie nawet nie kłamię.

Myślami błędziłam w końcu jedynie wokół kolacji, kupna borówek amerykańskich, o które poprosiła mnie córka, i wizji całego tygodnia w pracy – teraz, w poniedziałek, świat, mimo świecącego słońca, wydaje się kompletnie wyprany z koloru.

– Rozchmurz się i pamiętaj, że w sobotę znowu pójdziemy potańczyć.  
– Anna posyła mi uśmiech i poprawia gęste, ciemne włosy, w których mimo jej wieku i ich naturalnego koloru nie srebrzy się ani jedna nić zdradzieckiej siwizny.

A przecież jesteście równolatkami, obie niedługo skończymy trzydzieści osiem lat. Ale ona sprawia wrażenie kogoś, kogo czas się nie ima... Ze swoją niespożytą energią, idealną figurą nastolatki, burzą czarnych włosów i tymi wielkimi, sarnimi oczami nadal przyciąga męskie spojrzenia, wciąż ma to coś. Czasem, kiedy widzę jej czar, pewność siebie i hiszpański typ urody, czuję zazdrość, która szybko przeradza się w wyrzuty sumienia. Kocham ją jak siostrę, jesteście przecież najlepszymi przyjaciółkami. Nie powinnam jej zazdrościć, ale czasem to silniejsze ode mnie... Poznałyśmy się dwa lata temu, tu, w tej pracy – wtedy obie świeżo rozwiedzione, w dodatku samotne matki. Nasze córki są w tym samym wieku, niedawno skończyły szesnaście lat, co uznałam kiedyś niemal za przeznaczenie – jesteście takie podobne, tak wiele nas łączy – powiedziałam któregoś wieczoru do Anny, a ona szeroko się uśmiechnęła.

Nie była to jednak prawda, przynajmniej nie tak do końca. Bo nawet jeśli jej obecna sytuacja życiowa jest lustrzanym odbiciem mojej (ją też zostawił mąż i musiała iść do marnie płatnej, ciężkiej pracy), stanowią tylko bladą kopię Anny, jej marną podróbkę – z moimi cienkimi włosami, długim, ostro zakończonym nosem i patykowatymi nogami. Z oczami koloru wyblakłego błękitu, które nie przyciągają męskich spojrzeń tak intensywnie jak magnetyczny, hipnotyzujący wzrok Anny jestem tylko szarą myszą przy królowej piękności. Staram się jednak, żeby nie zaślepiła mnie zazdrość, choć bywa to trudne, a czasem niewykonalne. Kocham Annę jak siostrę, wspieramy się. Obie bez kasy i perspektyw na lepszą pracę gniewamy się w ciasnych mieszkankach, a łzy upokorzenia co wieczór wsiąkają w nasze pachnące tanim płynem do prania poduszki. Ale Anna płacze znacznie rzadziej niż ja. Mówi, że już się przyzwyczaiła i czasem nawet lubi

swoje nowe życie. Nie rozumiem jej, szokuje mnie jej infantylny optymizm i totalna beztroska. Kiedyś miała przecież przestronną willę pod lasem, męża architekta i bezpieczny status żony z modnego przedmieścia. Naprawdę wystarcza jej do szczęścia to, co ma teraz? – zastanawiam się, podczas gdy ona się przeciąga, posyła mi uśmiech i stwierdza, że czas wracać do kieratu.

Zeskakuję więc z rampy, omijam rozładowane niedawno przez nas palety, z których własnoręcznie przeniosłam na magazyn kilkanaście paczek pieluch, papieru toaletowego i kremów przeciwsłonecznych, a później przekraczam ciężkie metalowe drzwi i wracam do klimatyzowanego świata drogerii Koniczynka.

– Nienawidzę tego miejsca – szepczę Annie na ucho, kiedy ramię w ramię idziemy wzdłuż regału z chemią gospodarczą.

– Ja też, ale staram się zbyt często o tym nie myśleć. Po co się nakręcać? – Moja przyjaciółka lekko wzrusza ramionami i posyła mi promienny uśmiech. – Są też plusy, prawda? Mamy zniżkę na szminki i lakiery do paznokci i nie musimy wstawać bladym świtem, jak to bywa w spożywczych dyskontach – dodaje lekkim tonem, zanim rusza w stronę kas, żeby zmienić siedzącą tam i jak zawsze naburmuszoną Tośkę.

Jest w niej taka lekkość, ma w sobie coś z baletnicy. Nawet tu, w oświetlonej ostrym jarzeniowym światłem Koniczynce, sprawia wrażenie kogoś, kto potrafi cieszyć się życiem, płynie przez nie, niesiona przyjazną falą. Ja z kolei grzęznę w tej nudnej, pozbawionej perspektyw codzienności, zapadając się w każdy kolejny dzień niczym w gęste, mlaszczące błoto...

Trzy godziny później robię sobie kolejną krótką przerwę i w pośpiechu jem ulubiony proteinowy baton.

– Szef podjechał – szepcze mi na ucho Tośka, zerkam więc w stronę przeszklonej, wychodzącej na parking witryny i widzę gramolącego się ze swojej kilkuletniej toyoty Żbika, który pewnie lada moment zacznie obchód swoich włości, przy okazji się o nas ocierając, niby niewinnie, przypadkiem, a jednak obleśnie.

Zawsze spocony pod pachami, jakby nie słyszał o istnieniu antyperspirantów, którymi sam przecież handluje, z zaczesanymi gładko rzadkimi i rudawymi włosami połazi przez chwilę między regałami, zagadnie pracownice i ostatecznie zaszyje się w swoim mikroskopijnym biurze, gdzie będzie żarł nerkowce, oglądał durne filmiki na YouTubie i udawał, że nad czymkolwiek panuje, chociaż przecież to my odwalamy niemal całą robotę, nie licząc księgowości, którą ogarnia jakaś jego długoletnia znajoma...

– Tośka mówi, że starego złapały korzonki – donosi mi Anna, kiedy po przerwie rozkładam na półce świeżą dostawę męskich dezodorantów.

– Czyli pewnie jest wściekły – wnioskuje, wdzięczna losowi za to, że stary nadal siedzi w swojej dziupli i nie wyściubia nosa z biura.

Anna chce coś odpowiedzieć, ale w tym samym momencie do drogerii wchodzi wysoki, ciemnowłosy facet koło czterdziestki i od razu skupia całą swoją uwagę wyłącznie na niej.

– Wpadnie człowiek po szampon, a tu takie piękności pracują – rzuca, a ona wybucha kokieteryjnym, perlistym śmiechem. – Czy popełnię nietakt, zapraszając panią na kawę? – Facet zniża głos i podchodzi bliżej nas, teraz wyraźnie czuję morski zapach jego wody kolońskiej.

Jest elegancki, powiedziałabym: wymuskany i naprawdę świetnie ubrany. Ma zdrową cerę, świeżo przystrzyżone ciemne włosy i nawet śladu po obrączce na palcu.

– Chyba nie powinnam umawiać się z klientami – zaczyna Anna, ale w jej głosie wyraźnie słychać kokieterię, a w oczach dostrzegam znany mi błysk.

Świetnie wie, że wpadła mu w oko i pewnie będzie się starała to wykorzystać. Odkąd jako tako pozbierałyśmy się psychicznie po rozstaniu z mężami, obie szukamy kogoś na stałe, ale mimo że praktycznie co weekend chodzimy do nocnego klubu, ja wciąż jestem sama, a Annie trafiają się marnie rokujący, niezainteresowani stałym związkiem faceci, których przyciąga wyłącznie jej uroda.

– Nie jestem klientem. Wpadłem tu pierwszy raz i jeszcze niczego nie kupiłem. – Mruga do niej koleś i mówi jej coś na ucho.

Na mnie nawet nie spojrzął i czuję się przezroczyista; mniej więcej tak, jak tekturowy stand z wystawionymi przy drzwiach lakierami do paznokci nowej polskiej firmy, które sprzedajemy po promocyjnej cenie.

– To zdecydowanie zmienia postać rzeczy. – Anna głośno się śmieje, ogląda się przez ramię, jakby chciała upewnić, że znienacka za jej plecami nie wyrósł Żbik, i szybko dyktuje nieznanemu swój numer.

Facet triumfalnie się uśmiecha, wpisuje go w pamięć telefonu, puszcza do niej oczko i wyraźnie z siebie zadowolony wychodzi bez szamponu. Chwilę później po niego wraca, ściąga go z półki, płaci, jeszcze raz mruga do Anny i pogwizdując, wychodzi. Stoimy przy oknie, skąd świetnie widać, jak wsiada do szpanerskiego terenowego bmw i opuszcza niewielki parking przed Koniczynką.

– Wow, koleś naprawdę nieźle wyglądał – odzywa się Anna, będąca wyraźnie pod wrażeniem jego osoby.

– Pomóż mi z tym – proszę, nie komentując tego, co właśnie się wydarzyło.

To nie pierwszy raz, kiedy umawia się z nią klient i zawsze jestem tak samo zazdrosna. Mnie się to nie zdarza, zachodzący do drogerii mężczyźni traktują mnie jak powietrze. Raz, jakiś rok temu, podrywał mnie jeden z młodych dostawców, ale odkąd Irek zmienił pracę, nawet pies z kulawą nogą na mnie nie spojrzął.

W łazience dla personelu odświeżam się pod pachami mokrą chusteczką, przecieram dezodorantem i przez dłuższą chwilę spoglądam na siebie w lustrze, zastanawiając, co jest ze mną nie tak? Nie jestem piękną, ale nie jestem przecież aż tak brzydka. Szpetniejsze ode mnie i znacznie głupsze kobiety układają sobie życie po rozwodach. Mam pecha? A może po prostu moja nikła, mocno wypłowiała uroda blednie w zderzeniu z oszałamiającym, oczywistym pięknem Anny? Może z nią u boku zawsze będę się mogła tylko blado uśmiechać, udając, że cieszy mnie jej szczęście? – zastanawiam się.



Ale nie, wróć, to nie tak! Cieszy mnie jej szczęście, kocham ją przecież jak siostrę. Chciałabym tylko chociaż od czasu do czasu dostawać od losu tyle, ile zgarnia ona.

Po wyjściu z łazienki przechodzę przez wąski korytarz dla personelu i zaglądam do przebieralni, w której trzymamy nasze rzeczy. Później wyjmuję z kieszeni służbowego uniformu ostry nożyk do kartonu i z premedytacją przecinam podszewkę ulubionego beżowego trencza Anny. Nie wiem, czemu to robię... Być może chcę tylko dać upust kłębiącym się we mnie emocjom? Ona miała dobry dzień, ja fatalny. Kiedy odkryje, że rozcięła o coś swój ulubiony płaszcz, nasze nastroje się wyrównają, przekonuję się w myślach i uśmiecham pod nosem. Jedno jest pewne – na randkę z przystojniaczkiem z terenowego bmw raczej go nie włoży...

## 2

### ANNA

Piątek. Z pracy wracam zmęczona, jednak staram się nie myśleć o bólu w krzyżu i opuchniętych nogach, które zdają się być z marmuru. Mieszkam kwadrans spaceru od Koniczynki, w drodze na nasze osiedle mijam park z rosnącym wzdłuż głównej alejki szpalerem fioletowych bzów, parking przed wielkim marketem i szkolne boisko. Płaszcz niosę przewieszony przez rękę – rano było zimno, ale wieczór jest znośny. Widok rozdartej podszewki na chwilę psuje mi nastrój, ale nie myślę o tym zbyt długo. Musiałam o coś zahaczyć i cienki, połyskliwy materiał nie wytrzymał. Lubiłam ten płaszcz, ale są przecież większe tragedie, pocieszam się w duchu. Zresztą wszystko można zaszyć, igłę i nici posiadam, gdyby co.

W mieszkaniu jest pusto. Martyna zasiedziała się u koleżanki, kota uspiłyśmy dwa miesiące temu, a ja wciąż mam jeszcze pod powiekami łzy na samo jego wspomnienie...

Zbieram z podłogi porozrzucane ciuchy córki, które cisnęła pod biurko i krzywię się na widok odłóżającej tapety w rogu jej niewielkiego pokoju. Mieszkanie należy do mojej starszej siostry Małgorzaty. Dawniej Małgośka wynajmowała je studentom, a kiedy rozstałam się z Maciejem, udostępniła je nam – za grosze, za to prezentujące się tak, że mogłabym to określić jako syf, kiła i mogiła. Ściany w fatalnym stanie, uparcie odnawiający się grzyb w łazience, którego nie usunie nawet regularne mycie, popękana tapicerka foteli, ukruszone płytki na podłodze i naderwane drzwiczki od kuchennych szafek – to tylko kilka rzeczy, które irytują mnie najbardziej. Poza tym to niski parter i naprawdę paskudny, stary blok. Sąsiedzi są głośni, ciskają niedopałki na trawnik pod oknami i mają łącznie sześć ciągle

ujadających psów. Ale nie narzekam. Nie znoszę się nad sobą uzalać ani robić z siebie ofiary. Kiedyś miałam dom jak z katalogu, męża wziętego architekta i sypialnię, której zdjęcia ukazały się na łamach jednego z wnętrzarskich magazynów. Ale Maciej musiał włożyć chuja nie tam, gdzie trzeba, i mimo jego błagań o drugą szansę zabrałam córkę, spakowałam najpotrzebniejsze rzeczy i wyniosłam się z naszego wspólnego życia, które on tak łatwo rozpieprzył. Czasem tego żałuję. Tego, że byłam taka honorowa, że nie umiałam wybaczyć... Ale później uśmiecham się do lustra i mówię sobie, że przynajmniej zachowałam twarz. Facet, który zdradza, nie jest wart drugiej szansy. Nie zamierzałam być jak moja mama, która latami przymykała oko na wyskoki ojca. Nie. Nie ja.

– Cześć, mamuś! – Martyna wpada do mieszkania tak nagle, że aż podskakuje.

– Hej, kiciu. – Uśmiecham się do niej i przechodzę do przedpokoju.

– Kupiłaś mi ten lakier? – pyta moja jedynaczka, a ja wyjmuję z torebki maleńki flakonik z ciemnoniebieską brokatową ciecżą.

– Dzięki. – Martyna bierze ode mnie prezent i na chwilę skupia na mnie całą swoją uwagę, co u zaabsorbowanej sobą, roztrzepanej szesnastolatki wcale nie jest takie proste. – Zmęczona jesteś? – pyta.

– Nie bardziej niż zazwyczaj – wzruszam ramionami.

– Zrobię omlet – proponuje młoda, a ja czuję wzruszenie.

Jeszcze niedawno była taką egoistką, ale obecnie, mimo swojego bałaganiarstwa i niewyparzonej buzi potrafi się czasem mną zaopiekować, co zawsze mnie rozczuła.

– Zrób, bo ja padam z nóg. – Chętnie przystaję na jej propozycję i obie przechodzimy do maleńkiej, ślepej kuchni.

– Tato dał mi trzy stówki na nowe ciuchy. No wiesz, żebym miała na wakacje – chwali się Martyna, zanim sięga po jajka.

Proszę, proszę, duppek wysupłał trochę zaskórniaków, żeby córka miała się w co ubrać na letni obóz – myślę, czując narastającą gdzieś w gardle wściekłość, ale na głos nie mówię ani słowa. Maciej okazał się fatalnym mężem, ale jako ojciec spisywał się nie najgorzej. Dobrze

i to, mówię sobie w duchu, chociaż za te trzy stówki córka wiele nie kupi...

– Idę jutro do kina – odzywa się Martyna i wyjmuję z szafki patelnię. – Pożyczyłabyś mi płaszcz?

– Trencz? Ma brzydko zszytą podszewkę. – Krzywię się, bo dosłownie przed momentem udało mi się zszyć rozdarcie, ale nie wygląda to najlepiej.

– Szkoda. To może coś sobie kupię – mruczy młoda, zanim zabiera się za pichcenie.

– Ale możesz go założyć, nie ma tragedii. – Uśmiecham się do niej, a ona pokazuje mi język.

– W cerowanych szmatach nie chodzę – odgryza się.

– Taka z ciebie damulka? Ale lakierem do paznokci z głębokiej przeceny nie pogardzisz, co? – żartuję, a ona parska śmiechem.

– Kiedyś potrafiłyśmy wydać parę tysięcy w jeden miesiąc, pamiętasz? Na ciuchy, buty, torebki – wylicza, a ja na chwilę przenoszę się w myślach do mojego dawnego, wystawnego życia.

– Kiedyś byłyśmy puste i nie znałyśmy prawdziwego świata. – Mrugam do niej, a córka z politowaniem kiwa głową.

– Tak szczerze, to mogłabym nadal być taka pusta. – Śmieje się, zanim zabiera za roztrzepywanie jajek.

– Przykro mi, że nie potrafiłam stworzyć ci życia, do jakiego byłaś przyzwyczajona – mówię cicho, a Martyna odkłada miskę, podchodzi do mnie i obejmuje mnie od tyłu.

– Mamuś, ja przecież nie mam do ciebie pretensji. Pracujesz, żeby nam niczego nie zabrakło, starasz się – szepcze mi na ucho, całuje mnie w policzek i wraca do omleta.

Urodziłam ją na studiach, przez co zaprzepaściłam szansę na ukończenie architektury. Byłam wtedy głupiutka, chciałam po prostu mieć dom, rodzinę, nie myślałam o tym, jak wiele przez to stracę. Bezrefleksyjnie rzuciłam naukę, zajęłam się córką i szaleńczo zakochana w Macieju, urządzając nasze gniazdko, żyłam z dnia na dzień, całą siebie oddając przytulnemu dopieszczonemu domowi, który

nam stworzyłam. Maciek otworzył własne studio projektowe, zgarnął kilka prestiżowych nagród i coraz lepiej zarabiał, ja odnalazłam się w roli żony przy mężu, czas płynął. I nagle pojawiły się te okrutne, złośliwe plotki, wymowne spojrzenia kilkorga naszych wspólnych znajomych i cios, który zniszczył naszą wspólność przyszłość – Maciej wdał się w romans ze swoją znacznie młodszą współpracownicą, pół miasteczka wzięło mnie na języki, ale ja, zajęta domem, zakupami i nieco leniwą, za to całkiem dostatnią codziennością nawet nie zauważyłam, jak bardzo się od siebie odsunęliśmy. I być może jeszcze długo byłabym ślepa, gdyby nie tandetne tanie majtki z czerwonej koronki, które znalazłam pod siedzeniem jego samochodu. Wtedy musiałam już otworzyć oczy, wszystko się wydało...

– Mamo?

– Co, córciu? Wybacz, zamyśliłam się.

– Pytałam, czy w niedzielę pójdziemy na rower?

– Jasne, jak wstanę.

– Czyli koło południa? – Młoda uśmiecha się złośliwie, a ja wzruszam ramionami.

– W sobotę śpisz u kuzynki, mogę chyba nieco zaszałeć? – mówię, a córka się śmieje.

– Jasne. Tylko uważaj na narkotyki i nie chodź do łóżka z nieznanymi – żartuje, wyraźnie się ze mnie nabijając.

– Nie chodzę – kłamię, bo przecież ostatnio zdarzyło mi się kilka przygód na jedną noc.

Ale ona jest zbyt młoda, żeby to zrozumieć. Dla niej miłość, seks czy intymna bliskość to jeszcze nieznanym terenem, przyszłością, o której marzy, wyidealizowana, piękna, czysta. Dla mnie noc z poznanym w klubie facetem bywa po prostu chwilową odskocznią, momentem zapomnienia, szansą na przytulenie się do kogoś i zaśnięcie w męskich ramionach. Martyna pewnie by tego nie zrozumiała, dlatego w niedzielne poranki sprzątam, wietrzę i piorę pościel z nadzieją, że w maleńkim mieszkanku mojej siostry nie unosi się już obcy zapach męskiej wody kolońskiej.

A skoro już jesteśmy w temacie mężczyzn – facet z drogerii nie zadzwonił, co na dłuższy czas zwarzyło mi nastrój. Podobał mi się, sprawiał wrażenie miłego i wyglądał na kogoś, kto ma co nieco w portfelu. Tak, wiem, jestem materialistką. Ale czy w mojej sytuacji mogę nią nie być? Koczuję z nastoletnią córką w zagrzybionej norze, na której remont mnie nie stać, i marzę o księciu z bajki, żeby i Martynie żyło się znośniej. Na karku mam prawie czterdziestkę, bo przecież trzydzieści osiem lat to nie pierwsza młodość, a jednak zdarza mi się śnić na jawie i marzyć o wielkiej miłości. Chciałabym jeszcze kogoś pokochać, myślę o tym czasem wieczorami. Zakochać się mocno, prawdziwie, oddać się komuś tak ufnie, jak kiedyś zrobiłam to z Maciejem. Pragnę zasypiać w czyichś ramionach i w nich się budzić bez względu na to, jak bardzo zawiodłam się na byłym mężu. Może dlatego ciągle szukam, rozglądam się, ogłaszam? Na portalach randkowych, w knajpach, na mieście, wszędzie podrywają mnie faceci, ale nie potrafię znaleźć wśród nich tego, z którym na dłużej ułożyłabym sobie życie. Iwona mówi, że w naszym wieku trafiają się już same śliwki robaczywki – mężczyźni z życiowym balastem, zmęczeni rozwodami, z dziećmi, psami i wciąż niepospłacanymi kredytami w pakiecie. Mało jest facetów z czystym kontem, takich, z którymi można zacząć od nowa, ręka w rękę. Ale ja takiego znajdę – obiecuję sobie i uśmiecham się do Martyny. Zrobię to dla siebie i zrobię to dla córki. Jeszcze będziemy szczęśliwe, jak kiedyś. Jeszcze będzie przepięknie. Zresztą z rozwodnikiem też można sobie ułożyć życie. Ta myśl poprawia mi nastrój.

### 3 IWONA

Wiem, jestem podła, ale kiedy Anna żali mi się, że facet, który podrywał ją w naszej drogerii, nie zadzwonił, czuję jakąś wredną, mściwą satysfakcję. To nawet nie to, że nie pragnę jej szczęścia. Ja się po prostu boję, że kiedyś ją stracę. Jeśli któregoś dnia pozna kogoś nowego, z kim zwiąże się na stałe, skończą się nasze wspólne wypadki do kina, pocieszanie się przy flaszcze taniego wermutu z dyskontu czy wzajemne malowanie sobie paznokci u stóp. Anna zacznie spędzać weekendy ze swoim fagasem, a siłą rzeczy z czasem zacznie się ode mnie odsuwać. Stracę ją, myślę, a pod powiekami szczypią mnie łzy.

– Cześć! – słyszę za plecami.

Zdejmuję zakiet, kiedy przyjaciółka zachodzi mnie od tyłu, obejmuje i przez dłuższą chwilę przytula.

– Hej. – Uśmiecham się blado, a ona ściąga bluzkę i zakłada górę od naszego jasnoróżowego służbowego uniformu, w którym wszystkie wyglądamy trochę jak pielęgniarki z amerykańskich seriali medycznych.

– Wieczorem idziemy potańczyć! – Anna zakręca się wokół własnej osi, spina długie ciemne włosy wyjętą z torebki klamrą i ściąga letnie lniane spodnie, żeby założyć te od uniformu.

Na widok jej opalonych, krągłych pośladków czuję, że pieką mnie policzki – jest coś intymnego w fakcie, że stoi przede mną w samych stringach z beżowej koronki i tak swobodnie papla o kupionej z przeceny bluzce.

Kiedyś się całowałyśmy. Był późny jesienny wieczór, za oknem ział i mżawka, a my zbyt wiele wtedy wypiliśmy. Nic więcej między nami nie zaszło, zresztą żadna z nas nie jest lesbijką, ale tamtą noc

wspominam zawsze, kiedy tęsknię za bliskością drugiego człowieka. Usta Anny były takie miękkie, ona sama pachniała wanilią i tak czule przesuwiała pomiędzy palcami moje cienkie, mysie włosy. Kiedy nasze języki splotły się w pocałunku, pomyślałam, że mogłabym być szczęśliwa z kimś takim jak ona. Ale magia tego ulotnego momentu prysła w jednej chwili, a Anna odsunęła się ode mnie i parsknęła śmiechem, mówiąc coś o tym, że przeholowałyśmy z alkoholem. Nigdy później nie przekroczyłyśmy tej cienkiej granicy i chociaż zdarza się nam obejmować czy całować na powitanie w policzek, tamten głęboki, namiętny pocałunek pozostanie wyłącznie wspomnieniem. Nigdy też o tym nie rozmawiałyśmy. Następnego dnia Anna obróciła wszystko w żart, a ja ani razu otwarcie nie przyznałam, jak piorunujące wrażenie zrobił na mnie dotyk jej ust, rąk i ciała.

Nie, nie jestem w niej zakochana, nigdy nie byłam. Pociągała mnie jedynie ta intymna, rzadka bliskość, jakiej wtedy zaznałyśmy. To tego mi brakuje. Ale Anna już mnie nie dotknie, to się nie stanie. Kręczę mi wyłącznie faceci – powtarza z naciskiem, kiedy siedząc przy winie rozmawiamy o łóżkowych preferencjach.

– Zobacz. – Głos Anny wyrywa mnie z zamyślenia. Przyjaciółka pokazuje mi niewielkie zaczerwienienie na swojej szyi. – Taka się dziś obudziłam, z jakąś paskudną alergią.

– Przejdzie ci. – Uśmiecham się krzepiąco, a ona spryskuje się tanimi kwiatowymi perfumami, które niedawno kupiłyśmy z pracowniczą zniżką, i zamyka swoją torebkę w niewielkiej metalowej szafce na drobiazgi, do której nie wchodzi już nic większego.

\* \* \*

Wieczorem widzimy się w Latino – jednym z najmodniejszych nocnych klubów w naszym miasteczku. Jest sobota i lokal pęka w szwach, a kiedy wchodzimy, na parkiecie szaleje już kilkanaście par. Większość klubowych gości jest młoda, dziewczyny wydają się niewiele starsze od naszych nastoletnich córek, chłopcy – z ułożonymi na żel



włosami, prężąc bicepsy, sprawiają wrażenie tegorocznych maturzystów, ewentualnie studentów.

– To nie jest świat dla starych ludzi. – Anna wysiła się na marny dowcip i ciągnie mnie w stronę jednej z łóż, która jakimś cudem właśnie się zwolniła.

– Bolał mnie nogi – psioczę, kiedy siadamy na miękkich sofach z wysokimi oparciami, dosłownie zapadając się tyłkami w ich welurową miękkość. – Nie można pół dnia tyrać w Koniczynie, a wieczorem lecieć na balety. Nie w moim wieku – jęcę, a Anna przewraca oczami.

– Jójczymy jak stare baby. Wyluzujmy się, cholera jasna! – Śmieje się i dodaje, że skoczy nam po drinki.

Przy barze zaczepia ją jakiś całkiem niezłe prezentujący się szpakowaty gość w jasnym lnianym garniturze, ale kiedy wyraźnie nim zainteresowana Anna zaczyna otwarcie z nim flirtować, do gościa podchodzi wbita w obcisłą czerwoną kieckę lafirynda po dwudziestce, szepcze mu coś na ucho i ciągnie za rękę na parkiet, a Anna zostaje sama.

– Widziałaś? Nawet się ze mną nie pożegnał! – Kiedy moja przyjaciółka wraca do naszej łóży, jest wściekła i rozgoryczona. – Chryste, co się porobiło z tym światem? My w wieku tych lasek spotykałyśmy się z równolatkami, a one bezczelnie zwijają nam sprzed nosów takich podtatusiałych lowelasów!

– Takie czasy – rzucam filozoficznym tonem i rozpinam połyskujące sztucznymi diamencikami paski od tanich sandałków, które nieprzyjemnie wpijają mi się w opuchnięte kostki.

– Wracajmy do domu – mówi nagle moja przyjaciółka. – Jedźmy do mnie albo do ciebie, po drodze kupmy wino i zrobmy sobie babski wieczór – proponuje. – Jeszcze rano cieszyłam się na wieczorne wyjście, ale teraz czuję się jak mumia. Widziałaś te zdziry? Cycki na wierzchu, usta ociekają błyszczkiem...

– Koleś nie wie, co traci – pocieszam ją, bo wyraźnie podłamał ją fakt, że facet, z którym flirtowała przy barze, dał się porwać

atrakcyjnej dwudziestce. – Ale masz rację, jedźmy do mnie – zgadzam się i po tym, jak dopijamy przyniesione przez nią drinki, wychodzimy z dusznego klubu.

W drodze na moje osiedle kupujemy flaszkę taniego czerwonego wina i czekoladki z kokosowym nadzieniem, które uwielbia moja przyjaciółka.

– Bo świat może się zawalić, ale kobieca przyjaźń zawsze nam zostanie – rzuca nagle Anna i kiedy czekamy na zmianę świateł, całuje mnie w szyję, zostawiając na mojej skórze krwistoczerwony ślad po szmince.

– Upiłaś się jednym drinkiem? – Śmieję się, rozbawiona jej niecodzienną wylewnością, a ona lekko wzrusza ramionami.

– Może – mówi i wybucha śmiechem, a jadący na rowerze młody facet krzyczy: „Uspokójcie się, lesby!” i rechocze, mijając nas.

– My wolimy facetów, ale oni wolą młode! – krzyczy w ślad za nim Anna.

Wtedy koleś na rowerze zawraca, mierzy nas wzrokiem i zatrzymuje spojrzenie na odważnie wyeksponowanym dekolcie mojej przyjaciółki.

– A to najmocniej panie przepraszam. I dodam, że ja osobiście nie mam nic przeciwko kobietom po trzydziestce. – Mruga do niej, mnie raczej ostentacyjnie ignorując.

– A przed czterdziestką? – rzucam, a on znów rechocze.

– Takich nie znam, a paniom daję góra trzydzieści – mruczy. – To co, może jakaś imprezka we trójkę? – proponuje nagle. – Jest winko, są piękne damy...

– Nie lubimy dzielić się winem. – Anna gładko go splawia, chociaż mnie, mimo jego wcześniejszej chamskiej odzywki, koleś całkiem się podoba.

– Szkoda. Mógłbym wam nieco urozmaicić wieczór, moje panie. – Puszczą do niej oczko, ale nie jest nachalny.

Wręcz przeciwnie, rzuca krótkie: „To żegnam” i odjeżdża.

– Podobał mi się, nie musiałaś tak od razu spuszczać go po brzytwie – mówię z wyrzutem, a Anna wybucha śmiechem.

– Proszę cię, nie żartuj. Koleś liczył na darmową flaszkę, wyzerkę na nasz koszt i pewnie jeszcze bzykanie w jakimś hipisowskim trójkącie.

– Skąd wiesz, na co liczył?

– Znam ten typ – kwituje zajście Anna i ciągnie mnie za rękaw krótkiej czarnej kiecki z odkrytymi plecami, którą kupiłam w szmateksie i zakładam wyłącznie na specjalne okazje, nie chcąc, żeby za szybko się zniszczyła.

Kiedy docieramy pod mój adres i zbliżamy się do starej, zaniedbanej kamienicy, już na chodniku słyszę dudniące odgłosy trwającej na pierwszym piętrze imprezy – odkąd zamieszkała nade mną ta przekłeta para koło trzydziestki, ciągle jest głośno. On, łysy i cały w tatuażach typ z potężną masą mięśniową, jest podobno po wyroku za rozbój, chociaż obecnie grywa w klubach i udaje DJ-a, a ta jego zdzira niewiele lepsza. Na prośby o uszanowanie nocnej ciszy nie reagują, a kiedy przyjeżdża wezwany przez sąsiadów patrol policji, nie otwierają drzwi. On zazwyczaj przeraźliwie zajężdża tanią wodą kolońską, która dość słabo maskuje unoszący się wokół niego odorek męskiego potu, ciska na klatkę niedopałki i całymi godzinami krzyczy do telefonu, klnąc przy tym jak szewc. Ona z kolei na mój widok ironicznie się uśmiecha, ale nigdy nie powiedziała „dzień dobry”, chyba udaje, że się nie znamy...

– Wygląda na to, że na górze znowu chleją – mówię, zanim wkładam klucz do zamka, z trudem cokolwiek dostrzegając na ciemnej klatce, bo żarówka przy drzwiach znowu się wypaliła.

– Patologia. – Anna wzdycha i wywraca oczami.

Widzę, że mi współczuje, i czuję się upokorzona.

Jakby sama mieszkała w lepszym miejscu, myślę, czując narastającą we mnie złość na los, mojego cholernego byłego męża i nawet na Annę. Szybko jednak mi przechodzi, nie ma sensu się wściekać, jest, jak jest...

W pokoju rozlewam nam wino i pytam ją, czy chce pić ze szklanki, czy z flaszki. Kieliszków nie posiadam, ciągle zapominam je kupić, zresztą jakie to ma znaczenie?

– Może być szklanka. – Anna ściąga buty, podkula nogi i siada na sofie z taką gracją, że znowu czuję zazdrość.

Nie pasuje do tego świata. Z biedą żadnej kobiecie nie jest do twarzy, ale ją ubóstwo dosłownie naznacza. To nie jej świat, nie jej bajka i to jest naprawdę oczywiste, myślę. I znowu czuję strach, że niebawem ją stracę, dosłownie duszę się na myśl, że przyjaciółka mi się wymknie i wróci tam, gdzie przynależy.

– Myślisz, że jeszcze kiedyś nasz los się odmieni? – pyta nagle Anna, kiedy podaję jej szklankę z czerwonym winem. – Że jeszcze spotkamy fajnych facetów, wyniesiemy się z tych nor? – Krzywi się, kiedy na górze ktoś uderza czymś w podłogę i krzyczy: „Kurwa, poważnie?”.

– Chciałabym – mówię zgodnie z prawdą, a ona odstawia szklankę z niedopitym alkoholem i sięga po jedną z ozdobnych poduszek, którą kładzie sobie na kolanach i gładzi jak kota.

– Czuję się dziś staro. Wokół tyle młodych lasek, a ja, z czym do ludzi?

– Jesteś piękna. – Uśmiecham się i wyciągam rękę, żeby pogładzić ją po włosach, a ona parska śmiechem.

– Jestem stara.

– Stara? Oszalałaś? – Łapię kosmyk jej ciemnych włosów i lekko pociągam. – Każdy chciałby z tobą być, nie rozumiesz? Facet, z którym się kiedyś zwiążesz, będzie szczęściarzem.

– Bez przesady – parska moja przyjaciółka, a ja kładę głowę na jej ramieniu.

– W ostateczności zostaniemy same – mówię. – I będziemy grać w karty, pić wino, tańczyć do starych kawałków Madonny i wspominać dawne czasy.

– Biedne jak myszy kościelne, z tanią farbą z drogerii na głowie, w tandetnych majtkach z bazaru i bez kasy na dentystę. – Anna lekko się krzywi i sięga po szklankę z resztką wina. – Nienawidzę biedy, obrzydza mnie – dodaje z pogardą w głosie.

– A kto lubi? – mruczę, a ona nachyla się, nalewa mi wina, a później polewa sobie.

– Ten przystojniaczek przy barze był ode mnie tak z dziesięć lat starszy, jeśli nie więcej, a jednak poszedł tańczyć z tą dwudziestką. Czujesz? Co jest, kurwa, nie tak z tym światem? – pyta, zanim zamoczy usta w winie.

– Kij z nim – mówię. – Poważnie, kij z nim.

– Pomalujesz mi paznokcie? Wiesz, że nie znoszę robić tego sama – prosi nagle. – Teraz, póki jeszcze nie jesteśmy pijane.

– Jasne. – Uśmiecham się, a ona wstaje, idzie do mojej łazienki, gdzie znajduje wzbogacony brokatem lakier w pomarańczowym odcieniu i kładzie go na rozchybotanym stoliku z blatem naznaczonym odciskami niezliczonych mokrych szklanek.

Kiedy maluję jej paznokcie u stóp, milczymy. Ona siedzi z przymkniętymi oczami, wygodnie umoszczona na starej sofie, ja skupiam się na pociągnięciach niewielkiego pędzelka i starannie wykonuję powierzoną mi pracę.

– Chyba wyszło ładnie – mówię, kiedy kończę, a ona entuzjastycznie mi dziękuje i pyta, czy też chcę.

– Nie, dzięki. Są świeżo pomalowane – grzecznie odmawiam, a później dolewam sobie wina, chcąc, żeby jak najszybciej zaszumiało mi w głowie.

– Ten facet z drogerii... Wiesz, ten, który wpadł po szampon i miał się do mnie odezwać, naprawdę mi się podobał. Szkoda, że nie zadzwonił, źle mi z tym – mówi cicho Anna.

– Może wpadł pod autobus, zanim zdążył wybrać twój numer? – rzucam durnym tekstem, a ona parska śmiechem.

– Może. Życie bywa nieprzewidywalne – zgadza się ze mną.

Noc spędzamy na wąskiej wersalce w moim pokoju, wtulone w siebie.

Rano Anna parzy dla nas kawę, bierze szybki prysznic i w pośpiechu się ubiera.

– Obiecałam młodej, że pójdziemy dziś na rower. – Uśmiecha się na myśl o Martynie, a ja zazdroszczę jej więzi łączącej ją z jej jedynaczką.

Moja Sylwia od dawna nie chce spędzać ze mną czasu. Ma swoje towarzystwo, matka jej niepotrzebna. Ostatnio ciągle się kłócimy, nie umiem dojść z nią do porozumienia, a wspólna wycieczka rowerowa jest dla mnie po prostu niewyobrażalna...

Przed wyjściem Anna mnie przytula.

– Kocham cię, wariatko – mówi, zanim wypuszcza mnie z ramion i schyla się, żeby zapiąć buty – podobnie jak ja wczoraj założyła eleganckie sandały zdobione złoceniami, ale jej obuwie pamięta jeszcze czasy małżeństwa z Maciejem i jest znacznie droższe. Kupiła te szpilki ponoć w Mediolanie.

Na myśl o tym, jak pięknie Anna kiedyś żyła, robi mi się smutno. Ja nigdy nie byłam we Włoszech, ona zjechała je niemal całe. Mnie nigdy nikt nie zabrał do Paryża, jej były mąż zafundował jej tam tydzień z okazji ich dziesiątej rocznicy ślubu. Bywała też w Grecji, Turcji, Prowansji i na Wyspach Kanaryjskich, a kilka lat po ślubie z Maciejem poleciała nawet do Kalifornii. Ona wie, co to luksus i nawet jeśli wszystko to straciła, zostały jej barwne wspomnienia. Ja nie mam nic, myślę i krzywię się na wspomnienie małżeństwa z poznanym w technikum Tomaszem, który latami pracował jako magazynier, żeby w końcu zupełnie niespodziewanie wyjechać do Niemiec i porzucić zarówno mnie, jak i Sylwię. Mój były mąż nie ma studiów, klasy ani kasy. Nie rozpieszczał mnie drogimi prezentami, kiedy jeszcze ze sobą byliśmy, nie kupował mi kwiatów bez okazji i nie zabierał za granicę. Przy nim miałam mnóstwo obowiązków, ale niewiele przyjemności, a wygląda na to, że mimo smutnego finiszu małżeństwo Anny było zupełnie inną bajką...

– Dupek – mamroczę pod adresem Tomasza, kiedy już zamykam za nią drzwi i opieram się plecami o ścianę.

Stara... Może Anna ma rację, może jesteśmy stare? Może czas porzucić te mrzonki o nowym związku i pogodzić się z tym, co przyniosło nam życie?

Ale nie, nie chcę się jeszcze poddawać! W kolejny weekend znowu wyciągnę Annę do nocnego klubu i może tym razem się nam

poszcęści? Życie jest chujowe, ale bywa też pełne niespodzianek. Cytat mojego autorstwa, godny zapamiętania. Uśmiecham się pod nosem i samotnie dopijam znaną w lodówce resztę wermutu. Nigdy nie wolno się poddawać, powtarzam w duchu, starając się ignorować dochodzące z piętra wyżej wrzaski i wyzwiska – patologiczna parka już wstała i właśnie się na siebie wydziera, z kolei gdzieś na klatce wściekle ujada pies. Nienawidzę tej kamienicy, krzywię się. Tych ludzi, tego wszechobecnego syfu, nieustannego hałasu i biedy. Nienawidzę tego miejsca, jednak nie mam dokąd się wynieść. Na wynajem czegoś w lepszym standardzie po prostu mnie nie stać, zresztą, prawdę mówiąc, nawet tę norę opłacam z trudem. I kiedy o tym myślę, wstyd mi przed córką, czuję się taka nieudaczna... Przy Tomku było, jak było, ale kasy nam nie brakowało. Teraz żyjemy z Sylwią gdzieś na granicy skrajnego ubóstwa, co jest dla mnie trudne i upokarzające. Niech mnie ktoś uratuje, myślę i czuję spływające po policzkach łzy, bo przecież wiem, że nikt się nie zjawi...

4  
ANNA

Niedzielne popołudnie spędzam z córką. Najpierw jedziemy rowerami aż nad jezioro leżące jakieś dziesięć kilometrów od naszego miasteczka, później rozkładamy się w trawie na dużym kraciastym kocu, pijemy domowej roboty lemoniadę i podjadamy upieczone przeze mnie czekoladowe ciasteczka.

– Zobacz, jak tu pięknie. – Uśmiecham się do Martyny, zerkając w stronę górujących nad spokojną taflą wody ruin niewielkiego pałacyku, który kiedyś był centrum życia kulturalnego okolicy, a obecnie niestety grozi zawaleniem. – Najlepsze rzeczy w życiu są za darmo – dodaję, a córka śmiesznie marszczy nos.

– Dobra, dobra. Chyba jednak wolałabym być teraz na Kanarach – odpowiada, ale oczy jej się śmieją.

Kiedy przewracamy się na brzuchy, chcąc opalić tył nóg, słońce coraz częściej zaczyna znikać za chmurami, a niebo ciemnieje.

– Zapowiadali burze i chyba tym razem prognozy się sprawdzą – mówi Martyna, siadając na kocu. – Mamuś? Będzie lać, ewakuujmy się. – Młoda lekko mnie szturcha i zaczyna zbierać nasze rzeczy do niewielkiego plecaka, który przy sobie ma.

Wstaję więc, zakładam białą azurową sukienkę, którą kilka lat temu kupiłam w Prowansji, i zerkam w niebo.

– Fakt, chyba będzie padać – zgadzam się z nią. – Ale po burzy ma się roz pogodzić – dodaję, zerkając w telefon, w którym jakimś cudem złapałam zasięg na tym zadupiu. – Niedaleko jest gospoda ze świetną polską kuchnią. Jedziemy?

– A stać nas? – Martyna wyraźnie się waha.



Nasz nowy tryb życia nauczył ją odpowiedzialności, co jednocześnie mnie cieszy i trochę boli. Chciałabym, żeby jej beztroskie dzieciństwo mogło trwać znacznie dłużej, ale cóż... Jest, jak jest.

– Stać nas – zapewniam ją. – Raz na kilka tygodni mogę zabrać własną córkę na obiad w knajpie nad wodą.

– Luz. To jedźmy. – Młoda zakłada prostą i tanią czerwoną kieckę na wąskich ramiączkach, którą niedawno kupiłam jej w sieciówce, zakłada plecak, wsiada na rower i pierwsza rusza ścieżką położoną wzdłuż jeziora, porośniętą łośpianem.

Jadę za nią, ciesząc się otaczającą nas ciszą, widokiem sielskiej okolicy i leniwym niedzielnym popołudniem, które wydaje się idealne. Obecność Martyny też jest dla mnie radością. Ma szesnaście lat, pewnie niebawem znajdzie sobie chłopaka i oleje towarzystwo matki. Ale dziś jesteśmy tu razem, a ja czuję przepełniającą mnie miłość do tej ślicznej, wygadanej nastoletniej istoty, w której wychowanie włożyłam tyle energii i serca.

– Jak było w klubie?! – krzyczy jadąca przede mną córka, zanim skręca w ciągnącą się wzdłuż pól polną drogę.

– Nieciekawie! – odkrzykuję, a Martyna zjeżdża na pobocze, żeby narwać rosnącego przy drodze fioletowego bzu.

Później układa gałęzie w plecionym wiklinowym koszyku przymocowanym do swojej „damki” i wskakuje na rower.

Mojej odpowiedzi nie komentuje, co mnie cieszy, bo chyba nie mam ochoty o tym rozmawiać. Lubię tańczyć, więc chodzenie do klubów bywa dla mnie ciekawą weekendową rozrywką. Ale ostatnio przestałam się tam dobrze czuć, coś się zmieniło... Iwona co sobotę naciska, żebyśmy zahaczyły o Latino, a ja czasem miałabym ochotę iść na pizzę, obejrzeć dobry film czy zwyczajnie poleniuchować z książką w ręku. Odkąd się rozwiodłam, mało czytam. Będąc żoną Macieja, pochłaniałam tony książek, jednak obecnie jestem chyba zbyt zmęczona, żeby umieć skupić się na wymyślonych papierowych historiach.

– Mamo, zobacz! – Martyna przystaje i wskazuje palcem niewielką łachę piasku po drugiej stronie jeziora, na której opalają się nudyści. – Totalnie goli, nawet bez majtasów. – Śmieje się zafascynowana i lekko zszokowana jednocześnie.

– Co kto lubi – mówię. – I nie gap się tak, bo jeszcze tylko lornetki ci brakuje.

– Nie gapię się. Zerkam. – Moja córka chichocze, pochyła się nad przyczepionym do rowerowej ramy koszykiem, wąża zerwany przed chwilą fioletowy bez i pyta, gdzie ta gospoda.

– Jeszcze jakieś pięćset metrów tą drogą, a później w prawo. Widzisz tamten zagajnik? Tuż za nim – instruuję ją.

– Skąd znasz takie miejsca? – pyta.

– Byłam tu kiedyś z twoim ojcem – przyznaję szczerze.

– I mimo to na pewno chcesz tam wejść?

– To tylko knajpa, Martyna. Nie przeżyję załamania nerwowego nad kluskami śląskimi, nie bój się – mruczę, a córka, parska śmiechem.

– Skoro tak mówisz. Tato wczoraj dzwonił – zmienia nagle temat. – Pytał, jak sobie radzimy.

– Popatrz, popatrz, jaki troskliwy – szydę.

– Martwi się o mnie. O ciebie też. Mamo, on chyba wciąż cię kocha. – Martyna się zatrzymuje i odwraca w moją stronę. – Nie myśleliście o powrocie do siebie? – pyta, a ja czuję, że z emocji czerwienieją mi policzki.

– Twój ojciec mnie zdradził, Martyna. Przespał się z inną kobietą, rozumiesz? Nie czuję się komfortowo, rozmawiając o tym z tobą, ale takie są fakty. Nie wrócę do niego, nie ma takiej opcji! Nie potrafię kłaść się do łóżka u boku mężczyzny, któremu już nie ufam!

– Ale przecież on tego żałuje! Poza tym nie spotyka się już z tamtą babą, wciąż cię kocha i chyba chciałby...

– Posłuchaj, jeśli zamierzasz teraz występować w roli adwokata ukochanego tatusia, to sobie daruj! – naskakuję na nią.

– Mówię tylko, że chciałabym jakiegoś happy endu. Jak w filmach, wiesz? – Martyna się krzywi, w jej oczach lśnią łzy. – Tęsknię za

naszym dawnym życiem, mamuś. Nikt się już ze mną nie spotyka, rozumiesz? Dawne koleżanki mnie olały, bo rzadko kiedy stać mnie na to, żeby się z nimi włóczyć po mieście, a ty...

– Co ja? – pytam ostro, zaczepnie.

– Nie możesz tak ciężko pracować, nie jesteś stworzona do takiego życia.

– A kto jest stworzony do rozładowywania towaru i użerania się z klientami?! Iwona tak, ale nie ja?! Bzdury wygadujesz! I nie rób ze mnie pieprzonej ofiary losu! To, że teraz chwilowo pracuję w Koniczynce, nie znaczy, że...

– Chwilowo? – wchodzi mi w słowo córka. – Trochę długa ta chwila.

– Cóż, po niecałych dwóch latach studiów wielu opcji nie mam. Szukałam lepszej pracy, ale nie znalazłam. Etat w drogerii to może nie spełnienie marzeń, ale na pewno nie powód do wstydu. Wiele kobiet pracuje znacznie poniżej swoich kwalifikacji, zresztą wielu mężczyzn tak samo. Takie jest życie, księżniczko – mówię.

– Czyli się poddałaś? Będiesz tam tyrać, aż wysiądzie ci kręgosłup albo dorobisz się żyłaków o wyglądzie sinych powrozów?

– A co mam zrobić, Martyna?! Co, do kurwy nędzy, mogę zrobić?! – wydieram się na nią pośrodku pustej polnej drogi i cały mój dobry nastrój jasny szlag trafia, a córka, przestraszona moim wybuchem, ciska rower w trawę, podchodzi do mnie i mocno mnie przytula. – Puść, jesteś cała w olejku do opalania. – Krzywię się, kiedy młoda przywiera do mnie jak małe dziecko i nagle zaczyna płakać, kompletnie się rozkleja...

– Bo ja się o ciebie, mamuś, boję – szlocha. – Że tak ciężko pracujesz, że kasy ciągle mało.

– Martyna, nie pracuję ciężiej od innych. To tylko drogeria, nie cholerna chińska kopalnia! Ludzie tyrają znacznie bardziej, żeby przetrwać. Przez ostatnie lata po powrocie ze szkoły widywałam mnie przestawiającą bibeloty w salonie, sączącą martini albo zalegającą na sofie z kobiecym magazynem w ręku, ale nasze życie nieodwracalnie się zmieniło i musimy się z tym pogodzić! Nigdy nie będziesz

szczęśliwa, jeśli nie zrozumiesz, że los bywa zmienny. W trudniejszych chwilach też trzeba umieć sobie radzić i staram się widzieć pozytywy. Mieszkamy paskudnie, ale pomyśl, jakie to szczęście, że twoja ciotka wynajęła nam tę zaniedbaną norę. Gdyby nie to, szukałybyśmy szczęścia u obcych ludzi. Mam ciebie, dach nad głową, jedzenie w lodówce i szafę pełną całkiem fajnych ciuchów, kupionych w lepszych czasach. Jesteśmy zdrowe, mamy co jeść, to też niemało.

– Tyle to chyba minimum? – Martyna podsumowuje moje słowa bez cienia entuzjazmu w głosie, ale uspokaja się wystarczająco, by przestać pochlipywać, i bierze ode mnie chusteczki, żeby doprowadzić się do porządku.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniam ją i zakładam za jej ucho kosmyk grubych ciemnych włosów, które odziedziczyła po mnie.

– Obiecujesz?

– Obiecuję. – Uśmiecham się.

Wtedy gdzieś za naszymi plecami grzmi, wskakujemy więc na rowery i pędzimy w stronę pobliskiej karczmy.

W środku, czekając na zamówione kopytka z kurczakiem w sosie szpinakowym, chwytam Martynę za rękę i zaciskam palce.

– Nie musisz się o mnie bać, córciu. Jestem silna, silniejsza, niż myślisz.

– Gdybyś mnie nie urodziła, nie musiałabyś teraz pracować w Koniczynce. Byłabyś panią architekt z własnym studium projektowym i mnóstwem kasy – mówi cicho Martyna. – Przecież to przez ciążę zrezygnowałaś ze studiów i ze swoich marzeń.

– Gdybym cię nie urodziła, nie dostałabym od losu najpiękniejszego prezentu. – Uśmiecham się do niej i wyciągam rękę, żeby pogłodzić ją po policzku. – Jesteś najpiękniejszą przygodą mojego życia, kiciu. I nigdy, nawet przez sekundę nie żałowałam, że cię mam – zapewniam ją.

– Dzięki – rzuca młoda, wyraźnie wzruszona, i wbija wzrok w kartę.

– Mogę się napić trochę białego wina? Zamówisz dla nas dzbanek?

– Ale tylko odrobinę – wyjątkowo przystaję na jej prośbę, a ona wyciąga telefon, przesiada się, żeby strzelić nam selfie, i robi śmieszna minę, pozując.

– Pamiętasz, że przyszedł weekend spędzam u taty? – pyta nagle, odkładając komórkę.

– Pamiętam. I nie musisz mieć z tego powodu wyrzutów sumienia czy czuć się wobec mnie nielojalna. Bez względu na to, co zaszło między nami, Maciej to twój ojciec – mówię, a ona posyła mi pełne wdzięczności spojrzenie i robi nam jeszcze jedną fotkę.

– Na insta. – Mruga do mnie.

Tak bardzo ją kocham, myślę, przyglądając się córce, która znowu usiadła naprzeciwko mnie i wrzuca zdjęcie na swój profil.

Dla niej zrobiłabym wszystko.

Absolutnie wszystko.

## 5 IWONA

Nienawidzę niedziel. Mimo że są wolne od pracy, myślę o nich jak o najgorszych dniach tygodnia. W niedziele czuję się zazwyczaj samotna i przegrana, a czas zdaje się stać w miejscu. Sylwia wyszła z samego rana. W pożyczonej ode mnie bluzce, z toną makijażu na buźce wypadła z mieszkania i tyle ją widziałam. Nalewam więc sobie nieco wódki i sięgam po telefon. Na profilu Anny widzę dwa nowe zdjęcia – moja przyjaciółka, w zachwycającej ażurowej sukience i kapeluszu z szerokim rondem, pozuje nad wodą, a później w towarzystwie córki, w jakiejś urządzonej w rustykalnym stylu knajpie. Widok szczęścia na twarzy Anny wbija się pod moją skórę tysiącem bolesnych drzazg. Jesteśmy w tej samej fatalnej sytuacji, a jednak ona potrafi cieszyć się życiem, a ja nie umiem. Zdaję sobie z tego sprawę i przez dłuższą chwilę przyglądam się jej twarzy. Jest lekko muśnięta słońcem i ma na sobie piękną białą sukienkę, zapewne jedną z tych, które kupiła w swoim dawnym życiu. Włosy jej lśnią, oczy płoną blaskiem, zęby ma nieskazitelnie równe i białe – kiedyś zdradziła mi, że wolałaby nawet nie dojadać, ale zawsze obsesyjnie dba o zęby, czego niestety ja nie mogę powiedzieć o sobie...

Nie stać mnie na chodzenie do dentysty tak często, jak bym chciała i zaczynam dostrzegać w lustrze tego efekty. Za to Anna jest nieskazitelna. Jak ona to robi? Zastanawiam się nad tym, studiując jej zdjęcia. I jeszcze ta jej córka, taka idealna. Czemu Sylwia nie może traktować mnie tak samo, jak Martyna traktuje Annę? – zastanawiam się bliska łez.

Popołudnie spędzam, zalegając na sofie w pokoju z opuszczonymi roletami. Nie tęskno mi za światem, nie chcę widzieć nawet słońca.

Sylwii wciąż nie ma, więc sączę wódkę z colą i bezrefleksyjnie gapię się w stary telewizor, którego ekran, w porównaniu z widywanymi w sklepach z RTV plazmami, wydaje się żałośnie mały.

Po osiemnastej zmuszam się do krótkiego spaceru i dwa razy okrążam osiedle. Mijając plac zabaw, widzę patologiczną parkę z piętra wyżej – siedzą na ławce i palą; on obejmuje ją za szyję, trzymając jednocześnie w ręku butelkę z żywcem, ona na mój widok pogardliwie się uśmiecha, a później całuje go w usta, jakby chciała podkreślić, że ona kogoś ma, podczas gdy ja od dawna jestem sama. Zdzira, myślę, czując, jak narasta we mnie złość. Tej nocy znowu się nie wyspałam, bo do drugiej tłukli mi się nad głową, a teraz siedzą sobie na ławce i się relaksują, podczas gdy ja wstaję rano do pracy... Oni oczywiście nie pracują. On coś tam ponoć robi na czarno, głównie grywa po lokalach, ale raczej rzadko, ona ciągnie na zasiłkach, czasem idzie sprzątać dom znajomych czy zrobić komuś paznokcie, ale zazwyczaj po prostu się opierdala.

Kiedy jestem tak blisko, że dzielą nas może dwa metry, on nagle patrzy mi prosto w oczy i rzuca: „Dzień dobry, sąsiadeczko. Jak się dziś spało?”. Uśmiecha się przy tym krzywo, a ta jego wywłoka wybucha śmiechem.

Nie odpowiadam. Mijam ich, z trudem powstrzymując się przed pokazaniem patologicznej parce środkowego palca, i skręcam w stronę monopolowego, w którym zamierzam kupić kolejną flaszkę wódki. Niedzieli nie da się przesiedzieć o suchym pysku, myślę.

\* \* \*

W poniedziałek rano wstaję z bólem głowy, ale wyjątkowo wyspana – parka z góry darowała sobie tym razem nocne balety, dzięki czemu nieprzerwanie przespałam prawie osiem godzin i w końcu przestało mi szumieć w głowie.

W pracy zjawiam się nieco przed czasem, spokojnie wypalam papierosa na rampie załadunkowej i robię sobie szatańsko mocną

kawę.

Anna wpada na zaplecze dosłownie trzy minuty przed otwarciem Koniczynki. Jest zziębnięta i wygląda na podenerwowaną.

– Jakiś facet prawie potracił mnie na pasach, a później jeszcze wyskoczył z auta i zaczął mnie wyzywać od durnych cip. Wyobrażasz sobie? – mówi, wciskając torebkę do swojej szafki.

Później w pośpiechu zakłada uniform i spina włosy. Zauważam, że cała się trzęsie, chyba faktycznie zdenerwowało ją uliczne zajście.

– Przykro mi – mówię i gładzę ją po plecach, a ona rzuca: „dzięki” i pochyla się, żeby zawiązać tenisówki.

Wtedy pytam, czy po pracy nie wyskoczyłybyśmy na szybkie piwko do Texaco, ale Anna zdecydowanie odmawia.

– Widzę się dziś z przyjaciółką – tłumaczy się, zanim w pośpiechu przechodzi na sklep, podchodzi do frontowych drzwi i otwiera je dla klientów, dwie minuty po czasie.

Na nasze szczęście przed Koniczynką nie ustawiła się jeszcze kolejka i nikt nie złożył skargi, że musiał czekać. A co do tego, że ludzie są zdolni pieklić się nawet o dwie czy trzy głupie minuty, po kilku latach pracy w handlu nie mam już wątpliwości...

– Gdzie idziecie? – pytam, wykładając na półkę dziecięce szampony.

– Z Kingą? Do kina.

Anna leciutko się uśmiecha na myśl o planowanym wieczornym wyjściu. Widać, że cieszy ją wizja spędzenia kilku godzin w towarzystwie koleżanki. Chociaż dawne przyjaciółki, wszystkie te wielkie doktorowe i mecenasowe, z którymi przyjaźniła się, będąc żoną wziętego architekta, po ich rozwodzie straciły zainteresowanie jej osobą, udało jej się za to znaleźć nowe koleżanki, z którymi regularnie się spotyka. Tego też bardzo jej zazdroszczę. Ludzie do niej lgną, nawet teraz, kiedy nie ma już kasy i prestiżowej pozycji żony z przedmieścia. Podejrzewam, że to kwestia jej urody – każdy pragnie być blisko niej, napawa się jej pięknem. Ludziom pochlebia to, że Anna się z nimi zadaje, a ona chętnie z tego korzysta.



– Jak ci minęła niedziela? – pyta nagle, kiedy pochylam się, żeby podnieść z podłogi pusty karton po szamponach i zanieść go na zaplecze, do zgniataarki.

– Byłam na grillu, znajomi mają działkę – mówię.

Nie wiem, czemu kłamię. Może po prostu nie chcę czuć się żałosna w konfrontacji z jej udanym końcem tygodnia? Widziałam przecież jej zdjęcia na Instagramie. Wiem, że świetnie się bawiła. W przeciwieństwie do mnie...

– Dawno nikt nie zaprosił mnie na grilla. – Uśmiecha się Anna, która bez zastrzeżeń łyknęła blef. – Maciej uwielbiał grillować, ciągle zapraszaliśmy do ogrodu znajomych i prawdę mówiąc, czasem tęsknię za przygotowywanymi przez niego stekami czy skrzydełkami. Żeberka też robił świetne, można powiedzieć, że w potrawach z grilla był bezkonkurencyjny – wspomina moja przyjaciółka, a w jej głosie słyszę tęsknotę.

– Mój były w życiu grilla nie rozpałił – mrużę, krzywiąc się na wspomnienie dwóch lewych rąk Tomasza. – Zresztą nie miałby gdzie, bo działki nigdy nie mieliśmy i zawsze mieszkaliśmy w blokach – dodaję i szybko to sobie wyrzucam.

Czemu ciągle się przed nią płaszczę, usprawiedliwiam, tłumaczę? Wściekam się na siebie, ale Anna nie zdaje sobie sprawy z mojego zmieszania, jest już zbyt zajęta klientką, która poprosiła o znalezienie dobrego kremu przeciwzmarszczkowego.

Przedpołudnie wlecze mi się w nieskończoność. Włodka Żbika dziś nie ma, a bez szefa czającego się na zapleczu pracuje mi się lepiej, ale i tak czas zdaje się stać w miejscu.

– Wyskoczę po sałatkę – oznajmia Anna koło południa, bo chociaż zazwyczaj robi sobie do pracy kanapki i przynosi pojemniki z domowym jedzeniem, dziś ich zapomniała. – Kupić ci coś? – pyta.

Sałatka, jasne... No tak, pani idealna, myślę z niechęcią. Ona nie jada byle syfu polanego lukrem z pobliskiej cukierni. Węglowodany tylko od święta, podobnie jak alkohol. Dbą o siebie znacznie bardziej niż ja, jest perfekcyjnie idealna, nawet teraz, spędzając dni na kasie

w pieprzonej Koniczynce. Nawet papierosy sobie wydziela. Nie pali więcej niż pięć tygodniowo, taki sobie ustaliła limit i konsekwentnie się go trzyma.

– Weź mi paczka – rzucam trochę z czystej przekory, żeby podkreślić, że chociaż mam gdzieś diety, jestem równie szczupła, jak ona.

– Zabije cię kiedyś cały ten cukier, który tonami pochłaniasz – śmieje się Anna i z torebką przyniesioną z zaplecza w dłoni rusza w stronę drzwi. – Mogę jeszcze po drodze skoczyć do apteki, okej? Gdyby przyjechał Żbik, kryj mnie jakoś – prosi, zanim wychodzi ze sklepu.

Kiedy zostaję sama, nachodzi mnie ochota na papierosa. Klientów nie ma, szefa też nie, więc decyduję, że zapalę na parkingu, mając na oku wejście do Koniczynki i skrywając się jednocześnie za zaparkowaną w rogu placu furgonetką.

Dopalam fajkę, kiedy widzę znajomą twarz i nagle dociera do mnie, że z terenowego bmw wysiada brunet koło czterdziestki, który kilka dni wcześniej wziął od Anny numer i nigdy się do niej nie odezwał.

– Szampon już się skończył? – zagaduję go, a on krzywo się uśmiecha.

– Szampon mam. Wpadłem przeprosić pani koleżankę. Miałem zadzwonić, ale straciłem telefon z wszystkimi kontaktami, w tym z jej numerem – tłumaczy.

Więc jednak o niej myślał, dociera do mnie. No jasne, przecież Anny, tej idealnej, wymuskaney piękności, faceci nie olewają. Jeśli nie zadzwonił, musiał mieć powód...

– Nie ma jej dzisiaj – kłamię, kiedy on rusza w kierunku wejścia do Koniczynki. – Akurat jest na zwolnieniu – dodaję szybko, a on przystaje i przeczesuje palcami gęste ciemne włosy, wyraźnie rozczarowany.

– To może pani podałyby mi jej numer? Byłaby pani tak miła? – pyta i w końcu się do mnie uśmiecha, ale przecież wiem, że robi to wyłącznie ze względu na Annę.

– Jasne, znam go na pamięć – odpowiadam, a później podaję mu ciąg cyfr, z których jedna celowo jest błędna.

– Dzięki wielkie! – rzuca i zerka w stronę witryny, jakby chciał wpaść na szybkie zakupy, a ja zastanawiam się gorączkowo, jak zareaguje, widząc wracającą z apteki Annę, która wyszła na ulicę w służbowym uniformie i lada moment może się zjawić w zasięgu jego wzroku.

Mojej przyjaciółki nigdzie jednak nie widać, w aptece musi być kolejka.

– Do widzenia. – Brunet chowa telefon do kieszeni i macha mi na pożegnanie.

Nie wybrał numeru od razu, co również mnie cieszy. Gdyby odebrała jakaś zupełnie inna osoba, miałabym problem... Oczywiście zawsze mogłam powiedzieć, że coś mi się pomyliło, ale i tak odetchnęłam z ulgą. Pozostawało pytanie: na ile koleś był zdeterminowany? Wybierze błędny numer i da sobie spokój czy wróci tu, żeby osobiście skonfrontować się z Anną, a ja wyjdę na kłamczuchę? Czy ona zacznie podejrzewać, że jestem zazdrosna? A może pošlę jej niewinny uśmiech, powiem, że musiałam pomylić jedną z cyfr i będzie po sprawie?

Anna wraca jakieś dziesięć minut później, jest zgrzana i lekko podenerwowana.

– Chryste, co za dzień! Najpierw ten cham na pasach, teraz znowu problemy z receptą. Oszaleć można – rzuca i wręcza mi biało-różową papierową torbę z pączkiem w środku. – Smacznego, kochana. – Uśmiecha się.

– Dzięki – mówię, ale nie pytam, ile mam jej oddać.

Czasem lubię, kiedy przyjaciółka funduje mi jakieś drobiazgi. Zarabiamy tak samo marnie, ale idę o zakład, że ona, w przeciwieństwie do mnie, ma jeszcze jakieś poupychane na czarną godzinę zaskórniaki, więc bynajmniej nie czuję z tego powodu wyrzutów sumienia. Zresztą to tylko pączek, do cholery! – Uśmiecham się triumfalnie i wbijam w niego zęby. Mała radość, a cieszy, myślę, przeżuwając ciastko.

– Kupiłam ci coś – mówi Anna podczas krótkiej przerwy, którą sobie robimy, korzystając z nieobecności szefa i klientów.

Chwilę później wręcza mi pozłacany wisiołek z zawieszka w kształcie koniczyny.

– Żebyś chociaż czasem polubiła tę pracę i to miejsce – mówi.

– Dziękuję, jest piękny – zachwycam się, chociaż przecież świetnie wiem, że to tania błyskotka *made in China*.

A jednak jej gest mnie wzrusza i nawet mam chwilowe wyrzuty sumienia na myśl o spotkaniu na parkingu i moim bezczelnym kłamstwie. Szybko jednak je porzucam i przestaję się zadrećcać. Mnie życie dokopało na wiele różnych sposobów. Czemu los Anny miałby być usłany różami tylko dlatego, że jest ode mnie ładniejsza? Czy to jej zasługa, że dostała od matki natury oszałamiającą urodę? Nie. I tyle w temacie – uśmiecham się pod nosem, wyrzucając do kosza na śmieci zmiętą, przetłuszczoną torbę po pączku, którą od godziny nosiłam w kieszeni służbowego uniformu. Gdyby Żbik to zobaczył, chyba by się przekręcił. Ale przecież Żbik dziś się nie zjawił, a ja chwilowo mam w nosie cały cholerny świat i jego zasady.

## 6 ANNA

W środę Maciej odwozi naszą córkę z treningu koszykówki i nie odjeżdża jak zwykle, ale wchodzi z nią do mieszkania.

– Wybacz najście – mówi na mój widok, chociaż nie wygląda na skruszonego. – Możemy porozmawiać? – pyta chwilę później.

– Coś się stało? – Traktuję go oschle, bo na nic lepszego nie zasłużył.

– Po prostu daj mi pięć minut – kaja się.

– Okej, masz pięć minut – mówię i przechodzę do pokoju.

Martyna znika w łazience, jednak mam przeczucie, że podsłuchuje. Zawsze bardzo kochała ojca, marzy jej się nasz powrót do siebie, chociaż przecież wie, że to się nie stanie.

– Usiądź – proszę raczej niechętnie, a mój były mąż siada na wysłużonej wersalce, która bardziej szpeci, niż zdobi mieszkanie mojej siostry, ale przynajmniej nocą jest w miarę łaskawa dla moich pleców.

– Anka, dokąd to wszystko zmierza? – zaczyna.

– Dokąd co zmierza? – odpowiadam kąśliwym tonem, a on lekko się krzywi i robi zamach ręką, jakby chciał wskazać na otaczającą nas bidę z nędzą.

– To. Jak długo nasza córka będzie mieszkać w takich warunkach?

– Setki milionów dzieci mieszkają w o wiele gorszych – rzucam przez zęby. – I masz, kurwa, tupet, żeby urządzać mi wykłady!

– Wróćcie do domu – proponuje on. – Obie.

Jego słowa mnie nie zaskakują. Wiem, że żałuje swojego romansu i tęskni za tym, co miał. Został sam w domu zbudowanym przez swoich dziadków, przestronnej willi pod lasem, którą przez lata kochałam i urządzałam. Należała do niego przed ślubem, więc nie dostałam połowy kasy ze sprzedaży jej. Zresztą Maciej nigdy by się

tego domu nie pozbył. Nigdy. A teraz został w nim sam i czuję mściwą satysfakcję na myśl o jego wieczorach, weekendach i świętach. Mój były mąż nie umie żyć w pojedynkę. Zawsze bał się samotności, przygnębiała go. Ale za to ja świetnie się w niej odnajduję. Jestem twarda, znacznie silniejsza niż on!

– Anka, proszę cię, wybac mi – mówi cicho, wstaje z wersalki, przyklęka i łapie mnie za ręce. – Wciąż cię Kocham, przecież wiesz.

W jego szarych oczach widzę ból. Ciemnoblonde włosy ma obcięte znacznie krócej niż dawniej i podstrzyżone po bokach, jest też gładko ogolony, po wyjściu z pracy musiał jeszcze wpaść do domu, zanim pojechał po młodą. Włożył ulubioną błękitną koszulę w paski i beżowe spodnie. Wygląda elegancko i żałośnie jednocześnie, przez chwilę mi go szkoda. Ale później przypominam sobie dzień, w którym znalazłam w aucie nienależące do mnie kobiece majtki, i znowu czuję gniew.

– Przykro mi, Maciej, ale nie potrafię ci wybaczyć – mówię cicho, a on puszcza moje dłonie i gniewnie parska.

– Czasem duma nie jest zaletą, lecz wadą – mówi z wyrzutem w głosie. – Pomyśl o Martynie, o tym, ile jej zabierasz! Musiała zmienić szkołę, mieszka w tym syfie, a ty robisz z siebie pośmiewisko, pracując w tym....

– Ja coś jej zabieram?! Ty gnojku, masz tupet! Szkoda, że ty nie pomyślałeś o córce, kiedy wciskałeś chuja w tę laskę!

– W takich chwilach lepiej nie myśleć o córce. – Maciej wysila się na odrobinę czarnego humoru, ale mnie nie jest do śmiechu.

– Niczego jej nie zabieram, słyszysz?! Daję jej tyle, ile mogę! To ty nas zdradziłeś! Mnie cieleśnie, a ją emocjonalnie! Zniszczyłeś naszą rodzinę! Ty! Nie ja!

– Raz! Jeden raz mnie poniosło! – krzyczy Maciej. – Przez wszystkie te lata nigdy wcześniej cię nie zdradziłem! Ten jeden raz straciłem głowę, a ty...

– Co, ja?! Jestem suką, bo nie chcę ci wybaczyć?! O tym mówimy?! – rzucam mu w twarz.

– Nie krzyczcie na siebie. – Martyna zjawia się w pokoju i łapie mnie za rękę. – Mamuś, proszę, wróćmy do domu – prosi nasza jedynaczka i zaczyna płakać. – Nie chcę tu dłużej mieszkać – łka. – Chcę do domu, do taty, chcę, żeby było jak dawniej.

– Wyjdź. To jest rozmowa dorosłych – mówię, a ona parska śmiechem.

– Bo nagle jestem dzieckiem?

– Martynko, idź się przejść. My z mamą potrzebujemy trochę przestrzeni. – Maciej przyłącza się do mojej prośby i nasza córka wybiega z pokoju, zakłada klapki i opuszcza mieszkanie, z furją trzaskając frontowymi drzwiami.

– Moglibyśmy pójść na terapię – proponuje mój były mąż i zaczyna nerwowo krążyć po dywanie, jakby chciał wydeptać w nim ścieżkę. – Przepracować to wszystko pod okiem dobrego terapeuty, postarać się odzyskać to, co mieliśmy.

– To, co kiedyś ci nie wystarczało – wypominam mu.

– Anka, stało się! To Weronika mnie uwiodła, omotała, zarzuciła na mnie sieci, a ja...

– Wzruszające! Może jeszcze cię zgwałciła? – Śmieję mu się prosto w twarz, bo naprawdę jest żaloszny. – Nie umiesz utrzymać fujary w spodniach i zrzucasz całą winę na kobietę?! Jakie to typowe dla was, mężczyzn! – szydę.

– Była nachalna, napaliła się na mnie! Uwiodła mnie, a później celowo zostawiła te pieprzone majtki w moim samochodzie! Zrobiła to umyślnie, żeby rozwalić nasze małżeństwo! Liczyła na to, że szybko przeboleję twoje odejście i związę się z nią, ale się przeliczyła. Anka, ja naprawdę wciąż cię kocham. Nigdy nie przestałem. To było chwilowe szaleństwo, myślałem wyłącznie futem, stało się. Ale tak bardzo chciałbym, żebyś potrafiła...

– Nie interesuje mnie, czego byś chciał – bezdusznie wchodzę mu w słowo, a on czerwienieje na twarzy.

– Zawsze byłaś tak cholernie zawzięta – mówi z wyrzutem, wyraźnie ubodzony.

– Kiedyś ci to imponowało. – Puszczam do niego oczko, a on gniewnie parska.

– Gdybyś zmieniła zdanie, wiesz, gdzie mnie szukać – dodaje, zanim samotnie rusza w stronę korytarza.

– A jak długo jest ważna ta hojna oferta? – kpię.

Maciej nie odpowiada. Wychodzi bez słowa i w przeciwieństwie do Martyny, która wypadła z mieszkania jak burza, cicho zamyka za sobą drzwi.

Kiedy zostaję sama, nalewam sobie odrobinę czerwonego wina i z kieliszkiem w dłoni samotnie siadam na sofie, niemal w tym samym miejscu, w którym przed momentem siedział Maciej. Wokół wciąż unosi się znajomy zapach jego wody kolońskiej, mieszkanie zdążyło przesiąknąć jego obecnością, chociaż był tu tylko kilka minut. Nagle przypominam sobie nasze leniwe niedziele, okruchy ciastek na satynowej pościeli, śmiech męża, jego dłonie czule ujmujące moją twarz, smak pocałunków. Kochałam go. Jezu Chryste, jak bardzo go kochałam. Nasze małżeństwo było dobre, a tak mi się przynamniej wydawało. Lubiliśmy spędzać wspólnie czas, razem uczyliśmy się hiszpańskiego, podróżowaliśmy, gotowaliśmy ulubione dania, do późnej nocy oglądaliśmy filmy i godzinami się kochaliśmy. Maciej zawsze uwielbiał seks, kiedy nasza córka spędzała weekend na obozie sportowym albo spała u którejś z koleżanek, potrafiliśmy przez pół niedzieli pić szampana i się pieprzyć. Gdyby mi ktoś powiedział, że mąż mnie zdradzi, nie uwierzyłabym. Myślałam, że ma wszystko, że niczego mu nie brakuje. Uwielbiał moje ciało, zawsze potrafił podarować mi orgazm i nigdy nie miał dość naszych igraszek. Łudziłam się, że nasycony, dopieszczony i szczęśliwy nie będzie szukał pokus poza domem, ale życie pokazało mi, jak bardzo się myliłam.

Nagle myślę o jego propozycji i czuję pod powiekami łzy. Dom... Tęsknię za widokiem lasu, którego ściana rozpościera się kilkanaście metrów od okien naszej sypialni. Za aromatyczną poranną kawą pitą na przestronnym tarasie z kutą metalową barierką, śpiewem ptaków w ogrodzie, widokiem kwitnących rododendronów, które lata



wcześniej posadziła moja teściowa, i przestronną kuchnię, w której razem gotowaliśmy. Brakuje mi wanny, bo tu, gdzie mieszkam, jest tylko kabina prysznicowa, olbrzymiej garderoby, biblioteki, w której lubiłam czytać, i niewielkiej werandy od frontu, gdzie równo postawione na drewnianym parapecie stały donice z ziołami. Ta stara willa miała duszę, była dla mnie prawdziwym domem. Erotyczny wyskok Macieja rozbił nie tylko nasze małżeństwo, ale i odebrał mi moje miejsce na ziemi. Kiedy o tym myślę, po policzkach zaczynają mi płynąć łzy.

Skurwiel! Że też musiał okazać się słaby! I że też musiałam znaleźć te cholerne majtki! A gdybym ich nie znalazła? Czy posuwałyby tę kobietę dłużej, ciągnąłby ten przeklęty romans w nieskończoność, czując się bezkarnie, czy może jednak wyrzuty sumienia nakazałyby mu to zakończyć? – zastanawiam się.

Martyna wraca chwilę później, jest na mnie wściekła.

– Tato chce, żebyśmy wróciły do domu, a ty nie chcesz! – rzuca już w progę, po tym jak wkopała klapki pod komodę w korytarzu i bosa weszła do pokoju. – Mamo, ja chcę do domu! – wrzeszczy, w swojej bezsilnej złości bardziej przypominając rozkapryszoną kilkuletnią dziewczynkę niż w miarę dojrzałą, zazwyczaj opanowaną nastolatkę.

– Jeśli tak bardzo tęsknisz, zawsze możesz zamieszkać z ojcem – mówię, a wzruszenie ściska mnie za gardło.

Nie chcę jej stracić. Nie chcę tu zostać sama, myślę. Ale jeśli córka będzie tego pragnęła, pozwolę jej odejść. Może Maciej ma rację, może rzeczywiście nie powinnam skazywać jej na życie w tej beznadziei? Kiedy przechodzi mi to przez myśl, młoda klęka u moich stóp i kładzie mi głowę na kolanach.

– Nie zostawię cię, mamuś. Jeśli wracamy do domu, to obie – szepcze, a ja wyciągam rękę i gładzę jej gładkie, długie włosy.

– Przemyśl to sobie na spokojnie. Kocham cię i jestem szczęśliwa, że mieszkasz ze mną, ale jeśli chciałabyś zamieszkać z tatą, to możemy...

– Nie! – Martyna gwałtownie unosi głowę, oczy jej płoną. – Zostaję z tobą, mamuś! Chciałabym tylko, żebyś umiała wybaczyć tacie.

Ludzie bzykają się na okrągło, to nic wielkiego. Zapomniał się, bywa. Gdybyś potrafiła...

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz. – Uśmiecham się blado, a ona podnosi się z kolan, siada obok mnie i obejmuje mnie ramieniem. – Kocham cię, córciu – dodaję, tuląc ją i nagle obie beczymy ze wzruszenia.

Później włączamy film – jedną z komedii romantycznych, za którymi obie przepadamy i wciąż przytulone wgapiamy się w stary telewizor, na ekranie którego czarujący Hugh Grant uwodzi uroczą Julię Roberts.

– Czemu w życiu nie może być tak prosto, jak w kinie? – podsumowuje seans moja córka, a później wyciąga mnie na późnowieczorny spacer po osiedlu.

Kiedy mijamy niewielki skwerek za naszym blokiem, zaczepia nas grupka przesiadujących tam podpitych młodych mężczyzn.

– No, no, jakie ładne kobiety. Posuwałbym i mamuszkę, i córeczkę! – rzuca jeden z nich, a reszta głośno rechocze, cmoka i gwizdże.

Zaciskam palce na dłoni córki i ciągnę ją w stronę znacznie lepiej oświetlonego osiedlowego parkingu, po którym kręci się dobrze zbudowany facet z dużym psem, z nadzieją, że w razie czego koleś jakoś zareaguje, jeśli te pijane typy zaczną się do nas dobierać. Ale oni poprzestają na słowach, co sprawia, że prawie mdleję z ulgi.

– Nigdy więcej spacerów po dwudziestej drugiej – mówię, kiedy przestraszone i zdyszane wpadamy z Martyną do naszej klatki.

– Tych dupków się przestraszyłaś? – Martyna się śmieje i niby bagatelizuje całe zajście, ale przecież widziałam, jak się przed chwilą przelękała.

– To nie jest dobra okolica, córuś. Nie tak spokojna i sielska jak nasza dawna uliczka. Pamiętaj o tym, okej?

– Przecież nic by nam nie zrobili, daj spokój. Jest dopiero po dziesiątej, wokół pełno ludzi.

– Tak czy inaczej, spacer o tej porze sobie podarujemy – zaznaczam, a młoda wzrusza ramionami.

– Jakby tu było gdzie iść... Ani lasu, ani jeziora, sam beton, bloki i garaże – rzuca. – Ominęłyśmy kolację, zauważyłaś?

– Mój żołądek zauważył. – Uśmiecham się. – Jemy coś o tej porze czy idziemy spać?

– Idziemy spać – decyduje Martyna. – Żadna szanująca się laska nie powinna zreć po dwudziestej drugiej. – Córka posyła mi uśmiech i całusa w locie. – Idę pierwsza pod prysznic – oznajmia, zanim znika w łazience.

Nalewam więc sobie wody, ukradkiem zjadam dwa zbożowe ciastka i sięgam po mój telefon, który zapomniany leżał na kuchennym stole. W komórce znajduję dwa esemesy od Iwony, oba wysłane ponad dwie godziny wcześniej.

„Skoczmy na szybkie piwko?” – czytam pierwszego.

„No tak, nie odpisujesz... Pewnie dobrze się bawisz na mieście z jakąś nową koleżanką” – drugiego esemesa Iwona wysłała kilka minut później i wyczuwam w nim gorzki, zawistny ton.

Czasem myślę, że tak naprawdę ona mnie nie znosi i ciągle mi czegoś zazdrości, chociaż niemal codziennie podkreśla, że jest moją najlepszą przyjaciółką. Ale szybko odpędzam od siebie takie podejrzenia, wstydę się ich. Jest bardzo samotna, to wszystko. Życie jej nie rozpieszczało, szuka we mnie oparcia, to zrozumiałe. W Koniczynie bardzo się zżyłyśmy, wspólna praca i podobna sytuacja życiowa sprawiły, że dobrze się rozumiemy. Iwona chce mieć mnie blisko, potrzebuje mojego wsparcia. Tak to sobie tłumaczę.

„Miałam ciężki wieczór. Telefon żył własnym życiem, przepraszam” – odpisuję i dołączam uśmiechniętą buźkę.

W odpowiedzi, niecałą minutę później, Iwona przesyła mi pulsujące czerwone serduszko, więc uznaję kryzys za zażegnany.

## 7 IWONA

W drodze do pracy zastanawiam się, co Anna rozumie przez „ciężki wieczór”? Coś się stało? Może powinnam do niej zadzwonić, zamiast przesyłać jej to durne serce? Czy jednak nie odebrałaby tego jako wścibstwa, zwłaszcza o tak późnej porze? – głowię się, czekając na zmianę świateł, żeby przejść przez jezdnię.

Przed Koniczynką jest zamieszanie. Drogeria jeszcze zamknięta, ale na parkingu upadła jakaś starsza kobieta i zebrali się gapie w oczekiwaniu na karetkę. Nieszczęsna staruszka już siedzi, ktoś pomógł jej wstać i dojść do ławki.

– Starość się panu Bogu nie udała – rzuca ktoś za moimi plecami.

Nie odpowiadam. Niezmiernie rzadko angażuję się w niedotyczące mnie bezpośrednio cudze problemy.

W drogerii jestem pierwsza. Tośka, która zazwyczaj zjawia się kilka minut przed otwarciem, pewnie siedzi jeszcze w autobusie, Anny też nie widać.

Wychodzę więc na wewnętrzny dziedziniec, chcąc zapalić na rampie, i prawie wpadam na Włodka Żbika – właściciel sklepu kręci się po niewielkim placyku i zbiera... niedopałki.

O ja pierdołę, klnę w duchu, ale mam na tyle refleksu, żeby uskoczyć i skryć się za ciężkimi metalowymi drzwiami, zanim w ogóle mnie zauważy. Fakt, zdarza się, że ciskam niedopalone pety prosto na beton, Anna, która czasem daje się namówić na fajkę, zresztą też. Nie przypuszczałam jednak, że to może być problem. Zresztą, do ciężkiej cholery, w składziku jest miotła! Czemu Żbik się po nie schyla, zwłaszcza mając problem z plecami? Nie mam pojęcia...

Szef wchodzi do sklepu, kiedy już przebrana w uniform poprawiam kosmetyki na półkach, chcąc, żeby stały w idealnie równych rzędach, jak lubi.

– Czterdzieści osiem petów! – Stary wysypuje zebrane niedopałki na podłogę pod moje nogi. – Jeśli jeszcze raz zastanę tam taki chlew, wyciągnę konsekwencje! – oznajmia, a potem, nie czekając na moją odpowiedź, znika w swojej dziupli.

– Dupek – syczę, ale schylam się, żeby zebrać niedopalone pety z wyraźnymi śladami mojej jasnoróżowej szminki na filtrach, upycham je do niewielkiego plastikowego woreczka i ciskam do kosza w naszej mikroskopijnej służbowej kuchni.

Moment później pojawia się Anna – promienna, ubrana w kwiecistą sukienkę, ze starannie ułożonymi włosami.

Ciekawe, o jakim to ciężkim wieczorze wczoraj pisała, bo wygląda jak milion dolarów, myślę z niechęcią.

– Hej – rzuca lekkim tonem.

– Cześć. Żbik jest u siebie. Wściekły – ostrzegam przyjaciółkę, a ona przewraca oczyma i znika za drzwiami, żeby się przebrać.

Przedpołudnie jest długie i nudne. Ciągłe jacyś klienci, szef nadal na miejscu, harówka i monotonia. W dodatku Tośka stłukła jedną z dwóch ostatnich szklanek, z których korzystamy na zmianę i wszyscy snują się po drogerii w fatalnych nastrojach.

Dochodzi trzynasta, kiedy rozsuwają się przeszklone drzwi i staje w nich brunet z czarnej terenówki, ten sam, któremu celowo podałam zły numer do Anny.

W ręku ma przyozdobiony posrebrzanym celofanem bukiet kolorowych róż, a na mój widok pogardliwie się uśmiecha.

– Przyjaciółeczki, co? Zawsze można na nie liczyć – mówi kpiącym tonem, kiedy mnie mija, a ja domyślam się, że świetnie mnie rozgryzł i „pije” do mojego kłamstwa dotyczącego celowo źle podanego numeru.

Później podchodzi do siedzącej przy kasie Anny, wręcza jej kwiaty i nachyla się, żeby powiedzieć jej coś na ucho, a ona parska perlistym, dziewczęcym śmiechem.

Ja pierdolę, niezły pasztet, myślę i czmycham na zaplecze. Powie jej, że miał ode mnie błędny numer? – zastanawiam się i po chwili jestem pewna, że tak. Pytanie, jak zareaguje Anna? Uwierzy, że się pomyliłam i nie mając przy sobie komórki, która została w szafce, podałam zły numer z pamięci, czy będzie podejrzewać, że zrobiłam to umyślnie? Zastanawiam się, nerwowo skubiąc końcówki włosów.

W tym samym momencie obok mnie pojawia się Żbik i posapując, wyjmując z szafki opakowanie rozpuszczalnej kawy. To my z dziewczynami się na nią zrzucamy, podobnie jak na cukier, śmietankę i zbożowe ciastka z czekoladową polewą, które on regularnie nam podbiera, ale mam na tyle oleju w głowie, żeby tego nie komentować.

– A ten amant z kwiatami to co to za błazen? – pyta, zanim włącza czajnik, w którym przed momentem zagotowałam wodę na herbatę. – Kasjerka ma pracować, a nie przyjmować adoratorów – dodaje.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi – kłamię, chociaż przez chwilę mam ochotę donieść, że Anna nie pierwszy raz flirtuje z tym typem w drogerii, przez co moja przyjaciółka pewnie mocno by Żbikowi podpadła.

Ale nie, to nie byłby dobry ruch. Nie chcę przecież, żeby straciła tę pracę, zostałabym wtedy sama z Tośką, z którą nie bardzo umiem rozmawiać, a na miejsce Anny mogłaby przyjść jakaś wredna zdzira, nigdy nie wiadomo...

– Kwiaty kasjerce pajac przynosi – mruczy tymczasem Żbik, zalewając kawę wrzątkiem.

Nagle dociera do mnie coś, co gdzieś mi wcześniej umykało. No jasne, on też się w niej durzy! Nie chodzi mu wcale o to, że ktoś Annę rozprasza przy pracy. Chodzi o to, że Żbik ma rywala. Jak mogłam wcześniej tego nie widzieć? – wyrzucam sobie. Tego, jaki jest dla niej miły, znacznie miłszy niż dla mnie, tego, jak się ślini, kiedy ona przebywa w pobliżu i jak niby przypadkiem muska jej ramię czy gładzi ją po plecach. O mnie zawsze się ociera. Chamsko, gdzieś na granicy molestowania, ale wobec Anny jest bardziej rycerski, stara się.

Anna zasługuje przecież na wszystko, co najlepsze, krzywię się w duchu. Nawet taki palant jak Żbik szanuje ją bardziej niż mnie...

– Wrócił facet z terenówki, widziałaś? – mówi moja przyjaciółka kilka minut później, kiedy spotykamy się w łazience. – Tak się cieszę, bo naprawdę mi się spodobał! Podobno stracił kontakty w telefonie, a później miał do mnie zły numer.

– Musiałam coś pomylić, przepraszam – tłumaczę się, czerwona na twarzy, ale ona tylko lekceważąco macha ręką.

– Mniejsza z tym, najważniejsze, że przyjechał. – Uśmiecha się tak promiennie, jakby trafiła szóstkę w lotto.

– Uważaj – przestrzegam. – Nie masz pojęcia, co to za jeden.

– Jak zawsze, kiedy poznaje się kogoś obcego. – Anna wzrusza ramionami, poprawia włosy i uśmiecha się do swojego odbicia w lustrze. – Potrzebuję kogoś nowego, dosłownie śnię o fajnym facecie. Maciej zaproponował mi wczoraj, żebym do niego wróciła, ale zapomnij... Nie po tym, co zrobił – mówi, a ja czuję, że czerwienieję ze złości.

Proszę, proszę, więc i pan architekt nadal jej pragnie. Wszyscy chcą cholernej Anny, tylko na mnie nawet pies z kulawą nogą nie zerknie! – pieklę się w duchu.

– Iwona, słuchasz mnie? – Przyjaciółka nagle dostrzega moje rozkojarzenie.

– Tak, słucham. Twój były mąż wciąż cię kocha. A ty?

– Ja? Po tym, co zrobił? Daj spokój. Tęsknię za naszym dawnym życiem, ale miłość... Nie, już chyba nie.

– Chyba?

– Nie chcę mówić o Macieju. – Anna się krzywi i pochyla nad umywalką, żeby umyć ręce. – Wracajmy na salę, zanim przyjdzie po nas wściekła Tośka – dodaje szeptem.

– Nie podoba mi się ten facet – mówię nagle, a słowa wyrywają się w moich ust dosłownie bez woli umysłu. – Ten z terenówki. Jest zbyt nachalny, nie widzisz tego?

– Zaprosił mnie na kawę i przyniósł kwiaty, co w tym złego? – Anna wzrusza ramionami i ponownie poprawia włosy, zdaje się napawać widokiem swojego odbicia w lustrze, co jeszcze bardziej podnosi mi ciśnienie.

– Może chodzi mu tylko o twoją urodę? – sugeruję, a ona wybucha śmiechem.

– Jasne, że chodzi mu o urodę. Wpadłam mu w oko, co w tym złego? – Wzrusza ramionami. – Na docenienie charakteru przyjdzie czas. Potrzebuję kogoś nowego, Iwona. Kogoś, dzięki komu znowu poczuję motyle w brzuchu. Nowy facet doda mi sił, zapału do działania. Może poszukam w końcu innej pracy albo otworzę coś swojego? Mam pomysł na biznes, ale jakoś nie mogę się zmotywować, żeby ruszyć z tym w pojedynkę – wyznaje Anna, a ja nieruchomieję, porażona wizją jej odejścia z Koniczynki.

– Prowadzenie biznesu nie jest takie proste, jak mogłoby ci się wydawać – ostrzegam ją, niczym zła wieszczka, a ona parska śmiechem.

– Jesteś dziś w naprawdę grobowym nastroju – rzuca lekkim tonem. – Nie wyspałaś się przez upiorną parkę z góry?

– Wyspałam się. Po prostu cię ostrzegam. Tu masz przynajmniej pewną pensję.

– Głodową – krzywi się Anna.

– Pomyśl o córce. Nie powinnaś ryzykować – straszę ją.

– Myślę o córce. I uważam, że właśnie dla niej powinnam zaryzykować. Mniejsza z tym, to nie czas na takie dyskusje. – Anna ciska do kosza wilgotny papierowy ręcznik, w który wytarła dłonie, i dodaje, że idzie zmienić Toškę na kasie.

Kiedy zostaję w łazience sama, kurczowo zaciskam palce na obramowaniu umywalki i spoglądam na swoje odbicie w lustrze. W przeciwieństwie do promiennej Anny wyglądam blado i smutno. Moje włosy są matowe, pod oczami mam ciemne cienie. Od dawna jestem nieszczęśliwa i nie potrafię tego zmienić. Tymczasem Anna chyba właśnie złapała nowego faceta i planuje stąd odejść, żeby zostać



bizneswoman. Może chociaż zatrudni mnie u siebie? – myślę, ale szybko nachodzą mnie wątpliwości. Czy umiałabym być jej podwładną? Pracować dla niej, zamiast z nią? Widzieć, jak robi coraz większą kasę, podczas gdy ja nadal, niezmiennie jestem tylko szeregową pracownicą? Znowu byłaby nade mną. Na tę myśl czuję złość. Czemu ona zawsze jest o krok przede mną? Czemu zawsze jest lepsza?

## 8 ANNA

Na pierwszą randkę Bartosz zabiera mnie do Monaco Coffee, najlepszej kawiarni w miasteczku, gdzie podają wyśmienite puchary lodowe. Siedzimy na tarasie, z którego rozciąga się widok na dachy najstarszych kamienic i zakole rzeki, stoliki wokół nas są pełne trzymających się za ręce zakochanych par.

– Nigdy nie przypuszczałem, że zauroczę się, wchodząc do drogerii po szampon. – Bartosz muska moją dłoń, ale zaraz cofa rękę, jakby się bał, że jego gest jest zbyt intymny jak na pierwsze oficjalne spotkanie przy kawie.

Moje lody się topią. Zjadłam połowę deseru, z reszty zrezygnowałam ku uciechu spacerującej brzegiem szklanego pucharka osy. Bartosz odpędza ją niecierpliwym gestem dłoni i głęboko patrzy mi w oczy.

– Jesteś piękna, Aneczko, ale czuję, że twoje wnętrze jest równie zachwycające. Kiedy cię zobaczyłem... Nie umiem nawet tego opisać, to było jak cios w przeponę, absolutny zawrót głowy – wyznaje.

– Daj spokój, peszysz mnie – mówię cicho, a on się śmieje.

– Wybacz, niechcący. Chciałbym tylko, żebyś wiedziała, jakie niesamowite zrobiłaś na mnie wrażenie. Piorunujące.

– A jeśli moje wnętrze nie jest równie zachwycające, co opakowanie?  
– droczę się z nim, ale on nabrał już pewności, że jestem pod każdym względem idealna, co w sumie nawet mi pochlebia.

On również mi się podoba, od pierwszej chwili, być może zadziałała magia jakiegoś obustronnego zauroczenia? Ma gęste, ciemne włosy, w których, mimo przekroczenia przez niego czterdziestki, srebrzy się tylko kilka pojedynczych siwych nitek, niebieskie oczy i mocną, męską

szczękę. Ma też w sobie coś chłopięcego i przypomina mi nieco Davida Duchovny'ego z czasów jego pamiętnej roli w *Archiwum X*.

– O czym myślisz? – pyta kwadrans później, kiedy idziemy przez miasteczko, klucząc wąskimi zaułkami jego najstarszej części.

Kamienice są tu zaniedbane, część z nich jest w remoncie, fasady innych zdobią ostrzeżenia o tym, że budynki grożą zawaleniem, a jednak nawet ta strupieszala, pełna bezpieczeństwa kotów i dziko rosnących kwiatów dzielnica ma w sobie niezaprzeczalny urok, zwłaszcza teraz, wczesnym wieczorem, kiedy po niebie nad nami przepływają granatowo-różowe obłoki.

– Mieszkałem tu jako dziecko. – Bartosz przystaje przed bramą jednej z zaniedbanych kamienic i zerka w górę, w okna na piętrze. – Posiadaliśmy ponad stumetrowe mieszkanie, dwa balkony i trzy koty. Miałem dobre dzieciństwo. – Uśmiecha się.

– Ja też miałam dobre dzieciństwo – mówię. – Kochających rodziców, dziadków, siostrę.

– Żyją? – pyta Bartosz, kiedy ruszamy w dół ulicy.

– Rodzice tak. Mieszkają pod Poznaniem, gdzie wybudowali dom. Dziadkowie od dawna nie, a moja siostra mieszka kilka ulic ode mnie.

– Jesteście blisko?

– Umiarkowanie – mówię po chwili wahania, bo w sumie ciężko mi określić nasze wzajemne, mocno splątane relacje.

Małgośka niby zawsze mi pomaga, kiedy ją o coś proszę, jest lojalna i szczerą, ale nie ma chyba pomiędzy nami tej specyficznej zażyłości, która potrafi czasem łączyć rodzeństwo. Potrafimy podać sobie rękę w chwili kryzysu, ale nic poza tym. Cóż, dobre i to...

– A ty? – pytam go. – Masz rodzeństwo?

– Tak, też mam siostrę – odpowiada Bartosz i pokazuje mi w telefonie zdjęcie ładnej, uśmiechniętej kobiety siedzącej w wiklinowym fotelu pośrodku zadbanego, pełnego kwiatów ogrodu.

Później łapie mnie za rękę i ciągnie do jednej z bram. Za nią jest zaskakująco przestronne podwórze – pełne rozłożystych krzewów wciąż kwitnących bzów, z obrośniętą mchem kamienną fontanną na

środku. Całość, mimo otaczającego nas zdewastowanego piękna, wydaje mi się bajkowa – nagle jesteśmy w tajemniczym ogrodzie; gdzieś zniknął gwar pobliskiej ulicy, a wokół nas nie ma żywego ducha.

– Tutaj bawiłem się z kolegami, kiedy byłem smarkaczem. – Uśmiecha się Bartosz, a później zakłada mi za ucho kosmyk włosów, pochyla się i całuje mnie w usta. – Wybacz, nie umiem czekać – szepcze z wargami przy moich wargach, a później całuje mnie jeszcze raz i jeszcze, a pode mną uginają się nogi...

Kiedy się tulimy, jestem mocno zaskoczona intensywnością tego, co do niego czuję. Od rozstania z mężem szukałam kogoś na stałe, ale nigdy nie rzucałam się tak szybko i ufnie w nową relację z mężczyzną, przynajmniej nie emocjonalnie, bo parę beztróskich jednonocnych przygód po drodze zaliczyłam, z czego nie jestem szczególnie dumna... Niczego przecież o nim nie wiem, a jednak kompletnie mnie zauroczył, oswoił tak łatwo, jak oswaja się przerażone, głodne zwierzątko, wyciągając w jego stronę rękę z jedzeniem.

Kiedy się rozstajemy, po tym jak on odprowadził mnie przed blok i pocałował na pożegnanie, wysyłam esemesa Iwonie.

„Chyba się zakochałam, wyobrażasz sobie?!” – piszę.

Przyjaciółka odpisuje kilka minut później:

„Nie wiedziałam, że jesteś tak nieodpowiedzialna!” – czytam.

Wiadomość od niej wprawia mnie w osłupienie i na dobrą chwilę psuje nastrój. Nieodpowiedzialna? Bo dałam się zaprosić na fajną majową randkę?

„O co Ci chodzi?” – piszę, ale decyduję, że tego nie wyślę i pozostawiam esemesa od niej bez odpowiedzi.

Iwona dzwoni kwadrans później, ale nie odbieram. Nagle zdaję sobie sprawę, że od jakiegoś czasu jest wszechobecna w moim życiu i zaczyna mnie to drażnić. Zachowuje się tak, jakby rościła sobie prawa do mojej osoby. Jest nachalna, wścibska i ciągle mnie obserwuje, co zaczyna mnie czasem przyprawiać o ciarki. Ma w sobie

coś z psychopatki, myślę i wybucham śmiechem, wkładając klucz do zamka.

– Bez przesady – mruczę pod nosem, rozbawiona własną paranoją i samotnie wchodzę do pustego mieszkania.

Córka śpi tego dnia u nowej przyjaciółki ze szkoły, więc robię sobie drinka i bosy kręcę się po salonie. W głowie mam Bartosza, jak film przesuwają się w mojej pamięci wspomnienia naszego spaceru, rozmów i pocałunku, jestem totalnie zauroczona tym mężczyzną, którego kilka dni temu jeszcze nawet nie znałam...

Kiedy zmywam makijaż, ponownie dzwoni Iwona. Znam ten jej upór, nie zachowuje się tak po raz pierwszy. Zazwyczaj, kiedy nie odbieram, wydzwania do skutku, a jeśli wyciszam telefon, rano rzuca focha. Ale nie pozwolę jej sobą rządzić, co to, to nie! Mogę przecież być w kinie czy pod prysznicem, nie muszę odbierać od niej wszystkich połączeń, mówię sobie, po czym wkładam komórkę do komody i dla stłumienia dźwięku przykrywam ją grubym wełnianym swetrem.

– Teraz możesz sobie wydzwaniać – mruczę, zanim wychodzę na mój zapaskudzony przez gołębie minibalkon i oddycham aromatycznym majowym powietrzem.

Bartosz... Wyobrażam sobie, jak się kochamy, i cicho wzdycham. Tak dawno nie byłam z mężczyzną, na którym naprawdę by mi zależało, tęsknię za tym – dociera do mnie. W głębi mieszkania dzwoni moja komórka, nawet z komody słyszę znajomą melodyjkę. Krzywię się, a później wchodzę do pokoju i wyciszam ją. Nie mam ochoty na rozmowę z Iwoną. Wiem, że się o mnie martwi, ale jest w niej coś toksycznego. Po romantycznym wieczorze z Bartoszem nie chcę wysłuchiwać jej kąśliwych uwag czy ostrzeżeń. Ona widzi świat w znacznie ciemniejszych barwach niż ja. Nie potrafi tak do końca zaufać ludziom, wszędzie węszy podstęp. Bartoszowi też nie ufa. Powtarza, że jest zbyt nachalny, że pewnie dziwkarz, skoro poderwał mnie w drogerii, że muszę na niego uważać. Obsesyjnie śledzi każdy mój ruch, komentuje, osacza mnie. Jeszcze kilka tygodni wcześniej brałam to wyłącznie za przyjacielską troskę, ale nagle zaczynam mieć

wątpliwości. Czy to możliwe, że ona pragnie sprawować nade mną jakąś chorą kontrolę? Zastanawiam się, stojąc samotnie na balkonie.

Później idę pod prysznic, gdzie w strugach gorącej wody pieszczę się, myśląc o Bartoszu, a kiedy moje palce wślizgują się w cipkę, wyobrażam sobie, że to jego ręka przekracza tę intymną granicę, i drzę na samą myśl o tym.

W nocy o nim śnię, a rano uśmiecham się szeroko na widok wysłanego przez niego esemesa.

„Myślę o Tobie” – czytam i świat od razu staje się piękniejszy.

W Koniczynie zjawiam się tuż przed otwarciem, zostawiając sobie tylko tyle czasu, żeby nie ryzykując spóźnienia, zdążyć się przebrać w służbowy uniform i usiąść przy kasie. Iwona oczywiście już jest, zawsze przychodzi znacznie wcześniej, jakby się na mnie czaiła, zdaje sobie sprawę i ta myśl wywołuje u mnie dyskomfort.

Zakładam właśnie służbowe tenisówki, kiedy przyjaciółka pojawia się w naszej przebieralni i staje mi nad głową.

– Dzwoniłam wczoraj wiele razy – mówi z wyrzutem, w jej głosie słyszę złość.

– Wybacz, zauważyłam nieodebrane połączenia od ciebie dopiero koło północy – beczelnie kłamię, bo nie zamierzam się jej tłumaczyć.

– Nie powinno się ignorować przyjaciół, a od czasu do czasu warto by zerknąć na telefon. Jesteś matką nastolatki, chociażby dlatego powinnaś częściej sprawdzać komórkę – poucza mnie Iwona irytująco moralizatorskim tonem.

– Nie powinno się osaczać przyjaciół – mówię i unoszę głowę, żeby spojrzeć jej prosto w oczy. – A ty masz zwyczaj natrętnego osaczania ludzi – dodaję, zbyt późno gryząc się w język.

– Osaczam cię? – Iwona wygląda na zszokowaną. – Myślałam, że to przyjaźń, ale skoro tak na to patrzysz... – mówi i wybiega z przebieralni.

Po chwili słyszę, jak zamyka się w łazience dla personelu i na zapleczu Koniczyny nastaje niczym niezmacona cisza.

Cholera, chyba przegiełam, myślę i zagryzam wargę. Przepraszę ją, decyduję i ruszam w stronę toalety.

– Iwona, przepraszam – zaczynam, ale z kabiny, w której się zamknęła, dochodzi tylko jej szloch, żadnej odpowiedzi. – Nie płacz, nie wygłupiaj się – proszę ją, ale ona wciąż milczy. – Otwórz, pogadamy. – Stukam w drzwi.

Sekundę później Iwona je otwiera, a ja uskakuję, żeby mnie nie uderzyły.

– Ostrożnie, chcesz mi wybić zęby? – żartuję, a ona krzywo się uśmiecha.

– Bez zębów nie miałabyś już takiego powodzenia, co? – rzuca kąśliwym tonem, ale zaraz później łapie mnie za rękę i kładzie ją sobie na piersi. – Kocham cię i martwię się o ciebie, to wszystko. Ale skoro cię osaczam, więcej do ciebie nie zadzwonię.

– Daj spokój, nie musisz od razu...

– Muszę, Anka! Wiesz, jak się wczoraj czułam?! – Nagle Iwona znowu zaczyna szlochać, więc ją przytulam, a ona przywiera do mnie mocno, niczym przestraszone dziecko do matki, i cała się trzęsie w moich ramionach. – Po prostu się o ciebie martwiłam – powtarza jeszcze kilkukrotnie, zanim wyswobadza się z moich objęć, podchodzi do umywalki i przemywa twarz zimną wodą.

– Musimy iść na salę, trzeba już otwierać sklep – mówię cicho, a ona gniewnie syczy.

– Chrzanię sklep! Musiałyśmy porozmawiać, oczyścić atmosferę pomiędzy nami – rzuca ze złością w głosie.

– Więc porozmawiałyśmy. I proszę, nie gniewaj się. – Posyłam Iwonie uśmiech, a ona poprawia mi włosy.

– Nie gniewam się. Ale nigdy więcej nie bądź dla mnie taka podła jak wczoraj.

– Podła? Po prostu nie odbierałam telefonu! – mówię. – Chryste, myślałby kto, że zamordowałam ci kota!

– Nie odbierałaś? Mówiłaś, że go nie słyszałaś. – Iwona momentalnie łapie mnie za słowo, ale nie zamierzam kontynuować tej dyskusji.

Wychodzę z łazienki, otwieram Koniczynkę i siadam przy kasie. Przeprosiłam i nie będę się przed nią dłużej kajać.

Iwona pojawia się chwilę później i nadal sprawia wrażenie naburmuszonej. Na chwilę podnosi mi to ciśnienie, ale w końcu mówię sobie, że powinnam przestać obserwować jej zmieniające się nastroje. Wiele razem przeszłyśmy. Pomagałyśmy sobie w trudnych chwilach, pocieszałyśmy się w najciemniejszych momentach, wypiliśmy hektolitry wina i zdarzało się nam wspólnie płakać, ale to nie znaczy, że dam się jej zmanipulować. Ostatnio zachowuje się coraz dziwniej, a ja zaczynam mieć po kokardy jej fochów, dąsów i zazdrości, która, choć się jej wypiera, jest dla mnie oczywista. Tak, Iwona jest o mnie zazdrosna. Boli mnie to, bo w przyjaźni nie powinno być miejsca na takie emocje, ale też staram się ją zrozumieć. Nie nazwałabym jej nieatrakcyjną. Jej uroda jest może nieszczególnie ostentacyjna, choć całkiem miła dla oka, ale nie można jej też określić mianem pięknej. Moja aparycja jest solą w jej oku, wiem o tym, ale przecież nic na to nie poradzę. Nie obetnę się na łyso ani nie okaleczę, żeby ona lepiej się czuła. Zazdrości mi gęstych, długich włosów, hiszpańskiego typu urody i przyciągania męskich spojrzeń, ale to nie moja wina, że matka natura obdarowała mnie powabem. Równie dobrze można by kogoś obwiniać za to, że w przeciwieństwie do innych nie ma żyłaków – myślę, wbijając kody kupionych przez stałą klientkę kosmetyków.

Przez resztę dnia prawie się do siebie nie odzywamy.

Iwona od czasu do czasu posyła mi przeciągłe, wyraźnie niechętne spojrzenia, ale konsekwentnie ją ignoruję. Zachowuje się jak rozkapryszony bachor, ale nie pozwolę się wciągać w takie gierki. Nie ze mną te numery.



## 9 IWONA

Po naszej wczorajszej kłótni wciąż czuję się fatalnie. Słowa Anny o tym, że rzekomo ją osaczam, wryły mi się w pamięć i cierniem wbiły w serce. Osaczam ją?! Ta niewdzięczna, zarozumiała dziwka naprawdę myli moją troskę z natręctwem?! Boli mnie to tak bardzo, że ciągle pochlipuję po kątach, kiedy nikt nie widzi, i wszystko leci mi z rąk.

Teraz, dzień później, Anna zachowuje się wobec mnie poprawnie, ale utrzymuje dystans, przez co czuję się jeszcze gorzej.

– Nie traktuj mnie tak – proszę ją, kiedy spotykamy się przy kasach.

– Jak? – pyta, udając zdziwioną.

– Jakbym była powietrzem! – podnoszę głos, a ona się krzywi.

– Jesteśmy w pracy, czego oczekujesz? Nie poleję nam wina, żebyśmy mogły sobie poplotkować! – Teraz i ona krzyczy, na całe szczęście drogeria jest pusta, a Żbika nie ma.

– Nie wiedziałam, że jesteś taka fałszywa! – zarzucam jej. – Kiedy było ci źle, kiedy mnie potrzebowałaś, poświęcałam ci całe wieczory, odkładałam na bok własne życie, ale teraz, kiedy poznałaś tego przypadkowego dziwkarza, nagle masz mnie gdzieś! – dodaję, a ona czerwienieje ze złości i oskarżycielsko wyciąga w moją stronę palec.

– Odkładałaś na bok całe swoje życie?! – Śmieje się. – Ty nie masz życia, Iwona. Żyjesz moim! – ciska mi prosto w twarz, podła i bezduszna, a ja się zataczam, bo jej okrutne słowa niemal zwalają mnie z nóg.

– Wow – mówię cicho. – Dzięki wielkie za szczerość – dodaję, ale ona nie odpowiada.

Łapie za metkownicę i w skupieniu zabiera się do pracy.

Stoję tuż za nią, przyglądam się jej sylwetce, podziwiam długą szyję i opadające jej na plecy błyszczące włosy, a później wyobrażam sobie, że przynoszę z zaplecza nóż i obcinam jej ciemne grube kosmyki, szarpiąc je ostrzem, jeden po drugim. Anna krzyczy, kiedy tnę je tuż przy skórze, a pukle w odcieniu gorzkiej czekolady spadają na posadzkę pod nasze nogi. Wyobrażenie jest tak plastyczne, że przez chwilę mam wrażenie, że trzymam w ręku nóż, a ona wrzeszczy w panice i przerażeniu. Bez włosów nie byłabyś już taka pewna siebie, wredna suko, myślę mściwie, zanim samotnie przechodzę na zaplecze i zażywam tabletkę przeciwłękową, którą niedawno zapisała mi lekarka.

„Ty nie masz życia, Iwona” – wracają do mnie szydercze słowa Anny i obiecuję sobie w duchu, że zapłaci mi za tę jawnie okazaną pogardę. Ja nie mam życia?! Mam przecież córkę, byłego męża i jakichś tam znajomych, mówię sobie, chociaż wiem, że to nieprawda. Anna się nie myli. Jestem żalowaną kobietą w średnim wieku, która rozpaczliwie wczepia się w innych, bo sama nie ma pojęcia, co ze sobą zrobić... Jestem karykaturą dawnej siebie, chorą z zazdrości o przyjaciółkę podłą kreaturą, która potrafi wyłącznie się nad sobą uzalać. Zamykam się w łazience dla personelu, stoję przed lustrem i uderzam się otwartą dłonią w twarz, wielokrotnie, aż na moich policzkach wykwitają czerwone plamy.

– Głupia, głupia, głupia! – powtarzam, a z oczu płyną mi łzy. – Jesteś głupią, szpetną cipą – syczę, a kobieta w lustrze patrzy na mnie zażalowanymi, przerażonymi oczami kogoś kompletnie pogubionego...

Po wyjściu z łazienki idę na papierosa i przez prawie kwadrans stoję na dziedzińcu na tyłach budynku, ociągając się z powrotem do pracy.

Kiedy w końcu wracam do sklepu, Tośka opowiada coś Annie i obie głośno się śmieją. Roześmiana twarz przyjaciółki sprawia mi ból, moje łzy ledwo zdążyły obeschnąć, a przecież płakałam z jej powodu... Wredne dziwki, pewnie zawiązały właśnie jakieś przymierze przeciwko mnie, podszeptuje mi jakiś głos w mojej głowie i w bezsilnej

złości zaciskam dłonie w pięści. Wszyscy są tacy fałszywi, myślę. A ja tylko chciałabym mieć przyjaciół...

Po piętnastej do Koniczynki wpada facet z terenowego bmw, Bartosz. Ubrany w elegancki lniany garnitur, z naręczem fioletowego bzu w dłoni, rozacza wokół zapach wody kolońskiej i tę charakterystyczną dla ludzi przy forsie aurę pewności siebie. Jego romantyczny gest do reszty wytrąca mnie z równowagi, irytuje.

– Tu się pracuje, Romeo – rzucam przez zęby, a on posyła mi pogardliwy uśmiezek, podchodzi do wykładającej towar Anny i znienacka całuje ją w kark.

Moja przyjaciółka cicho piszczy zaskoczona. Jej kochaś zaszedł ją od tyłu i chyba ją przestraszył. Nie słyszała, jak wszedł, była tak zamyślona, że musiało jej nawet umknąć moje szydercze powitanie tego amanta. Ale teraz skupia na nim całą swoją uwagę, rozkwitła w kilkanaście sekund – błyszczą jej oczy, przeciągnięte błyszczkiem pełne wargi wygięła w uśmiechu, pozwala mu się objąć, po czym wacha bez i dziękuje mu za kwiaty.

Przyglądam się im ukradkiem, a zazdrość wypala mi wnętrzności, zalewa mnie żółcią. Łącząca ich namiętność jest tak oczywista, taka namacalna. Jak zdołali w kilka krótkich dni dojść do stanu, w którym nie potrafią oderwać od siebie rąk i oczu? – zastanawiam się.

– Darowaliby sobie ten teatrzyk – szepcze mi na ucho Tośka, w której niespodziewanie znajduję sprzymierzeńca. – Nie każdy ma tyle szczęścia w miłości – dodaje również szeptem.

Ona też wygląda na zazdrosną, ale trudno się jej dziwić. Jest przed trzydziestką, znacznie od nas młodsza, ale otyła i nieatrakcyjna. Z tego, co wiem, kiedyś była w związku z kolegą z technikum, ale zerwali po jej dwudziestych drugich urodzinach i od tamtej pory ciągle jest sama. Zjawiskowa uroda i powodzenie Anny również muszą ją boleć. Jak dotąd nigdy nie robiła żadnych kąśliwych uwag w temacie, ale teraz widzę, z jaką tęsknotą patrzy na tego elegancko ubranego mężczyznę, a w jej oczach lśnią łzy.

– Ciekawe, co będzie dalej? Może niedługo on jej się oświadczy przy regale z szamponami? – odpowiadam cicho, a Tośka chichocze.

– Byleby nie zaczęli się pieprzyć gdzieś w kącie, przy papierze toaletowym, bo jak wejdzie Włodek Żbik, to na zawał padnie. Przecież on tak rozpaczliwie się w Ance kocha. – Kolejna uwaga Tośki potwierdza moje przypuszczenia, że szef ma coś do mojej przyjaciółki, jak zresztą wielu innych facetów, w tym przynajmniej jeden młody dostawca i dwóch kurierów.

– Aż tak się chyba nie zagalopują – mówię i złośliwie się uśmiecham, tymczasem Tośka woła Annę na kasę, prosząc, żeby łaskawie wróciła do pracy.

Moja przyjaciółka zegna więc pocałunkiem swojego Romea, zanoszą bukiet bzu na zaplecze i w milczeniu wchodzi za kasę, podczas gdy na parkingu przed Koniczynką jej nowy kochaś wsiada do swojej wypasionej terenówki. Kiedy chwilę wcześniej wracała z zaplecza spojrzała na mnie i przez jedną chwilę miałam wrażenie, że na jej twarzy pojawił się wyraz wyższości i triumfu, jakby napawała się swoim powodzeniem i miłością mężczyzny, który tak otwarcie potrafi okazywać jej uczucie i zainteresowanie.

– Iwona ci tego nie powie, bo się przyjaźnicie, ale ja nie mam problemów z waleniem prawdy między oczy, więc proszę cię, żebyś nie urządzała tu takich scen rodem z kart szmatławych romansideł – odzywa się do niej Tośka, a Anna krzywo się uśmiecha.

– Nie wiedziałam, że Bartosz się tu dziś zjawi i z całą pewnością nie miałam pojęcia, że narwie dla mnie bzu ze swojej działki – broni się, co tylko irytuje Tosię.

– Ale migdalić się z nim na naszych oczach nie musiałaś! Iwona ma rację, tu się pracuje, a nie maca po kątach! Do nas jakoś amanci z kwiatami nie zaglądną, żadnych cyrków nie robią! – Teraz Tośka jest już wyraźnie wściekła i otwarcie okazuje Annie wrogość. Scena z bzem musiała wytrącić ją z równowagi bardziej, niż podejrzewałam...

Nawet jeśli rano razem się z czegoś śmiały, teraz nie ma pomiędzy nimi nawet cienia porozumienia, a jedynie czysta niechęć.

– Nie zaglądamy do was adoratorzy? Może dlatego, że ich nie macie? – odcina się jej Anna z uśmiechem wyższości na zarumienionej z emocji twarzy.

Tośka nie odpowiada. Czerwona z wściekłości przechodzi w głąb drogerii i żeby zająć czymś ręce, zabiera się do wykładania towaru.

Ja milczę, nie mam Annie nic do powiedzenia.

Kilka godzin później obie przebieramy się w sukienki i zmieniamy buty, ale nie zamieniamy nawet słowa w ciasnej przebieralni.

Tośka też milczy. Wychodzi kilka minut przed nami, nie żegnając się ani z Anną, ani ze mną.

Opuszczam drogerię w ciszy, która dosłownie mnie oblepia. Anna zostaje, dziś jej kolej zamknięcia i zabezpieczenia sklepu.

Kiedy idę ulicą, widzę zakochaną parę koło czterdziestki i chce mi się płakać. Czy już zawsze będę sama? – zastanawiam się, mijając ich.

W mieszkaniu biorę prysznic i z mokrymi włosami, owinięta dużym frotowym ręcznikiem, siadam na sofie z butelką wina w ręku. Sylwii nie ma, wyszła gdzieś, zostawiając po sobie chlew – w kuchni piętrzą się nieumyte naczynia, w przedpokoju na podłodze leży kilka par jej butów i cztery torebki – najwidoczniej córka gdzieś się spieszyła i w pośpiechu wybierała najlepszy strój. Piję, starając się ignorować dochodzącą z piętra wyżej dudniącą muzykę, ale rytmiczne basy dosłownie rozsadzają mi czaszkę.

W końcu wstaję, zakładam majtki, sukienkę na ramiączkach, którą w ciepłe dni noszę po mieszkaniu i bosą idę na górę.

Łomocząc w drzwi upiornej parki, wyobrażam sobie, jak – powiedzmy za całokształt – daję w gębę tej zapitej, bezczelnej dziwce, ale o dziwo otwiera mi on.

– Dzień dobry, sąsiadeczko. – Uśmiecha się szeroko i wygląda na to, że pochlebia mu moja niezapowiedziana wizyta.

W ręku trzyma piwo, na sobie ma krótkie sportowe spodenki i szarą koszulkę na szerokich ramiączkach – wygląda tak, jakby właśnie

wybierał się na osiedlową siłownię bądź niedawno z niej wrócił, o czym może świadczyć roztaczający się wokół niego intensywnie morski zapach płynu do kąpieli.

– Proszę ściszyć te basy – rzucam, a on upija kilka łyków piwa i zanosi się śmiechem.

– Bo co? – pyta i opiera się o framugę.

– Bo jest, kurwa, za głośno! – klnę, wyrzucając z siebie całodzienną frustrację.

– Sąsiadeczka pokazuje pazurki? To może piwko? – proponuje nagle i szerzej otwiera drzwi. – Wejdz, nie gryzę – zwraca się do mnie na „ty”, wyraźnie tnie dystans.

Dzięki, nie skorzystam, mam na końcu języka, ale nagle coś mnie kusi i przestępuję próg jego mieszkania. W środku panuje zaskakujący porządek. Po ludziach żyjących z zasiłków i na okrągło imprezujących spodziewałabym się chlewu, a tu całkiem czysto...

– Jestem DJ Młot. – Sąsiad wyciąga do mnie wielkie jak bochen łańsko. – Taka ksywa – dodaje, widząc moje zdziwienie.

– Iwona – mruczę, a on usadza mnie na sofie i idzie po piwo.

Kiedy podaje mi flaszkę, pytam, gdzie jego panna.

– Odeszła, a raczej ją pogoniłem. Za dużo piła, za mało się starała – mówi i puszcza do mnie oczko. – Chlała, na okrągło robiła syf, nie umiała gotować, a dupy dawała z łaski. Słaby miks, nie? – rechocze.

Jego pogardliwe słowa o byłej są paskudne i wyjątkowo chamskie, ale wieści o jej wyprowadzce mnie cieszą. Była wredna, bezczelna i agresywna, bez niej będzie tu lepiej, myślę.

Tymczasem Młot, jak w skrócie kazał się nazywać, siada tuż obok mnie i obejmuje mnie ramieniem.

– Dziwne, że jak dotąd nie poznaliśmy się bliżej – mówi, a jego palce gładzą moje ramię.

Jakaś część mnie nakazuje mi wstać, wyjść z tego mieszkania i nie oglądając się za siebie, wrócić na dół, ale inna, bardziej mroczna strona mojej osobowości poddaje się chwili i nieoczekiwanemu rozwojowi akcji. Wtedy Młot się pochyła i całuje mnie w usta, jego

język penetruje ich wnętrze. Śmiało sobie poczyzna. Oddając mu pocałunek, myślę o Annie. Nie tylko ona kogoś ma, przechodzi mi przez głowę, kiedy gość wsuwa dłoń pod moją sukienkę. Chwilę później leżę na sofie, a on ściąga z moich bioder majtki i zaczyna mnie pieścić językiem. Wczepiam palce w jego włosy, czując nadchodzący orgazm. Jego pieszczoty są tak intensywne, że prawie mdleję. Dochodząc, krzyczę, a on lekko gryzie delikatną skórę wnętrza moich ud i mruczy, ukontentowany moją entuzjastyczną reakcją na jego pieszczoty. Później wyjmuję z komody prezerwatywę, zakłada ją i wchodzi we mnie, a potem rytmicznie się porusza, aż do spełnienia. Jego ciężar wgniata mnie w sofę, ale nie przeszkadza mi to. Leżę pod nim, czując mieszankę męskiego potu, piwa i tytoniu, a on posuwa i posuwa, aż przeciągle jęczy, kończy i wychodzi ze mnie. Zużyta gumkę ciska za otwarte na oścież okno, później nagi przechodzi przez pokój, dopija piwo, beka i mówi, żebym się zbierała.

– Mrówka zaraz wraca, jak cię tu zastanie, to ostro się wkurwi – rzuca.

– Kto? – pytam, a on podnosi z podłogi moje majtki i kładzie mi je na brzuchu.

– Mrówka, moja panna. Daj spokój, chyba nie łyknęłaś tej bajeczki o tym, że ją pogoniłem? – Sąsiad rechocze, a ja czuję, że moje policzki oblewa rumieniec wstydu.

– Skłamałeś, żeby mnie przelecieć? – pytam cicho, a on wzrusza ramionami.

– Nie inaczej – przyznaje i odstawia butelkę po piwie na parapecie obok donicy z paprotką. – Facet musi czasem zaliczyć nową cipkę, nie? Takie życie. – Uśmiecha się obleśnie, a ja wstaję, obciążam zmiętą sukienkę i płonąca ze wstydu, zakładam majtki.

Idiotka! – wyrzucam sobie, idąc w stronę przedpokoju.

Upokorzona okrutnymi słowami Anny chciałam coś przeżyć, może nawet z kimś się związać, bez względu na to, co sobą reprezentował, i dałam się przelecieć temu typowi jak ostatnia naiwna! Co jest ze mną nie tak?! Anna nigdy nie władowałaby się w taką popapraną

sytuację, nie dałaby się zaliczyć na sofie koleśowi, którego jeszcze niedawno uważała za zapitą patologię. Jedynym plusem jest to, że założył gumkę. Przynajmniej nie złapię od niego żadnego syfu, myślę, samotnie schodząc na dół.

– Hej, sąsiadeczko! – woła za mną wychylony przez poręcz. – Fajnie było!

– Włączaj ciszej muzykę! – odkrzykuję i zamykam się u siebie, gdzie biorę kolejny prysznic i rzygam do sedesu mieszaniną wina, piwa i zjedzonych w drodze z pracy miętowych lodów.

Więc ona ma ksywkę Mrówka, dociera do mnie, kiedy myję zęby. Co, jeśli wyda się, że zaliczył mnie jej facet? – przechodzi mi przez myśl. Będą z tego problemy czy wszystko rozejdzie się po kościach? Zastanawiam się nad tym, robiąc sobie kakao.

Później, mimo że jest jeszcze wcześnie, kładę się do łóżka i zaciskam powieki tak mocno, jakbym już nigdy nie chciała ich otworzyć. Moje życie jest porażką, kołacze mi się po głowie.

Prawie zasypiam, zapadając się w płytki pierwszy sen, kiedy wraca Sylwia.

Jest pijana, nie muszę nawet jej widzieć, żeby mieć pewność. Słyszę, jak się miota po przedpokoju, jak klnie, strącając coś na podłogę.

\* \* \*

– Masz szesnaście lat, nie powinnaś jeszcze wstawać na kacu – mówię rano, a ona bąka coś o tym, że młodszy od niej chleją i ćpają.

– I wypilałam tylko trzy piwa, więc nie rób dramy – rzuca i pogardliwie wydyma usta, które, mimo wczesnej pory, zdążyła już przeciągnąć krwistoczerwoną szminką.

– Nie robię dramy. Nie chcę tylko, żebyś spieprzyła sobie życie.

– Moje życie już jest spieprzone. Mam rodziców nieudaczników i chujowe perspektywy na przyszłość – mówi Sylwia z błakającym się w kącikach ust uśmiechem. – Przykre, ale takie są fakty – dodaje, widząc ból w moich oczach.



– Ja nie umiałabym powiedzieć czegoś tak okrutnego mojej matce – odzywam się po dłuższej chwili ciężkiego milczenia pomiędzy nami. – Nawet jeśli bywała dla mnie podła i często biła mnie czym popadnie.

– No sorry, nie chciałam ci dopiec. Mówię tylko, że kasy to z wy z ojcem robić nie potraficie. – Sylwia wzrusza ramionami i sięga do lodówki po karton soku.

– Wyjdź lepiej za mąż, ustaw się wyżej, zobaczymy, co tobie uda się osiągnąć – mruczę, a ona krzywo się uśmiecha.

– Ja wierzę w miłość. Pieniądze są na drugim miejscu. To ty zawsze byłaś na nie łaś, tyrałaś ojca tak długo, aż od nas uciekł. Zajechałabyś go na śmierć jak łysą kobyłę, gdyby z nami został. Pamiętam, jakie awantury robiłaś, kiedy nie zarabiał tyle, ile oczekiwałaś, pod jaką presją ciągle żył – wypomina mi.

– Zajechałabym go na śmierć jak łysą kobyłę? – Słowa córki kompletnie mnie szokują.

– A nie? Przecież to przez ciebie wyjechał do roboty za granicę. Jego pensja magazyniera nigdy ci nie wystarczała – odpowiada.

Później upija prosto z kartonu kilka łyków soku, wyjmuję z lodówki jogurt naturalny, sięga po łyżeczkę i zostawia mnie samą.

Dociera do mnie, że nawet moja szesnastoletnia córka ma mnie za nieudacznicę. Później przypominam sobie wczorajsze wieczorne spotkanie z sąsiadem i robi mi się niedobrze. Co ja najlepszego narobiłam?

## 10 ANNA

Restauracja Venezia mieści się na parterze budynku ratusza. To najbardziej prestiżowa lokalizacja w naszym mieście i jedna z najpiękniejszych knajp w okolicy. Wnęki, w których siedzą goście, są rozświetlone światłem płonących w latarenkach z kolorowego szkła świec, na ścianach widnieją artystycznie wykonane grafiki przedstawiające weneckie kanały, gondole i plac świętego Marka, a kelnerzy noszą szyte na miarę smokingi. Ceny potraw i alkoholi przyprawiają o zawrót głowy, ale kiedy zamawiam jedno z najdroższych dań z karty, siedzącemu naprzeciwko mnie Bartoszowi nawet nie drgnie powieka.

– Cieszę się, że udało mi się dostać tu stolik. Zazwyczaj na rezerwację czeka się nawet kilka tygodni – mówi tylko, kciukiem pieszcząc wnętrze mojej dłoni.

Uśmiecham się do niego i rozglądam wokół, dosłownie chłonąc migawki z otoczenia. Pięknie ubrane kobiety ze zdobięcymi ich opalone dekolty połyskującymi koliaми, elegancy mężczyźni, cichy brzęk sztućców, szelest rozmów i unoszące się wokół aromaty drogich perfum sprawiają, że ozywają wspomnienia mojego dawnego życia z Maciejem i czuję nostalgię na myśl o tym, co utraciłam. Ale szybko odpędzam ponure myśli, nie poddaję się wspomnieniom. Jestem tu z Bartoszem i dobrze się bawię.

– Dawno nie byłam w tak drogim lokalu – przyznaję szczerze, a Bartosz się puszy, dumny z siebie i objętości swojego portfela.

– Przy mnie będziesz bywać w jeszcze lepszych, a któregoś dnia zabiorę cię do Wenecji. Tej prawdziwej. – Uśmiecha się, składając mi jedną z pierwszych obietnic w naszym pączkującym związku.

- Kocham Wenecję – mówię, a on pochmurnieje.
- Znasz ją?
- Tak, jeździłam tam z byłym mężem.
- W takim razie zabiorę cię gdzieś, gdzie jeszcze nigdy nie byłaś, i to będzie tylko nasze miejsce. Co powiesz na Paryż?
- Znam.
- Lizbona? Madryt? Amsterdam? – wylicza.
- Znam, byłam. Nie trafiłeś na takiego znowu Kopciuszka, jak mogłoby ci się wydawać – śmieję się. – Ale jest miejsce, o którym marzę – wyznaję, nie podając nazwy. – Zgadniesz?
- Nie wiem, Kalifornia?
- Bliżej, znacznie bliżej. A Kalifornię też znam.
- Praga?
- Byłam.
- Jakaś podpowiedź? – prosi Bartosz, nie przestając pieścić kciukiem wnętrza mojej dłoni.
- To miasto nazywane jest Wenecją Północy – podpowiadam mu więc, a on parska śmiechem.
- I znowu wracamy do Wenecji. Przynajmniej w pewnym sensie. Obawiam się jednak, że twoja podpowiedź niewiele mi mówi...
- Brugia, zwana też Wenecją Flandrii – wyjaśniam. – Marzę o tym mieście od dawna, dosłownie śnię o nim po nocach.
- Skoro tak, trzeba będzie spełnić twoje marzenia. Kiedy chcesz tam lecieć?
- Jaki konkretny – śmieję się, a on pochyla się w moją stronę i patrzy mi w oczy tak intensywnie, że aż się czerwienię.
- Życie trzeba przeżywać intensywnie, zbyt szybko leci, żeby pozwalać sobie na marazm – filozofuje. – Pomyśl nad jakimś dogodnym terminem, a ja wszystko zarezerwuję. Chyba możesz wziąć kilka dni urlopu?
- Tak, z tym nie powinno być problemów. Od dwóch lat nie brałam wolnego. – Krzywię się na wspomnienie swojej pracy, a on samym

opuszkiem palca kreśli kilka kółek na wewnętrznej stronie mojej lewej dłoni.

– Masz taką delikatną skórę. Jak aksamit – mówi. – Nie powinnaś tak ciężko pracować, a już zwłaszcza nie w takim miejscu.

– Moja praca nie jest szczególnie ciężka. Co najwyżej monotonna i czasem lekko uciążliwa.

– Nie musisz dźwigać?

– Czasem, ale zawsze sobie z dziewczynami pomagamy.

– Takie z was dobre przyjaciółki? Wiesz, że ta chuda, myszowata celowo podała mi zły numer do ciebie?

– Tak, wspominałeś, ale nie wierzę, żeby Iwona zrobiła to umyślnie. Musiała pomylić jedną z cyfr, zdarza się – usprawiedliwiam koleżankę, chociaż, prawdę mówiąc, stuprocentowej pewności w temacie nie mam.

– Zazdroszczą ci. Urody, powodzenia, lepszych opcji na przyszłość – mówi tymczasem Bartosz, uparcie trzymając się tematu moich koleżanek z drogerii.

– Tak? A jakie są moje opcje na przyszłość? – pytam rozbawionym tonem, a on pochyła się, całuje wnętrze mojej dłoni i rzuca coś o małżeństwie z zaradnym mężczyzną.

– Ktoś powinien się tobą zaopiekować. Zasłużyłaś na to.

– Bo jestem piękna? A Iwona nie zasłużyła? – rzucam zaczepnie, a on lekko się krzywi.

– Iwona nie ma klasy. Jest tania i przaśna, poza tym wydaje się żenująco banalna.

– Na jakiej podstawie to wszystko wywnioskowałaś?

– Daj spokój, wystarczy na nią spojrzeć – Bartosz wydaje się rozbawiony tym, jak zawzięcie bronie koleżanki.

– Nie znasz jej. Niczego o niej nie wiesz. Widzisz tylko to, co na pierwszy rzut dostępne dla oczu! – podnoszę głos, poirytowana jego postawą.

– Tak, a w środku znalazłbym coś ciekawego? Tylko nie mów, że jest jak jedna z tych ruskich lalek, które...

– Przestań – wchodzę mu w słowo, bo nie podoba mi się wyraźnie słyszalne lekceważenie w jego głosie. – Nie pozwolę ci się z niej nabijać! Nie miała łatwego życia, ale codziennie walczy o siebie i o córkę! A ty zachowujesz się jak buc! – Zrywam się z krzesła i ruszam w kierunku szerokich marmurowych schodów prowadzących do toalety.

Kiedy wracam, Bartosz wygląda na skruszonego.

– Wybacz, może faktycznie się zagalopowałem – kaja się przede mną i wstaje z krzesła, czekając, aż ja usiądę.

Mój dziadek zawsze tak robił. Lubię, kiedy mężczyzna okazuje kobiecie szacunek, więc posyłam mu uśmiech i zawieramy milczące przymierze.

– Nie rozmawiajmy o Iwonie, drogerii ani mojej pracy – proszę go. – Zdradzę ci jeszcze tylko, że kiedyś miałam znacznie większe aspiracje niż etat w takim miejscu.

– Nie wątpię. – Bartosz uśmiecha się do mnie i dodaje, że nie osądza tego, co robię, chociaż nie zachwyca go myśl, że tyram w Koniczynie. – Niedługo stamtąd odejdziesz. Przy mnie nie będziesz musiała pracować.

– Miałabym być na twoim utrzymaniu? – Uśmiecham się nieco kwaśno.

– Jeśli będziesz chciała, pomogę ci rozkręcić coś własnego. Do Koniczynki będziesz chadzać wyłącznie po waciki. – Mruga do mnie.

– Skoro tak mówisz – kwituję jego słowa i uśmiecham się do młodego, superprzystojnego kelnera, który właśnie podchodzi do nas z butelką czerwonego wina w ręku.

Kiedy go próbujemy, Bartosz mruży oczy i chwali wybór chłopaka. Później zamawia całą flaszkę i pyta, czy miałabym ochotę na spacer po kolacji.

– O ile nie będzie burzy – dodaje i dyskretnie zerka pod stolik. – Nie, zapomnij. W tych szpilkach daleko nie zajdziesz – śmieje się, zauważając w końcu, że specjalnie na tę okazję włożyłam jedne z moich najlepszych butów, kupione kilka lat wcześniej w Budapeszcie

i zakładane dotąd wyłącznie na rzadkie, specjalne okazje, jak to wieczorne wyjście do Wenezji.

Kolacja jest wyśmienita. Zamawiam solonego dorsza, Bartosz dziczyznę. Na deser bierzemy tiramisu i najedzeni przenosimy się na zadane patio, gdzie zamawiamy jeszcze jedną butelkę wina. Wokół nas siedzą głównie zakochane pary, tylko jeden z większych stolików zajmuje głośna, niemiecka rodzina. Na patio stoją donice z pomarańczowymi drzewkami, a rozstawione w wysokich świecznikach aromatyzowane świece sprawiają, że wieczór pachnie charakterystycznym drzewnym aromatem paczuli.

Mogłabym się w nim zakochać, o ile już tego nie zrobiłam, myślę, kiedy Bartosz dolewa mi wina. Jest zabawny, opiekuńczy, zaradny życiowo i inteligentny. Dobrze mi się z nim rozmawia, czuję między nami chemię, a w jego oczach widzę żywe, niekłamane zainteresowanie mną. Iwona oceniła go surowo, do dziś upiera się, że to jakiś dziwkarz, który korzystając ze sposobności, poderwał mnie w drogerii jak pierwszą lepszą naiwną panią, ale nie wierzę, że jest tego typu mężczyzną. Uważam, że mamy szansę na stworzenie czegoś pięknego i trwałego, mówię sobie, kiedy on, z dłonią na moim kolanie, pochyla się, żeby mnie pocałować.

Do domu odwozi mnie taryfą, prosi kierowcę, żeby poczekał i wysiada, żeby odprowadzić mnie pod same drzwi. Wstydzę się biedy, wśród której obecnie żyję, i upstrzonych wielokolorowym, często wulgarnym graffiti ścian mojej klatki, z których płatami odłazi farba, ale Bartosz zdaje się tego nie dostrzegać.

– Jesteś taka piękna, Anula – mówi, kiedy przystajemy na półpiętrze, a później ujmuję moją twarz w dłonie i całuje mnie w usta tak namiętnie, że po chwili brakuje mi tchu. – Pragnę cię – szepcze mi na ucho, jego dłonie wślizgują się pod moją bluzkę, ale zanim udaje mu się dotknąć moich piersi, mówię stanowcze, głośne „nie”.

Jestem pijana, a trzecia randka to jeszcze nie czas na takie pieszczoty. Jakaś część mnie pożąda go tak bardzo, że mogłabym oddać mu się nawet tu, pośród ciemnej, cuchnącej szczykami klatki

schodowej, ale rozsądek wygrywa z pożądaniem i lekko go od siebie odsuwam.

– Nie chcę, żeby to wszystko się działo zbyt szybko – mówię, a on całuje mnie w rękę i obiecuje, że zadzwoni.

– Wejdz do środka, nie zostawię cię samej na ciemnej klatce – prosi jeszcze tylko, więc wydaję klucze od mieszkania siostry z eleganckiej kopertówki, którą Maciej przywiózł mi kiedyś z Hiszpanii i wkładam pierwszy z nich do zamka.

– Dobranoc, piękna księżniczko. – Bartosz obejmuje mnie od tyłu i całuje w szyję, ale nie dostawia się już do mnie bardziej odważnie. Raz przeze mnie zastopowany, trzyma fason, co bardzo mi się podoba.

Kiedy wchodzę do mieszkania, opieram się o frontowe drzwi i cichutko chichoczę. Mam prawie trzydzieści osiem lat, a wracam z randki rozpalona jak nastolatka, myślę, zrzucając z nóg niewygodne, ale szykowne sandały. Kiedy podchodzę do okna, Bartosz właśnie wsiada do taksówki, a ja zdaję sobie sprawę, że już za nim tęsknię.

## 11 IWONA

Pierwsze dni czerwca są dla mnie trudne. Z Anną prawie nie rozmawiam. Panuje co prawda pomiędzy nami w miarę poprawna atmosfera, ale jesteśmy znacznie bliżej grzecznej obojętności niż przyjacielskiego spoufalenia.

Bartosz już nie przynosi mojej przyjaciółce kwiatów do pracy. Być może ona go o to poprosiła, a może sam dał sobie spokój z romantycznymi gestami rodem z *Nocy i dni* (nie wiem czemu na widok amanta Anny z naręczem bzu przypomniła mi się pamiętna scena ze zbieraniem nenufarów, bo podejrzewam, że kochaś Anny, zrywając bez, nie musiał wchodzić do stawu). W każdym razie Romeo i Julia z Koniczynki nie serwują nam już łzawych miłosnych scen, co odpowiada zarówno mnie, jak i Tośce.

Jednak jego terenówkę widuję regularnie – zostawia ją przed drogerią, gdzie, w przeciwieństwie do pobliskiego parkingu, nie musi płacić za postój, i załatwia bieżące sprawy w śródmieściu. W pobliżu jest w końcu urząd miasta, Poczta Główna i ZUS, więc zapewne pretekstów do wizyt na placu przed Koniczynką mu nie brakuje.

Któregoś przedpołudnia, paląc, podchodzę do jego bmw i przez szybę widzę leżącą na desce rozdzielczej zaadresowaną do niego korespondencję, dzięki czemu zdobywam zarówno jego adres, jak i nazwisko. Bartosz Kuna, Piłsudskiego osiemnaście – zapamiętuję.

Wieczorem, kiedy tylko wracam z pracy, korzystając z nieobecności Sylwii, siadam przed starym komputerem, którego wspólnie używamy, i wpisuję w wyszukiwarce nazwisko mężczyzny. Jego firma ma w pakiecie usługi utylizacji odpadów medycznych, własny transport do ich przewożenia oraz szeroką ofertę związaną z tym tematem. Na



internetowej stronie jest jego zdjęcie podpisane jako „prezes zarządu”. Wygląda bardzo profesjonalnie. Później wchodzę na Google Street View i odnajduję Piłsudskiego osiemnaście, gdzie stoi duża willa z olbrzymim, pełnym drzew ogrodem.

– No jasne, dla Anny zawsze wszystko, co najlepsze – mruczę.

– Gadasz do siebie? – rzuca złośliwie Sylwia, która musiała wejść do mieszkania tak cicho, że jej nie słyszałam, i stoi mi teraz za plecami.

– Nie stercz nade mną – syczę, szybko zamykając okna wyszukiwania.

– Potrzebuję komputera – oznajmia moja jedynaczka. – Teraz – dodaje nagle.

– Chwila – mówię, bo chcę jeszcze coś sprawdzić, ale ona dosłownie spycha mnie z krzesła.

– Mamo, teraz! – podnosi głos.

Wstaję więc i niechętnie oddaję jej miejsce przed naszym starym sprzętem. Sylwia zachowuje się wyjątkowo chamsko, ale to przecież żadna nowość. Przez chwilę zastanawiam się, czy w ogóle mam jeszcze jakikolwiek wpływ na to, co robi, mówi i jak mnie traktuje własna córka, ale dochodzę do wniosku, że szanse na to są marne...

– Przejdę się – mówię więc, a ona tylko obojętnie wzrusza ramionami, zapatrzona w monitor.

Na Piłsudskiego nogi niosą mnie dosłownie same. Ulica, przy której mieszka Bartosz, nie jest daleko od naszego osiedla, góra kwadrans spaceru, jednak otoczenie znacznie się różni od miejsca, w którym mieszkam z córką. Tu nie ma brzydkich szarych bloków z wielkiej płyty, poźółkłej od psich szczyń trawy czy przepełnionych koszy na śmieci i głośnych grup wulgarnej, pijanej młodzieży. Tu, wzdłuż wysadzaney starymi kasztanowcami ulicy, stoją zadbane stare wille z równie dopieszczonymi ogrodami. Widok kwitnących rododendronów przed domem Bartosza sprawia, że do oczu napływają mi łzy. Sterczę na przeciwległym chodniku i gapię się na zadbaną pistacjową fasadę willi. Jego samochodu nie ma na podjeździe, więc przypuszczam, że zabrał Annę gdzieś na miasto, być może siedzą teraz w jednej z tych

snobistycznych restauracji w centrum i studiują pełną wykwintnych dań kartę bądź właśnie dopieszczają podniebienie...

Jeszcze kilka minut gapię się na jego dom, omiatając wzrokiem okna, olbrzymie donice z kwiatami przed wejściem i ciągnący się wzdłuż bocznej ściany taras, na którym stoi metalowy stolik i cztery krzesła z fikuśnie wygiętymi oparciami.

Anna niedługo zostanie panią tej willi, przechodzi mi przez myśl i czuję bolesny ucisk w sercu. Wiem, że zazdrość to paskudna cecha. Chciałabym być lepszym człowiekiem, ale myśl o tym, że ona znowu zgarnie całą pulę, sprawia, że chce mi się wyć. Odejdzie z Koniczynki, wróci do bajkowego życia u boku bogatego, świetnie ustawionego mężczyzny, tyle że zamiast architekta dostanie biznesmena, a ja na dobre utknę w mojej koszmarnej, biednej i nudnej codzienności. Myślę o tym, przelykając łzy.

Dzień później, w pracy, przyglądam się jej ukradkiem i czuję jeszcze większą zazdrość. Gołym okiem widać, że jest zakochana. Błyszczą jej oczy, co chwilę się uśmiecha, a z klientami żartuje i lekko flirtuje – jej dobry nastrój udziela się również im, bo odchodząc od kasy, życzą jej pięknego dnia i wszystkiego najlepszego, a do mnie rzucają krótkie: „Do widzenia”.

– Nasza księżniczka taka dziś radosna, że chyba zaraz rzygnę tęczę – szepcze mi na ucho Tośka, kiedy wykładam towar.

– Gdybyś złapała takiego faceta, też byś piała z zachwytu – rzucam przez zęby, a później opowiadam koleżance o willi na Piłsudskiego i prowadzonym przez Bartosza całkiem dochodowym biznesie – na profesjonalną utylizację odpadów medycznych musi w końcu być niemałe zapotrzebowanie.

– Czyli wygląda na to, że piękna Anna długo już tu nie popracuje. – Antonia uśmiecha się złośliwie, ale oczy ma smutne. Ją też boli myśl, że powodzenie i furtkę do lepszego życia otwiera Annie wyłącznie jej nieprzeciętna uroda, którą tak po prostu dostała w prezencie od losu...

– Życie jest takie niesprawiedliwe – stwierdzam z goryczą, a Tośka kiwa głową, zgadzając się z moimi słowami, i otwiera karton z pieluchami, który od godziny leży w przejściu.

Gdyby Żbik to zobaczył... Aż się wzdrygam na myśl o szefie, który co prawda ostatnio rzadziej wpada do drogerii, ale za to zrobił się wyjątkowo czepialski.

Do końca dnia pracuję, obojętnie mijając kręcącą się gdzieś w pobliżu Annę, a później wychodzę z naszej przebieralni, rzucając krótkie: „Do jutra”.

Wieczorem przeglądam internet, żeby zdobyć kolejne informacje o jej facecie, i udaje mi się znaleźć kilka jego zdjęć. Jedno szczególnie przyciąga moją uwagę – Bartosz Kuna, w eleganckim garniturze i pod krawatem stoi na tle ściany zieleni, a obok niego, w pięknej miętowej sukience, siedzi atrakcyjna rudowłosa kobieta na wózku inwalidzkim. Nie wiem, kim jest ta piękność, ale nagle kiełkuje mi w głowie plan. Wyślę Annie to zdjęcie, myślę. Z numeru, którego nie zna, z dopiskiem, że on jest żonaty i trzyma niepełnosprawną żonę w prywatnej klinice, żeby móc bezczelnie uwodzić inne kobiety. Podpiszę się jako „życzliwa” albo „sąsiadka” i Anna nigdy nie odkryje, kto za tym stoi.

Plan jest prosty i wredny, ale przecież muszę walczyć o przyjaciółkę, nie mogę pozwolić jej odejść. Jeśli zwiąże się z nim na poważnie, odejdzie z drogerii i szybko zapomni o naszej znajomości. Jej spektakularny awans społeczny sprawi, że przestanę do niej pasować, nasze drogi nieodwracalnie się rozejdą. Na myśl o tym zaczynam płakać. Powiedziałyśmy sobie ostatnio wiele gorzkich słów, ale wciąż za nią tęsknię. Jest dla mnie jak siostra, pragnę wiedzieć o niej wszystko, przeżywać z nią każdy dzień, doradzać jej, pocieszać ją i malować jej paznokcie. Chcę powrotu naszych wieczorów przy winie, jej śmiechu, wspólnego oglądania filmów i wyjadania waniliowych lodów z jednej miski. Pragnę, żeby było jak dawniej, dlatego muszę raz na zawsze pogonić jej faceta. Decyduję się na działanie.

Wyjmuję z komody telefon z numerem, którego używam czasem do randkowania w sieci. Później zaczynam pisać wiadomość, ale mniej więcej w połowie tekstu moje palce nieruchomieją. Nie mogę, dociera do mnie. Nie jestem aż tak wredna. Nie ja.

Wieczorem wpadam na schodach na Młota, który mija mnie z obleśnym uśmieszkiem, a na półpiętrze przystaje i chamsko łapie się za krocze.

– Wpadnij do mnie jeszcze czasem, sąsiadeczko. Tylko upewnij się, czy Mrówki nie ma w pobliżu – mówi, zanim ze zgrzewką piwa w dłoni wbiega na piętro.

– Spierdalaj – rzucam za nim, ale już nie słyszy, bo zdążył wejść do mieszkania.

Kwadrans później płaczę pod prysznicem, myśląc o Annie. Wyobrażam sobie, jak się śmieje, pozwala temu mężczyźnie się całować, tulić i rozbawiać, i czuję się taka samotna... Wcierając we włosy odżywkę, przypominam sobie Renatę, moją byłą przyjaciółkę, która też porzuciła mnie z powodu faceta. Znałyśmy się od liceum i byłyśmy nierozłączne, kiedy nagle poznała tego Włocha i wszystko się między nami rozpadło... Podczas kłótni wykrzyczała mi w twarz, że jestem obsesyjnie zazdrosna i niezrównowazona psychicznie. Ja?! A co można powiedzieć o kobiecie, która wyjeżdża do Włoch po niespełna dwóch miesiącach znajomości z poznanym w sieci Sycylińczykiem? Odradzałam jej ten związek, błagałam ją, żeby została w Polsce, ale nie słuchała. Zamieszkała z nim i jego schorowaną matką, urodziła mu trójkę dzieci, na Facebooku wygląda na szczęśliwą. A jak jest naprawdę? Nie wiadomo. Ona też była piękna, zawsze miała powodzenie. Kiedy Gino przyjechał do Polski, żeby pierwszy raz się z nią spotkać, był z nim jego kuzyn Paolo. „Poznam was ze sobą, może ty też się zakochasz” – powiedziała mi wtedy Renata, ale cioteczny brat jej faceta nawet na mnie nie spojrzał. Poderwał w Polsce piękną młodziutką blondynkę i to ją zabrał do Palermo. Takie szare myszy jak ja zawsze zostają z niczym, co

najwyżej zgarniają ochłapy. Piękno otwiera wszystkie drzwi, przeciętni stoją za zamkniętymi, myślę z goryczą.

Nazajutrz w pracy ostatecznie dobija mnie Tośka.

– Zaczęłam się z kimś spotykać, wyobraź sobie – chwali się, kiedy wpadamy na siebie w ciasnej kuchni dla personelu.

Jej słowa mnie zaskakują. Tośka?! Ten paszczur z wżerami po trądziku na policzkach, monstrualnie grubą dupą i aparycją hipopotama?! Nawet ona sobie kogoś przygruchała?! Nie mogę w to uwierzyć, tymczasem Tośka paple coś o tym, że zainspirowała ją romantyczna historia Anny, i pokazuje mi zdjęcie w telefonie.

– To właśnie Rafał – mówi z nieskrywaną dumą w głosie. – Wczoraj zabrał mnie na drinka, a dziś idziemy na kolację.

W chuj brzydki koleś, myślę, przyglądając się nieogolonemu otyłemu blondynowi z kartoflanym nosem i piwnym brzuszyskiem, ale Tośka dosłownie promienieje.

Więc to jest takie proste? – zastanawiam się, kiedy ona odkłada telefon i nalewa do szklanki sok. Wystarczy wyrwać w sieci jakiegoś przydupasa i już człowiek chodzi zakochany? Tylko tyle niektórym wystarczy do szczęścia? Myślę o tym z pogardą, a ona uśmiecha się pod nosem i dodaje, że Rafał jest informatykiem.

– Poważnie? – Teraz udało jej się mnie zaskoczyć.

Sądząc po zdjęciu i zmiętym podkoszulku z nadrukiem, który koleś miał na sobie, stawiałam na mieszkającego z mamusią bezrobotnego nieudacznika, a tu niespodzianka – facet ma całkiem dochodową pracę.

– Poznałaś go w sieci? – wypytyuję ją, bo tak właśnie podejrzewam, ale Antonia ponownie mnie zaskakuje.

– No właśnie nie w sieci. Zagadnęłam go na przystanku. Tak ciągle myślałam o tym, jak bardzo Anka jest ostatnio szczęśliwa, i miałam wyrzuty sumienia, że jej zazdroszczę. Więc postanowiłam przestać się nad sobą użalać i zrobić coś dla siebie. A on siedział taki samotny pod tą wiatą, zanosilo się na burzę... Podeszłam, zagadałam go i jakoś poszło...

– Ale co mu powiedziałaś? – pytam, wciąż zszokowana obrotem spraw, bo to już naprawdę koniec świata, że Antonia znalazła faceta.

Nawet ona! Wszyscy mają szczęście, tylko nie ja!

– No, zapytałam, czy przejeżdżał już sto osiem, później coś tam rzuciłam, że zaraz lunie, a ja znowu zapomniałam parasola, a on się chyba spieszył, ale w końcu udało mi się go rozkręcić i tak jakoś od słowa do słowa... Spontanicznie, nie? – Mruga do mnie Tośka, cała rozanielona.

– Ile on ma lat? – pytam.

– Trzydzieści cztery.

– I nie ma żadnej laski? Może ukrywa coś paskudnego? Chlamydiozę? Nałogi? Długi? – wymieniam, a Tośka rzuca mi złe spojrzenie.

– Czemu zawsze musisz być taka toksycznie negatywna? – pyta ostrym tonem, jakim nigdy wcześniej się do mnie nie zwracała. – Nie mogłabyś po prostu cieszyć się z mojego szczęścia? Raz mi się coś w życiu udało. Raz, kurwa! A ty nagle wyjeżdżasz z chlamydiozą?! – podnosi głos, brzmi niemal histerycznie, bo chyba wytrąciłam ją z równowagi.

– Żartuję przecież, co się od razu tak ciskasz? – tłumaczę się, chociaż tak naprawdę to wcale nie żartowałam, ale Tośka już wybiega z kuchni i zostaję sama.

Wpadam do przebieralni, żeby znaleźć gumkę do włosów i widzę, że drzwiczki szafki Anny są uchylone – musiała zapomnieć ich zatrzasknąć, kiedy rano wpadła do drogerii lekko spóźniona. Otwieram je więc szerzej, sięgam po jej ochronną szminkę i przeciągam nią moje lekko spierzchnięte wargi. Ma wiśniowy smak. Oblizuję usta językiem, dosłownie chłonąc bliskość przyjaciółki. Jej wargi niedawno dotykały tej samej pomadki, intymność tego gestu sprawia, że na trochę poprawia mi się nastrój. Przez moment niemal namacalnie czuję jej obecność.

Kiedy wracam na salę, Anna siedzi przy kasie.

– Zmienić cię? – pytam, wciąż czując na wargach wiśniowy smak jej szminki.

– Nie, dopiero co usiadłam – odpowiada, nie patrząc mi w oczy.

Pragnę zaproponować jej spontaniczny wieczorny wypad na piwo czy seans w pobliskim kinie, ale wiem, że jest na to zbyt wcześnie...

Ostatnie tygodnie nie sprzyjały naszej przyjaźni. Poczekam, aż sama do mnie przyjdzie, zdystansuję się – obiecuję sobie, choć tak bardzo za nią tęsknię. A jeśli ona nie tęskni za mną? – myślę, przecierając witrynę. Jeśli nie da się naprawić tego, co się ostatnio rozpadło? Łzy płyną mi policzkach, kiedy spryskuję okno wystawowe mocno aromatyzowanym płynem do czyszczenia. „Jesteś taka toksycznie negatywna” – przypominam sobie słowa Tośki i ogarnia mnie bezbrzeżny smutek. Wiem, że mam pewne problemy i źle znoszę odrzucenie. Zawsze taka byłam, od dziecka. Za bardzo się zbliżam do ludzi, którzy po jakimś czasie zaczynają się ode mnie odcinać. A im bardziej pragnę ich przyjaźni, tym bardziej oni ode mnie uciekają... Błędne koło, myślę, ścierając jedną ze smug na szybie. Lubię dawać z siebie wszystko, sto procent siebie, całkowite zaangażowanie. W zamian słyszę, że jestem psychiczna... To boli, ale przeżyję. Przeżyję wszystko, nawet widok zakochanej Tośki. Chyba los lubi grać mi na nosie, nie ma na to rady. Ale ja jestem twarda – mówię sobie i ocieram głupie łzy. Nie będę więcej płakać. Już nie!

W nocy nie mogę spać. Mimo kilku kieliszków wypitego wina przewracam się w pościeli, boli mnie głowa. Myślę o Annie, Tośce i wszystkich kobietach, które miały w życiu więcej szczęścia niż ja, i w bezsilnej złości zaciskam palce na zmiętej taniej pościeli z kory. W końcu wstaję, wydaję z komody telefon, którego nie używam na co dzień, i piszę wiadomość o żonie na wózku, którą Bartosz ukrywa w jednej z prywatnych niemieckich klinik. Wysyłam ją Annie razem ze zdjęciem, które wcześniej ściągnęłam z sieci. Podpisuję się „życzliwa sąsiadka” i z bijącym sercem czekam na odpowiedź, ale chociaż mijają minuty, a później długie bezsenne godziny, moja komórka uparcie milczy, co, oczywiście, doprowadza mnie na skraj obłędu.

Anna odpisuje dopiero kilka minut po ósmej rano. Odczyta wiadomość od niej sprawia, że parskam śmiechem.

„Kimkolwiek jesteś – kobieta na wózku to siostra Bartosza, nie żona” – czytam.

– Ups – mrużę pod nosem, bo przecież nie miałam o tym pojęcia, i wyłączam nieużywaną komórkę.

Chwilę później włączam ją ponownie i piszę do Anny dwa krótkie zdania: „Jest Pani tego pewna? A może on Panią okłamuje?”.

Wysłałam je chwilę później, ale tym razem moja przyjaciółka nie odpisuje ani słowem, kompletnie mnie ignorując.

Ciskam więc bezużyteczny telefon w głąb komody i niechętnie wlokę się pod prysznic. Mam migrenę i naprawdę fatalnie się czuję, w dodatku pobolewa mnie ząb i mam koszmarne nastrój, ale nie powinnam się spóźnić do pracy. Gdyby nie etat w Koniczynie, zebrałabym pewnie w urzędzie o groszowy zasiłek, co byłoby już po prostu dnem.

– Jego siostra – mrużę pod nosem, depilując nogi.

Anna już ją poznała? Tak daleko zaszli w tym krótkim czasie? A może planują ślub, a ja o niczym nie wiem? – zastanawiam się i celowo dociskam żyłkę do skóry tak mocno, że po chwili po niedogolonej łydce spływa mi strużka krwi. Piekący ból odrywa mnie od ponurych myśli, na chwilę – paradoksalnie – znieczula. Znowu płaczę, a później biję się po twarzy i wyzywam się od idiotek.

– Uspokój się, głupia, uspokój się – mamroczę, dociskając do skaleczonej łydki nasączony spirytusem wacik.

Później zaklejam ranę plastrem, ubieram się, w pośpiechu robię lekki, niestaranny makijaż i wychodzę do pracy.

Przed Koniczynką, na parkingu przy wejściu, widzę obściskującą się z tym swoim nowym facetem Tośkę i robi mi się niedobrze. Mijam ich bez słowa, choć na skroni pulsuje mi żyłka, a wściekłość przesłania wzrok.

Wszyscy są szczęśliwsi ode mnie – kołacze mi się po głowie, kiedy zakładam służbowy uniform.



Nagle wyobrażam sobie, że polewam półki z kosmetykami benzyną i zapalam pierwszą zapałkę. Lakiery do włosów i paznokci są łatwopalne, drogeria momentalnie stanęłaby w ogniu razem z całą swoją zawartością, w tym siedzącą na kasie pięknolicą Anną. Albo takie niewinnie wyglądające śmietanki do kawy – sprzedajemy je z regału bezpośrednio przy kasach. Są substancją pirotechniczną, którą należy trzymać z dala od ognia, choć mało kto o tym wie – podpalone mogą powodować eksplozję, co wielokrotnie udowodniono w różnych naukowych eksperymentach. A gdyby rozpętać tu piekło, kończąc koszmar zwany moim życiem? Zginęłybyśmy razem, niczym uwięzione w pożodze siostry – Anna, Tośka i ja, a media, które na pewno zainteresowałyby nasza historia, pisałyby o nas ciepło, jak o bezbronnych ofiarach podłego przeznaczenia, myślę. Szybko jednak wyobrażam sobie zamieszczone w sieci zdjęcie Anny i dla kontrastu fotografie moje oraz Antonii. Paraliżuje mnie przekonanie, że nawet gdybyśmy wszystkie trzy zginęły w tragicznym pożarze Koniczynki, ludzie i tak najbardziej opłakiwaliby Annę. Ona była zjawiskowo piękna, jej dramat rozdzierałby serca. Dwa pozostałe kaszaloty nie poruszyłyby tak opinii publicznej. Dociera to do mnie i znowu czuję wzbierające pod powiekami łzy.

– Przestań się mazać, idiotko – mruczę pod nosem, zapinając służbowe tenisówki.

Później wychodzę na salę i siadam na kasie.

– Dzień dobry, tylko lakier do włosów? – Uśmiecham się do drobnej niewysokiej kobiety, która tego dnia jest pierwszą klientką.

Widok sprayu, który właśnie zeskanowałam, przywołuje wizje pochłaniającego Koniczynkę ognia. Nie zrobię tego dzisiaj. Nie jutro, pojutrze ani nie za miesiąc, ale kto wie, może kiedyś nadejdzie dzień, w którym odważę się przynieść do drogerii kanister benzyny, a później potrzebę o draskę z boku pudełka pierwszą kluczową zapałkę? Odważę się? Kto wie, może któregoś dnia? Uśmiecham się do klientki, która bierze ode mnie lakier i życzy mi miłej pracy.

Anna pojawia się chwilę później. Na szyi ma złoty wisiołek z zawieszka w kształcie serca, zapewne prezent od niego. Kiedy widzi, że się jej przyglądam, muska go palcami i leciutko się uśmiecha. Jej uśmiech jest ledwie dostrzegalny, a jednak ja go zauważam. Ona triumfuje, dociera do mnie. Czuje się lepsza, bo kogoś ma, podczas gdy ja ciągle jestem sama – myślę i w bezsilnej złości zaciskam zęby. Kiedy ustawia na półce przecenione lakiery do paznokci, przychodzi mi do głowy inny scenariusz, a uśmiech znów unosi kąciki moich warg. Nie jest przecież powiedziane, że zginęłybyśmy w tym pożarze. Być może udałoby mi się uratować Annę, wydostając ją z płonącego piekła? Oparzoną, oszpeconą, ale wciąż żywą, zdaną na łaskę i niełaskę naszej przyjaźni, bezpowrotnie straconą dla świata. Z twarzą liźniętą jęzorami ognia nie byłaby już łakomym kąskiem, o nie. Pozostałoby jej uzalanie się nad sobą z kieliszkiem taniego wina w ręku i wieczory w moim towarzystwie. Wróciłaby do mnie, znowu by mnie potrzebowała, myślę i uśmiecham się jeszcze szerzej. Ale nie, nie czas na tak desperackie kroki. Jeszcze trochę poczekam, dam jej szansę na powrót do naszej przyjaźni, mówię sobie, bo wizja szalejącego w Koniczynie ognia nieco mnie jednak przeraża.

Wtedy, zupełnie niespodziewanie, Anna się do mnie uśmiecha. Szeroko, szczerze, jak kiedyś, a ja momentalnie się rozpromieniam i posyłam jej w locie całusa. Jeszcze wszystko się między nami poukłada, pocieszam się w duchu i przez resztę dnia mam naprawdę dobry, niemal szampański nastrój.

## 12

### ANNA

Brugia zachwyca mnie znacznie bardziej, niż się spodziewałam. To miasto ma w sobie magię, klimat i historyczny czar. Zatrzymaliśmy się w Langestraat Quarter – położonej nad jednym z kanałów dzielnicy pełnej ceglanych szeregowców, gdzie godzinami spacerowaliśmy, piliśmy wino, a Bartosz zrobił mi chyba kilkaset zdjęć.

Zwiedzamy na chybił trafił, bez planu. Bazylikę Świętej Krwi, bo drugiego dnia pobytu akurat koło niej przechodzimy, ratusz, park nad jeziorkiem Minnewater, ze stróżówką zburzonego zamku i, na prośbę kochającego czekoladę Bartosza, Choco Story – mieszczące się w szesnastowiecznym budynku na Sint Jansplein muzeum, w którym nawet bilety są wykonane z tej ponadczasowej słodkości.

– Wcześniej była tu tawerna, chyba piekarnia i coś tam jeszcze. – Bartosz na okrągło rzuca wyczytanymi w przewodniku mądrościami, kiedy przechodzimy z sali do sali, oglądając stare formy, metalowe pudełka na słodkości i inne ciekawe ekspozycje.

– Jestem głodna – mówię, kiedy opuszczamy muzeum, bo mimo że zjadłam kilka pralinek, marzę o obiedzie.

Zachodzimy więc do jednej z pobliskich tawern, gdzie Bartosz decyduje się na gęstą zupę rybną będącą ponoć miejscowym specjałem, frytki i lokalne piwo, a ja zamawiam polane majonezem, nadziewane krewetkami pomidory.

– Cholesterol, cholesterol – mruczy Bartosz, z rozbawieniem wpatrując się w moją porcję, co jest zabawne, bo sam ma talerz pełen smażonych ziemniaków.

– Mój drogi, z cholesterolem nie mam najmniejszych problemów. – Puszczam do niego oko.

– Młodość... – wzdycha, chociaż sam jest tylko cztery lata starszy ode mnie.

– Dobrze – mówię z pełnymi ustami, bo danie naprawdę mi smakuje.

– Zupa rybna też całkiem niezła – chwali swój wybór, po czym oboje milkniemy.

I nagle zdaję sobie sprawę, że od przyjazdu do Belgii rozmawiamy w podobny sposób – półsłówkami. Nie wiem, czemu tak się dzieje, ale nie potrafię odtworzyć magii naszej pierwszej randki. Powiedzieliśmy sobie już wszystko?

Nie, to nie to. Po prostu jesteśmy zmęczeni. Nadmiarem wrażeń, palącym słońcem i kilometrami, które od rana przeszliśmy.

Wieczorem wracamy do parku nad jeziorkiem, gdzie po całym dniu w mieście snujemy się wolno, niczym średniowieczne zjawy, ciesząc oczy klimatem tego miejsca.

– I jak? Udało mi się spełnić twoje marzenie? – pyta Bartosz, kiedy oparci o metalową barierkę stoimy nad samym jeziorem.

– Udało ci się – mówię, bo chociaż wyjazd jest chaotyczny i chwilami męczący, Brugia nieustannie mnie zachwyca.

– Cieszę się. – Bartosz całuje mnie w usta i przyciąga do siebie.

Stojąc z policzkiem wtulonym w jego pierś, przez chwilę myślę o Macieju. Z byłym mężem często podróżowaliśmy i bardzo lubiliśmy się przytulać. Szybko jednak wyrzucam go z głowy, nie chcę go przy mnie, nie zasłużył na moją tęsknotę.

– O czym myślisz? – pytam Bartosza, a on lekko wzrusza ramionami.

– Strasznie to zabrzmiało, ale o pracy – przyznaje, a ja wybucham śmiechem.

– Wracajmy do hotelu – proszę. – Jestem śmiertelnie zmęczona.

– Fakt, trochę dziś mamy w nogach. Jutro damy zarobić taksówkarzom, obiecuję. – Bartosz łapie mnie za rękę i wolno ruszamy w stronę wyjścia.

W nocy pierwszy raz się kochamy. Seks z nim jest miły, choć nie tak namiętny, jak mogłabym się spodziewać, a mój kochanek sprawia wrażenie nieco onieśmiałego naszym zbliżeniem. Po wszystkim długo mnie tuli i w przeciwieństwie do wielu facetów nie zasypia od razu. Wręcz przeciwnie – zabawia mnie rozmową tak długo, aż zaczynają mi się kleić oczy.

– Śpijmy – szepczę, gładząc jego ramię, a on całuje mnie w czubek głowy i mówi: „Słodkich snów, maleńka”.

Do końca naszego pobytu kochamy się jeszcze dwa razy, ale wciąż nie czuję między nami żaru, jakiego bym się spodziewała. Jest miło, letnio i nieco nijako, ot, lekki dreszczyk w zestawieniu z oczekiwanym tajfunem rozkoszy.

Jedziemy na lotnisko, kiedy odzywa się do mnie Iwona.

„Oświadczył Ci się już?” – czytam esemesa od niej i z niedowierzaniem kręcę głową.

Nikt, tak jak ona, nie potrafi władować się z butami w moje życie – myślę i z czystej złośliwości odpisuję jej, że właśnie wzięliśmy spontaniczny szybki ślub.

Odpowiedź przychodzi po niecałej minucie.

„Weź nie pierdol, bo zawału dostanę! Przecież nawet go nie znasz!” – czytam.

„Żartuję, wyluzuj” – odpisuję, wyciszam telefon i chowam go do plecaka.

– Koleżanki tęsknią? – pyta Bartosz, widząc, że wymieniam z kimś esemesy.

– Koleżanki boją się, że wyprzedzę je w drodze do szczęścia – mówię, bo ostatniego zachowania Iwony nie potrafię już wytłumaczyć sobie czymś innym niż zawiścią.

Zazdrości mi. Nie mogę się dłużej łudzić, że jest inaczej, i bardzo mnie to boli. Lubiałam ją, naprawdę. Powiem więcej, na początku naszej znajomości traktowałam niemal jak siostrę. Dużo nas dzieli, pochodzimy z innych światów, ale też sporo łączy. Uwielbiałam nasze wspólne wieczory, wyjścia do klubów, jej śmiech i radość w oczach,

a nawet tę jej ciągłą, nieco irytującą adorację mojej osoby. Wiem, że chciała być taka jak ja i zawsze mnie to rozczulało. Ale z czasem jej zachwyty zaczął się przeradzać w obsesję, a to zrobiło się niepokojące. Początkowo wmawiałam sobie, że przesadzam, ale przecież jest, jak jest. Widzę to, czuję, że coś się zmieniło, że to już nie ta Iwona, którą kiedyś pokochałam. Coś poszło nie tak pomiędzy nami i nie umiem tego naprawić. Co gorsza, nie wiem, czy w ogóle chcę...

W domu czeka na mnie córka. Maciej odwiózł ją dwie godziny wcześniej i zdążyła już zrobić leczo.

– Hej, mamusiu. Jak było w Brugii? – Wita mnie całusem w policzek i bierze ode mnie niewielką ciemnoróżową walizkę, którą otwiera już w korytarzu. – Kupiłaś mi czekoladki? – pyta.

– Nie grzeb w moich rzeczach. – Uśmiecham się, ściągając kupione tuż przed wyjazdem tanie baleriny z różowymi kokardkami na czubkach, które okazały się zaskakująco wygodne.

– Są! – Martyna wydobywa z walizki kupione w jednej z manufaktur pralinki i rzuca mi się na szyję. – Dzięki!

– Poczęstuj mnie chociaż jedną – proszę, zanim młoda postanawia je otworzyć.

– Jasne, ale najpierw leczo. Sama zrobiłam, ale paprykę i kiełbasę kupił tato.

– Nie potrzebuję zapomóg od niego, więc niech łaskawie nie zapełnia mojej lodówki – obruszam się, a Martyna smutnieje.

– Przecież nie zrobił nic złego. Powiedziałam, że chcę przyrządzić leczo, bo je uwielbiasz, więc zatrzymaliśmy się przy hali targowej, żeby kupić parę rzeczy, to wszystko.

– Dobrze, mniejsza z tym. Oddam mu kasę – mówię i uśmiecham się do córki. – Dziękuję za leczo. To prawda, zawsze je lubiłam – dodaje i młoda się rozchmurza.

– Nie wrzuciłaś zbyt wielu zdjęć na insta – zauważa, kiedy razem przechodzimy do kuchni. – Liczyłam na więcej, prawdę mówiąc.

– Resztę fotek mam w telefonie, później ci pokażę – obiecuję, zastanawiając się jednocześnie, czy przypadkiem na którejs

z fotografii nie pojawi się Bartosz.

Nie powiedziałam Martynie, że lecę do Belgii z nowym facetem. Okłamałam ją, sama nie wiem czemu. Może nie chciałam przyznać, że po tak krótkiej znajomości dałam się porwać na zagraniczną wycieczkę? Prawdę znała wyłącznie Iwona i to tylko dlatego, że dosłownie ją ze mnie wyciągnęła. A ciągnąć za język to ona potrafi, jak mało kto. Córka, w każdym razie, jest pewna, że byłam w Brugii z moją koleżanką Kingą, i mam nadzieję, że tak pozostanie.

– Tato chyba ma jakąś babę – odzywa się nagle Martyna. – Też architektkę, ale kilka lat młodszą. Poznał ją podczas weekendu w Sopocie.

– I co, już zdążył ci się pochwalić? – pytam kąśliwym tonem, zaskoczona faktem, że na wieść o nowej kobiecie byłego męża czuję ukłucie zazdrości.

– Widziałam na insta. Wrzucili kilka wspólnych fotek.

– Dopieszcza własne męskie ego i tyle. – Wzruszam ramionami, udając obojętność. – Dosłownie kilka dni wcześniej prosił mnie, żebym do niego wróciła, a teraz nagle kogoś ma?

– Może to tylko koleżanka, nie wiem... – Martyna się waha, chyba sama nie jest pewna, co właściwie widziała na jego instagramowym profilu.

– To nie siej plotek, maleńka. – Całuję ją w czubek głowy i wyjmuję z szafki dwa głębokie talerze. – Jemy?

– Jedzmy. – Młoda uśmiecha się do mnie i zabiera do nakładania przygotowanego specjalnie dla mnie dania.

Leczo smakuje cudownie, naprawdę jestem zaskoczona. Martyna nigdy przedtem raczej nie rwała się do kuchni, a tu nagle i znienacka taki kulinarny hit w jej wykonaniu?

– Dziękuję, córciu. Zrobiłaś mi fantastyczną niespodziankę – chwale ją.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Mruga do mnie, po czym zbiera ze stołu talerze, opłukuje je i wkłada do zmywarki.

– Kupiłam ci coś jeszcze – mówię, po czym przechodzę do przedpokoju, gdzie została walizka, i wyjmuję z niej kilka starannie opakowanych rzemieślniczych mydeł.

– O, ładne. Dzięki. – Córka, zapewne już z myślą o fotkach na insta, od razu zamyka się z prezentem w łazience.

– Kotku, muszę siku! – Pukam do drzwi chwilę później.

Kiedy wchodzę do środka, układa akurat jedno z mydeł na obramowaniu wanny, a obok stawia zapachową świecę.

– Po co właściwie to robimy? Czemu pokazujemy każdy nasz krok świata? – pytam, a ona krzywo się uśmiecha i odgarnia z twarzy włosy.

– Takie czasy – kwituje moje słowa, zanim z leciutko wysuniętym koniuszkiem języka robi pierwszą fotkę.

Później łaskawie wychodzi z łazienki, pozwalając mi zrobić siku, a kiedy wchodzę do kuchni, przyłapuję ją na fotografowaniu przywiezionych przeze mnie czekoladek, które ustawiła na parapecie, pośród niewielkich kolorowych doniczek z kaktusami.

– Tato chciał wiedzieć, z kim poleciałaś do tej Belgii, wiesz? – odzywa się nagle, kiedy stawiam wodę na kawę.

– A co go to obchodzi? – obruszam się, chociaż zainteresowanie byłego męża w sumie całkiem mi pochlebia.

– No nie wiem, obchodzi go. Mamo, ta laska to chyba tylko jego koleżanka. Weszłam teraz na jej insta, nie pisze nic o tym, że są parą.

– Córciu, porzućmy temat twojego ojca, okej? Chociaż na jedną chwilę – proszę ją.

– Okej, skoro nie chcesz o nim gadać...

– Wyskoczmy na rower? – proponuję. – Po południu ma być burza, ale teraz jest pięknie.

– Nie jesteś zmęczona po podróży?

– Trochę.

– W sumie nie wiem, czy zdążę, bo za dwie godziny muszę lecieć do Jagody. – Martyna wyraźnie się waha.

– Chodź, nie daj się prosić. W dwie godziny objedziemy pół miasta.



– Dobra, ale tylko na trochę. Godzinka w parku, żadne tam wyprawy nad jezioro.

– Godzinka w parku – zgadzam się, a młoda porzuca czekoladki, w pośpiechu przebiera się w szorty i sportową koszulkę i już po chwili ponagla mnie, żebym zagęszczała ruchy, jak się wyraża.

– Zagotujesz się w tych czarnych gaciach. – Krzywi się na widok moich legginsów. – Nie masz żadnych szortów?

– Mam prawie czterdziestkę. Nie pojedę w czymś, w czym chodzą maślaki – bronię się, ale młoda wpada do swojego pokoju, grzebie w komodzie i ciska we mnie krótkimi ciemnoróżowymi spodenkami.

– Zakładaj. I nie chrzań, że jesteś za stara.

Wkładam więc jej spodenki, bojąc się nawet przejrzeć w lustrze, i po chwili obie schodzimy do piwnicy, żeby zabrać rowery.

– Mamo? – odzywa się nagle Martyna, kiedy zamykam kłódkę.

– Co, kiciu?

– Jak to jest być w twoim wieku? No wiesz, kiedy nie jesteś już superlaską, ale ciągle masz apetyt na życie? To znaczy ty jesteś superlaską, ale dla mnie nawet dwadzieścia pięć lat to już starość. – Krzywi się.

– Dwadzieścia pięć lat to starość? Dziecko drogie, szaleju się najadłaś? – Parskam śmiechem i gładzę ją po głowie. – W moim wieku nie przejmujesz się już rzeczami, których nie możesz zmienić, co jest całkiem fajne. Doceniasz każdy dzień, bo wiesz, że życie szybko mija. No i możesz pić hektolitry szampana – żartuję.

– O ile cię na niego stać – rzuca Martyna z właściwym dla nastolatków bezrefleksyjnym okrucieństwem.

– To już zupełnie odrębna kwestia – mówię i taszcząc rower po schodach, wychodzę na parter.

Kiedy jedziemy w stronę parku, córka przystaje na środku pustego chodnika, odwraca się w moją stronę i rzuca mi prosto między oczy pytanie, którego raczej bym się w tym momencie nie spodziewała.

– Mamuś, a twój pierwszy raz miałaś z tatą? – słyszę.

Zaskoczona, parskam nerwowym śmiechem.

– Nie, nie z twoim tatą – przyznaję w końcu niezbyt chętnie.

– A z kim? Bo myślałam, że z tatą...

– Martyna, czy ty chcesz mi coś powiedzieć? Bo jeśli w ostatnich dniach poszłaś w tango, to się może źle skończyć. Spałaś z kimś? – naskakuję na nią, a ona czerwienieje i wbija wzrok w chodnik. – Martyna, mówię do ciebie! Zrobiłaś coś tak głupiego?!

– Nie! – wrzeszczy, a później zawraca rowerem i oznajmia, że jedzie do domu, bo nie ma zamiaru być przesłuchiwana.

– Zostań, nie wygłupiaj się – proszę ją, ale ona już pędzi w stronę naszego osiedla.

Zostaję więc na chodniku sama, w idiotycznych różowych szortach, w których, kiedy pedałużę, widać mi całe wnętrze ud, a i tak dobrze, że nie piczkę.

Kurwa mać, że też musiałyśmy się pokłócić, myślę. Chwilę później zawracam i kieruję się w stronę domu, śladem córki.

– Martyna, przepraszam. Niepotrzebnie na ciebie naskoczyłam. – Staram się udobruchać córkę, kiedy udaje mi się dogonić ją przy pobliskim parku.

– Dobra, spoko. I jeszcze się z nikim nie bzykałam, to tak do twojej wiadomości – oznajmia, wciąż lekko naburmuszona.

– Masz ochotę na lody? – pytam, widząc znajomą budkę, a młoda przewraca oczami i z politowaniem kiwa głową.

– Po tym leczo z kiełbasą? Chyba bym się porzygała – podsumowuje moją propozycję. – Jedźmy do domu. Chcę się wykąpać i przebrać na spotkanie z Jagodą.

– Krótka to była wycieczka – mruczę, a córka wzrusza ramionami.

– Ale przynamniej pokazałaś światu nogi. Jeden facet tak się gapił, że prawie wjechał w latarnię. I był całkiem młody! – oświeca mnie Martyna i obie wybuchamy śmiechem.

## 13 IWONA

Anna wzięła kilka dni wolnego i poleciała do Brugii, skąd wysłała mi ememesa z widokiem na urokliwy kanał i pływające po nim łabędzie. Myśl, że ktoś, kogo ledwo zna, tak po prostu zafundował jej kilkudniowy pobyt w Belgii, jest dla mnie niewyobrażalna, kosmos po prostu... Mnie nic takiego nigdy wcześniej nie spotkało i już pewnie nie spotka... I jeszcze ten jej żarcik o szybkim ślubie, słaby, krzywię się. Ale tak, boję się, że któregoś wieczoru on się jej oświadczy, a ona jeszcze szybciej zacznie mi się wymykać...

Tego dnia, korzystając z nieobecności Żbika i ulewnego deszczu za oknem, który sprawił, że w drogerii od rana pojawiła się tylko garstka osób, robię sobie krótką przerwę, żeby zaszyć się na zapleczu i sprawdzić instagramowy profil przyjaciółki. Dzień wcześniej wrzuciła aż trzy zdjęcia, sporo, jak na nią. Na pierwszym stoi na urokliwym kamiennym mostku nad kanałem i podtrzymując ręką biały kapelusz z wywijanym rondem, patrzy prosto w obiektyw. Drugie przedstawia ją siedzącą w urokliwej kafejce na wolnym powietrzu – z czymś, co wygląda na mrożoną kawę w wysokiej szklance, w dłoni wystawia twarz do słońca. Trzecie jest piękne, robione z bliska, przypomina studyjne fotografie aktorek – Anna mruży na nim oczy i lekko rozchyła usta. Jej wargi są pociągnięte delikatnym koralowym błyszczkiem, w ciemnych oczach widać intrygujące złote plamki, na nosie wyskoczyło jej kilka uroczych piegów, pewnie od słońca. Wygląda seksownie, ponętnie i młodo, patrząc na nią i nie znając jej, dałabym jej najwyżej trzydzieści lat.

– Co tak oglądasz? – Głos Tośki wrywa mnie z zamyślenia.

Koleżanka weszła na zaplecze niespodziewanie i prawdę mówiąc, mocno mnie przestraszyła.

– Co się tak skradasz? – naskakuję na nią.

– Przyszłam się napić, a nie od razu skradam – mruczy i otwiera drzwi od niewielkiej lodówki, z której wyciąga pitny jogurt o smaku owoców leśnych, otwiera go i pociąga prosto z buteleczki. – Anna wciąż w Belgii? – pyta, kiedy już ociera kąciki ust i wyrzuca pojemnik po jogurcie.

– Skąd mam wiedzieć? – rzucam lekkim tonem, a ona parska śmiechem.

– Przecież co pięć minut zaglądasz do niej na insta. Nieraz widziałam, jak przeglądasz jej profil.

– Bzdury! – podnoszę głos, a Tośka posyła mi pełne politowania spojrzenie.

– Gdybyś mogła, poleciałabyś tam z nią, żeby śledzić każdy jej krok.

– Czemu mówisz takie rzeczy? – pytam, a ona wzrusza ramionami.

– Bo taka jest prawda – odpowiada i wychodzi.

Jej słowa mnie ranią. Nie tak mocno, jak czasem potrafi mnie zranić Anna, ale też boleśnie. Najgorsza jest świadomość, że Antonia ma rację... Mam coraz większą obsesję na punkcie Anny i nadal nie umiem stworzyć sobie własnego życia, które wciągnęłoby mnie na tyle, żebym zajęła się sobą i dała odetchnąć przyjaciółce.

Powinnam coś ze sobą zrobić, myślę. Później wydaję z torebki kosmetyczkę, wklepuję w twarz ulubiony krem i robię sobie staranny, dopracowany makijaż. Najpierw podkład, później rumieńce, obrysowane turkusowo zieloną kredką oczy i na koniec rzęsy oraz usta. Efekt metamorfozy pozytywnie mnie zaskakuje – okazuje się, że kiedy poświęcam nieco czasu na zadbanie o siebie, mogę się prezentować całkiem, całkiem... Może jeszcze nie zjawiskowa piękność, ale znacznie lepsza wersja mnie.

– Wow! Czemu codziennie tak nie wyglądasz? Mega, poważnie! – Tośka, która jeszcze na moment wraca do kuchni, zachwyca się moją przemianą i przeciągle gwizdże. – Siadaj na kasę, zaraz posypią się

komplementy. Właśnie wszedł pan Jędrzek, pokaż mu się – dodaje i puszcza do mnie oko.

Na wieść o tym, że wrócił jeden z moich ulubionych klientów, wstaję od stołu i w pośpiechu upycham kosmetyczkę do torebki. To fajny i całkiem przystojny facet, chociaż znacznie ode mnie starszy. W przeciwieństwie do niektórych klientów on zawsze jest dla mnie miły i nagle wyobrażam sobie, że go podrywam i zaczynamy się spotykać. Z tego, co wiem, jest wdowcem. Jego żona zmarła jakieś pięć lat wcześniej, co stwarza całkiem niezłą okazję do wślizgnięcia się na jej miejsce. Dodatkowo gość prowadzi własny sklep monopolowy i ma niewielki domek w pobliżu centrum naszego miasteczka. Nie jest to może olbrzymia willa, w jakiej rezyduje nadziany kochaś Anny, ale miły dla oka parterowy domeczek z niewielkim zadbanym ogródkiem i równo przyciętym żywopłotem zamiast ogrodzenia.

– No idź na tę kasę, któraś z nas musi – ponagla mnie Tośka, nagle dziwnie poirytowana.

– Idę, idę – mruczę więc i w pośpiechu wychodzę na salę.

Pan Jędrzej robi tego dnia duże zakupy – kiedy siadam na kasie, wciąż jeszcze kręci się przy regale z chemią, dokładając do koszyka płyn do czyszczenia szyb, proszek do prania i opakowanie czegoś, co z daleka wygląda mi na granulki do udrażniania rur.

– Dzień dobry, pani Iwono – wita się ze mną szerokim uśmiechem i zabiera się do rozkładania towaru na taśmie.

Nie komentuje jednak mojego wyglądu, chociaż usta dosłownie ociekają mi czerwienią, a oczy pieką od nadmiaru makijażu – nigdy wcześniej nie usiadłam na kasie aż tak wypindrzona.

– Wciąż pada – rzucam, zanim biorę się do skanowania pierwszych produktów. – Dzień w sam raz na kawę – dodaję. – Wie pan, taki na randkę – mówię, a on lekko się uśmiecha. – Bo gdyby miał pan na przykład ochotę dziś wieczorem gdzieś wyskoczyć, panie Jędrku, to ja kończę po dwudziestej pierwszej, a później...

– Pani Iwono, ja bardzo chętnie z taką piękną kobietą, problem w tym, że przecież kogoś mam – przerywa mi pan Jędrzej, a ja

oblewam się rumieńcem wstydu, upokorzona jak nigdy dotąd.

– Tak, oczywiście, wiadomo. Każdy kogoś ma – mamroczę, skanując płyn do naczyń, a on chrząka, zażenowany, i oboje na dłuższą chwilę milkniemy. – Sto dwadzieścia trzy, osiemnaście – mówię w końcu, a klient wyciąga portfel, podaje mi sto pięćdziesiąt złotych i w milczeniu czeka, aż wydam mu resztę.

– To do widzenia, pani Iwono. – Kłania się, kiedy już udaje mu się upchnąć kasę do portfela i w wyraźnym pośpiechu spakować sprawunki. – A na tę kawę to na pewno zaprosi panią jakiś młodszy ode mnie kawaler – dodaje jeszcze, zanim rusza w stronę wyjścia.

– Na pewno – rzucam pod nosem, a później posyłam mordercze spojrzenie wychodzącej z zaplecza Tośce, bo to przecież za jej podszeptem zrobiłam z siebie idiotkę.

– Zmień mnie, muszę do łazienki – warczę.

– Wyglądasz jak chmura gradowa. Coś się stało?

– Cieleń oknem wyleciało – rzucam do rymu idiotyczny tekst zapamiętany z podstawówki i wracam na zaplecze, gdzie mam ochotę umyć twarz i wrócić do dawnej, nijakiej wersji siebie.

Z makijażem czy bez, i tak jestem żałosna – dołuję się, gapiąc na swoje odbicie w niewielkim podręcznym lusterku, które kilka miesięcy wcześniej ukradłam z sali.

Tak, czasem kradnę. Poprawia mi to nastrój, ale niestety nie na długo. Chciałabym być bardziej bezkarna, ale boję się, że Żbik zacznie mnie podejrzewać i wylecę z pracy, a to byłaby katastrofa. Zadowolam się więc drobiazgami, takimi jak tanie lakiery do paznokci, szminki polskich producentów czy przeceniona biżuteria z nierdzewnej stali, ale nawet najtańsza błyskotka, która znika w kieszeni mojego uniformu, sprawia, że przez jakiś czas czuję się lepiej. Jestem tego warta, powtarzam slogan znanej reklamy i uśmiecham się pod nosem.

– Chciałabym dziś wcześniej wyjść – mówi Tośka, kiedy wracam na salę. – Tak z pół godzinki, poradzisz sobie sama?

– A co, idziesz się bzykać z tym swoim brzuchatym informatykiem?  
– pytam, a ona wymownie się uśmiecha.

– Może i idę – mówi, wyraźnie z siebie zadowolona.

– Nie poradzę sobie sama – gaszę jej zapal do wcześniejszego wyjścia. – Sorry, ale nie będzie tak, że wy dwie balujecie, a ja zapierdalam.

– Kurwa, serio? Proszę cię o pół godziny, nie o cały dzień! – Tośka wybuchła, bo chyba się nie spodziewała, że jej odmówię.

– Wyjdiesz stąd o czasie, jak ja – upieram się.

– Spoko, nie to nie. Jeszcze kiedyś mnie o coś poprosisz! – Koleżanka wygląda na mocno obrażoną, ale mam to gdzieś.

Nie będę dłużej frajerką, którą wszyscy wykorzystują – myślę sobie.

Wieczorem, po powrocie do domu, biorę szybki prysznic i zakładam ulubiony szlafrok. Stoję w otwartym na oścież kuchennym oknie i palę ostatniego papierosa, kiedy widzę wychodzącą z klatki Mrówkę – dziewczyna Młota dokądś się spieszy – mimo sandałów na wysokim obcasie idzie szybko, odstawiona jak na wesele, pewnie umówiła się na późne piwo z koleżankami.

Kiedy znika mi z oczu, w pośpiechu przebieram się w sukienkę, przeciągam wargi szminką i pędzę na górę.

Młot otwiera mi od razu, jakby akurat kręcił się po przedpokoju. W ręku ma piwo, na twarzy szeroki uśmiezek.

– Proszę, proszę. Ktoś przyszedł po więcej? – rzuca.

– Zamknij się – mówię, a później dosłownie się na niego rzucam.

Pieprzymy się na podłodze, dziko, gwałtownie, namiętnie, a po wszystkim on całuje mnie w pierś i mówi, że jestem nieokiełznana.

– Nie wiedziałem, że taka z ciebie tygrysica, kobieto – mruczy.

– Kiedy wraca twoja panna? – pytam.

– Nie wiem, poszła do przyjaciółki. Chłop Aşkę rzucił, więc pewnie będą zalewać robala jakoś do północy, może nawet Mrówka zostanie u niej na noc.

– Więc mamy czas na kolejną rundkę? – pytam, gładząc go po porośniętej ciemnymi włoskami, wyrzeźbionej klacie.

– Obawiam się, że nie. Lada chwila wpadnie do mnie mój stary ziom ze świeżą porcyjką zioła. – Młot klepie mnie w pośladek i każe mi się

zbierać. – Ale zawsze miło cię widzieć, sąsiadeczko – dodaje, a potem wstaje i zakłada spodenki.

– I tyle? Wyrzucasz mnie? Nie zaproponujesz nawet drinka? – obruszam się, upokorzona jego zachowaniem.

– Chcesz, to sobie nalej. Tylko załóż tę kieckę, zanim Kamil cię zobaczy. Przyjaźni się z Mrówką, wszystko by jej pewnie wygadał. – Młot rzuca we mnie moją sukienką, a sam wkłada koszulkę. – Wódka jest w lodówce, resztką coli też, obie butelki na drzwiach.

– Obejdzie się, bez łaski – mówię, a on z niedowierzaniem kręci głową.

– Baby... Raz chcą, raz nie chcą. „Nie” znaczy „tak”, „tak” znaczy „nie” – śmieje się i podchodzi do frontowych drzwi, żeby mnie wypuścić. – W takim razie uciekaj już do siebie, tygrysico – proponuje i zdejmuję z nich łańcuch.

Wyrzucił mnie jak psa, myślę, schodząc po schodach. Zaliczył i wywalił za próg jak tanią dziwkę. Wściekłość sprawia, że trzęsą mi się nogi i chce mi się płakać. Anna je pewnie teraz wykwinął kolację w którejś ze snobistycznych knajp, a ja zostałam potraktowana jak ścierka. Znowu! Na myśl o zachowaniu Młota obiecuję sobie, że więcej do niego nie pójde, ba, słowem się do chuja nie odezwę! Przed drzwiami wyjmuję z kieszeni kiecki klucze, ale decyduję, że pójde się przewietrzyć – wieczór jest ciepły i parny, a mnie po całym dniu pracy w Koniczynie brakuje świeżego powietrza i odrobiny ruchu. Spaceruję wzdłuż naszej ulicy, kiedy dostrzegam ubłoconego terenowego opla i przypominam sobie, że należy do Młota. Tak, to na pewno jego auto, nie mam nawet cienia wątpliwości. Klucze wyjmuję z kieszeni bezrefleksyjnie i nawet chwilę się nie zastanawiam, czy to dobry pomysł. Po prostu przeciągam po karoserii największym z nich i w świetle zapalanej ulicznej lampy podziwiam powstałą kilkunastocentymetrową rysę ciągnącą się przez niemal całą szerokość drzwi od strony pasażera.

Nauczysz się z szacunkiem traktować kobiety, bucu, myślę usatysfakcjonowana, a później oglądam przez ramię z nadzieją, że



nikt mnie nie widział. Ale los mi sprzyja, a ulica jest pusta. Solidny orgazm i mała wendetta w jeden wieczór, myślę, zadowolona z siebie. Nieźle jak na mnie, całkiem nieźle...

14  
ANNA

Z końcem czerwca Bartosz zaczyna się enigmatycznie zachowywać. Sprawia wrażenie przygnębianego, zamyślonego i nieobecnego duchem. W któryś piątek, wieczorem, kiedy kończę pracę, zaprasza mnie na przejażdżkę samochodem i po kwadransie pokonujemy wijącą się wśród drzew podmiejską serpentynę. Nad nią, na wzgórzu, jest rozległa polana z widokiem na światła naszego miasteczka. Zakochani bywają tu regularnie, nie tylko młodzi.

– Lubię to miejsce – mówię, kiedy parkujemy kilka metrów od urwistej krawędzi punktu widokowego i przyglądamy się powoli zapadającemu nad doliną zmierzchowi.

Niebo jest granatowo-różowe, a wokół nas zaskakująco pusto jak na piątkowy wieczór. Być może okoliczne dzieciaki w ten ciepły czerwcowy wieczór wolą pić piwo w ogródkach i powoli zapełniać parkiety nocnych klubów, a może po prostu jest jeszcze wcześniej?

Bartosz milczy. Odkąd po mnie podjechał, jest cichy i ponury.

– Coś się stało? – pytam cicho i wyciągam rękę, by pogłaskać go po głowie.

Wtedy jednak on robi coś zaskakującego – uchyla się przed moją pieczęcią i z zaciśniętymi wargami wysiada z samochodu.

Opuszczam więc jego bmw w ślad za nim i podchodzę do krawędzi urwiska, przez dłuższą chwilę sycąc wzrok widokiem migoczących w dole świateł, zakola rzeki i wiszących nad naszymi głowami chmur.

– Matka moich synów chce do mnie wrócić – mówi nagle Bartosz, a ja rozchyłam usta ze zdumienia, nie mając pojęcia, o kim mowa...

– Kto? – pytam w końcu, a on rzuca jej imię: „Arleta”. – Mówiłeś, że nigdy nie byłeś żonaty – przypominam mu, a on krzywo się uśmiecha.

– Bo nie byłem. Nie mamy ślubu, ale mamy czteroletnie bliźniaki. Dwóch synów.

– Masz dwóch synów i nawet słowem mi o nich nie wspomniałeś?! – Jestem w takim szoku, że dosłownie szumi mi w uszach.

– Rozstaliśmy się z Arletą, nic nie wskazywało na to, że ona będzie chciała do mnie wrócić. Odeszła, a ja...

– A ty poderwałeś sobie ekspedientkę, zaciągnąłeś ją do łóżka i od samego początku okłamywałeś?! Tak mnie potraktowałeś?! Jak durną panienkę z drogerii, którą zbajerowałeś podczas kupna szamponu?!

– Nie jesteś durną panienką z drogerii, Aniu. To wszystko, co było pomiędzy nami, było prawdziwe – mówi cicho Bartosz, ale kiedy chce mnie pocałować, daję mu w twarz.

– Okłamałeś mnie! – podnoszę głos.

– Nie. Po prostu nie zdążyłem ci jeszcze powiedzieć, że mam z kimś dzieci – tłumaczy się.

– Poważnie? Tak łatwo ci się wybielić?! A co, jeśli ja ukrywałabym przed tobą czteroletnie bliźniaki?! – wrzeszczę, kompletnie wytrącona z równowagi.

– Nie ukrywałem przed tobą moich synów. Po prostu nie było okazji, żeby ci o nich wspomnieć. – Bartosz ewidentnie usiłuje jakoś się wybielić, ale sytuacja jest wyjątkowo klarowna. Okłamał mnie!

– Nie było okazji? – Wybucham śmiechem, nie potrafiąc uwierzyć w jego bezczelność.

– Arleta z powrotem się do mnie wprowadziła. Tydzień temu – mówi cicho, a ja z niedowierzaniem kręcę głową.

– Jasne, wprowadziła się z powrotem, jak wygodnie. Zabawiłeś się ze mną, a teraz z podkulonym ogonem wracasz do żonki – zarzucam mu.

– Nie mamy ślubu, mówiłem ci.

– Jakie to ma znaczenie?! Mieszkaliście razem, macie dwoje małych dzieci, a ty o niczym mi nie wspomniałeś! Nie widziałam w twoim domu nawet jednego zdjęcia chłopców, nic, żadnego śladu ich istnienia! Co z ciebie za ojciec i co z ciebie za człowiek?! – rzucam ostro.

– Dobra, wiem, jestem dupkiem. Ale to, co do ciebie czuję...

– Daruj sobie – rzucam przez zęby i sięgam do jego samochodu po zostawioną na przednim siedzeniu torebkę. – Miłego wieczoru – dodaję i pieszo ruszam w stronę pobliskiej serpentyny.

Na dole powinnam złapać jakiegoś busa, w ostateczności zadzwonię po taryfę. Teraz chcę się tylko oddalić od człowieka, w którym zdażyłam się już zakochać, bo potraktował mnie naprawdę podle, żeby nie powiedzieć – nieludzko.

– Anka, nie wygłupiaj się! Nie powiedziałem, że z tobą zrywam. Sytuacja z Arletą...

– Och, nie powiedziałaś, że ze mną zrywasz, kamień z serca! – kpię, a kiedy on łapie mnie za rękę, wyrywam mu się, rzucam „Spieprzaj!” i potykając się po wyżłobionych w wysuszonej ziemi koleinach, biegnę w stronę drogi.

Bartosz zostaje na wzgórzu. Nie rusza za mną. Chyba sobie odpuścił. Po policzkach płyną mi łzy, czuję się jak ostatnia idiotka! Wszystkie te czułe słowa, bukiety kwiatów, wiersze, które dla mnie pisał, romantyczna wyprawa do Brugii, wszystko to był jedynie teatrzyk. Zaliczył mnie, a teraz z powrotem układa sobie życie z jakąś babą, matką jego synów. Gdzie ona była przez ostatnie tygodnie? Diabli wiedzą! Jedno jest pewne, nie chcę go znać! Nie obchodzi mnie, że nigdy nie wzięli ślubu. Jeśli ma z nią dwóch kilkuletnich synów, a ona ponownie się wprowadziła do jego domu, nasz romans przestał mnie interesować.

– Dupek! – klnę i ze złością kopię jakąś puszkę.

Schodzę poboczem wijącej się w dół szosy, kiedy mija mnie jego bmw i zatrzymuje się tuż za zakrętem.

– Anka, wsiądź. Odwiozę cię, pogadamy na spokojnie! – krzyczy Bartosz, wychylając się przez okno po stronie kierowcy, ale kompletnie go ignoruję i przechodzę na drugą stronę drogi.

Wysiada więc, podchodzi do mnie i łapie mnie za rękę.

– Nie miałem pojęcia, że ona wróci! Mówiła, że ma mnie dość, dusiła się. Wyniosła się do siostry, do Frankfurtu, miała tam znaleźć pracę i zostać na stałe. Rzuciła mnie kilka miesięcy temu, nie chciała znać,

a teraz nagle zwiozła z powrotem swoje bety, przywiozła chłopców i mówi, że chce jeszcze jednej szansy. Ale ja nie chcę, Anka. Nie chcę już z nią być, słyszysz?

– Nie zachodź mi drogi, nie znoszę tego – syczę, usiłując go wyminąć.

– Posłuchaj, kupię jej mieszkanie, pomogę znaleźć dobrą pracę, żeby się ustawiła finansowo, a później...

– Nie chcę cię znać! Gdybyś powiedział mi prawdę, byłabym teraz przy tobie, bez względu na wszystko! Ale ty mnie okłamałeś!

– Bałem się, nie rozumiesz?! Nie chciałem, żebyś myślała, że ciągnie się za mną bagaż przeszłości! Chciałem, żebyś...

– Odwieź mnie do miasteczka. – Nagle zmieniam zdanie.

Nie wybaczę mu. Jest dupkiem i skurwielem, który się mną zabawił, ale nie będę zdzierać butów na cholernych kamieniach.

– Oczywiście, z przyjemnością. – Bartosz zaprasza mnie do samochodu i oboje wsiadamy do jego terenówki. – Jeśli rozegramy to na spokojnie, wszystko może się poukładać – odzywa się, kiedy wyjeżdżamy na wiodącą do miasteczka szosę. – Jak mówię, między mną i Arletą wszystko skończone, a my...

– Źle mnie zrozumiałeś – wchodzę mu w słowo. – Między tobą a mną wszystko już jest skończone. Ja tylko proszę o ostatnią przysługę, nie chcąc po nocy szukać transportu.

– I tyle? – pyta cicho.

Ma smutny głos i nagle, przez chwilę pragnę go pocałować i zgodzić się na kontynuację naszego romansu, ale chwila słabości szybko mija. Nigdy nie pozwalałam mężczyznom kłamać, zdradzać czy źle mnie traktować. Nigdy. W tym wypadku również nie zamierzam robić wyjątków.

– Wysadź mnie tu – proszę, kiedy mijamy Koniczynkę.

– Początek i koniec. Tu się poznaliśmy i tu się rozstajemy?

– Po prostu stąd mam już blisko do domu.

– Anula, nie rezygnuj ze mnie w taki sposób. Coś pięknego się między nami zaczęło, przecież wiesz. Musisz to czuć, nie kłam!

– Dobrej nocy – odpowiadam i wysiadam z jego samochodu.

– Anka! – woła w ślad za mną, ale się nie zatrzymuję, a on w końcu odpuszcza.

Do mieszkania docieram śmiertelnie zmęczona. Cały dzień w pracy w połączeniu z nieudaną randką zwały się na moje barki kilkotonowym ciężarem emocjonalnego wykończenia. Zrzucam więc buty i sukienkę, biorę prysznic, a później nalewam sobie wina.

Martyna śpi tego wieczoru w domu, Maciej zabrał ją na weekend zaraz po szkole, a ja nie protestowałam. Wiem, że młoda tęskni za swoim dawnym pokojem, domem i życiem, a dzięki temu, że dość często bywa u ojca, mam więcej czasu dla siebie.

Chociaż teraz może już nie będę go potrzebować, myślę i ocieram łzy.

Zaczęłam się w Bartoszu zakochiwać, poważnie. Wydawał mi się prawy, opiekuńczy i idealny dla mnie, w łóżku też było nam razem coraz lepiej, a tu taka niespodzianka...

Na myśl o tej kobiecie, matce jego synów, czuję smutek. Nie zastanawiam się nawet nad tym, że odebrała mi szczęście, bo to nieprawda. Żal mi jej, bo trafiła na dupka, który zbyt szybko pozwolił jej odejść, a później momentalnie znalazł kogoś nowego na jej miejsce. Mnie.

Telefon dzwoni kilka minut po dwudziestej trzeciej, ale nie odbieram. Nie mam Bartoszowi nic do powiedzenia, kompletnie nic. Jednak, kiedy w przelocie zerkam na ekran, widzę, że usiłowała się ze mną skontaktować Iwona. O tej porze? – dziwię się, ale po chwili wahania wybieram jej numer. Kiedy odbiera, płacze.

– Coś się stało? – pytam, zaniepokojona, a ona przez dłuższą chwilę szlocha, w końcu mówi, że wszyscy ją wykorzystują.

– Wszyscy traktują mnie jak ścierkę – powtarza. – Jak ścierkę, kurwa, jakbym nie zasługiwała na nic dobrego.

Słyszę, że jest pijana, ledwo ją rozumiem, tak bełkocze, i zdaję sobie sprawę, że przeżywa jakieś załamanie.

– Przyjedź do mnie – prosi. – Anka, przyjedź tu. Moja córka mnie nienawidzi, Młot mnie nie szanuje, a ludzie...

– Jaki Młot? – pytam, nie mając pojęcia, o kim mowa, a ona czka i nagle nabiera wody w usta. – Iwona, jesteś tam? – odzywam się po chwili ciszy.

– Tak, idę spać – mamrocze, po czym się rozłącza.

„To mam do Ciebie przyjechać czy idziesz spać?” – wysyłam jej wiadomość.

Koleżanka nie odpisuje, a ja biję się z myślami. Jestem wykończona i marzę tylko o zakopaniu się w pościeli, ale ona brzmiała tak desperacko... Wyraźnie przeżywa jakieś załamanie, może ktoś zrobił jej przykrość, potrzebuje mnie. Myślę o tym, w pośpiechu zakładając dzinsy i spraną, jasnoróżową bluzę z kapturem. Nagle nasze ostatnie nieporozumienia wydają się mało istotne, myślę tylko o tym, że moją przyjaciółkę ktoś skrzywdził.

Przed jej kamienicę docieram koło północy. Podjeżdżam taryfą, nie lubię samotnie spacerować po nocy, zwłaszcza w tej okolicy. Niestety, mimo że przez kilka minut wciskam guzik domofonu, nie jestem w stanie nawet wejść do bramy, a co dopiero na klatkę.

– A do kogo piękna pani tak po nocy się dobija? – słyszę nagle za plecami nieznajomy męski głos.

Odwracam się gwałtownie, przestraszona, bo facet zaszedł mnie bezszelestnie i widzę dobrze zbudowanego wytatuowanego trzydziestolatka, którego można by nawet nazwać przystojnym, gdyby nie to, że stylizuje się na lokalnego gangstera i jest wyraźnie pijany.

– Do Iwony – zdradzam z niechęcią, bo nie mam pojęcia, kim ten koleś jest, a on wyciąga z kieszeni klucze, otwiera bramę i przepuszcza mnie przodem.

– Iwonka może już spać, trochę dzisiaj wypila. Koło dwudziestej trzeciej śpiewała i tańczyła, później wrzeszczała do telefonu i chyba w końcu padła. Czerwiec, otwarte na oścież okna, sama pani rozumie.

– Facet zapala światło na klatce, mówi „dobranoc” i w pośpiechu wbiega na piętro.

– Iwona?! – Jeszcze przez kilka minut dobijam się do jej drzwi, ale kiedy na klatce gaśnie światło, pogrążona w ciemności rezygnuję, po

omacku pokonuję korytarz i z cuchnącej szczynami bramy wychodzę na ulicę.

Okropne miejsce, myślę, wzdrygając się. Jeszcze bardziej przygnębiające niż mój blok. Ale tak się mieszka, zarabiając najniższą krajową, krzywię się na myśl o Żbiku, który płaci nam grosze i nawet nie potrafi zrewanzować się jakąś premią czy chociażby drobnym świątecznym prezentem.

Wracam do siebie pieszo, z duszą na ramieniu, skulona, przemierzam ciemne ulice i dopiero przed własnymi drzwiami oddycham z ulgą. Nikt mnie nie zaczepił, nie wciągnął do samochodu, nie wyrwał mi torebki. Miasto nocą nie sprzyja samotnej kobiecie. W drugą stronę też mogłam wziąć taryfę, ale było mi żal kasy. Ściągając bluzę, myślę o tym, że wolałam zaryzykować, chociaż córce pewnie bym w takiej sytuacji powiedziała, że zachowała się nierozważnie.

Rano wstaję półprzytomna, z bolącą głową i w fatalnym nastroju. Dziś sobota, dzień, w którym Koniczynka jest czynna do czternastej trzydzieści. Wiem, że chociaż nie mam ochoty, muszę się zjawić w pracy, w dodatku punktualnie.

Kiedy docieram do drogerii, wpadam na Żbika, który własnoręcznie (normalnie cud!) wykłada na półkę karton sojowego mleka, które sprzedajemy z regału „zdrowa żywność”.

– Pani Aneczko, pani zawsze taka piękna i promienna. – Szef wita mnie komplementem, który w jego ustach brzmi jakoś tak obleśnie.

– Dziękuję. – Uśmiecham się z rezerwą, bo przecież niejednokrotnie przekroczył granice, obejmując mnie czy całując po rękach, czego sobie nie życzyłam, ale tym razem zachowuje się nawet poprawnie.

Pyta tylko, czy nie zaparzyłabym mu kawy, i zabiera się do wykładania kolejnego kartonu z towarem.

Jestem na zapleczu, w kuchni, kiedy obok mnie pojawia się Iwona. Wygląda strasznie – skacowana, z przekrwionymi oczyma i trzęsącymi się dłońmi. Na głowie ma chaos, to już nawet nie jest klasyczny *bad hair day*, to po prostu katastrofa.



– Ogarnij się jakoś – syczę na nią, zniesmaczona widokiem jej kompletnie pozbawionej makijażu twarzy i szpetnych czerwonych plam na dekolcie, które zazwyczaj wyskakują jej, kiedy przeholuje z alkoholem. – Byłam wczoraj u ciebie, ale nie otworzyłaś.

– Co? – Przyjaciółka wygląda na mocno zaskoczoną.

– Prosiłaś, żebym przyjechała, dzwoniłaś.

– Poważnie? Nie pamiętam. – Wzrusza ramionami.

– Nie pamiętasz?! A to, że jakiś Młot traktuje cię jak ścierkę, sobie przypominasz? – rzucam kąśliwym tonem, a ona blednie.

– Mówiłam o Młocie?

– Tak, mówiłaś o Młocie, kimkolwiek ten typ jest. I chyba nawet na niego wpadłam przed bramą twojej kamienicy. Tatuaze, jakaś trzydziestka na karku, wysoki, w typie gangsta?

– Tak, ale skąd...

– Przyjechałam, bo brzmiałaś tak, jakbyś miała jakieś załamanie nerwowe, ale ty się po prostu najebałaś. Wywaliłam kasę na taryfę, Iwona! Nie dzwoń do mnie więcej po nocy, jeśli nie masz później zamiaru otworzyć mi drzwi!

– Musiałam zasnąć, sorry. Nie prosiłam cię przecież, żebyś przyjeżdżała! – Iwona podnosi głos, atakuje mnie, chociaż to ja powinnam być na nią wściekła.

– Prosiłaś, ale mniejsza z tym – ucinam dyskusję i zalewam wrzątkiem kawę dla Żbika.

Jedno jest pewne – następnym razem nie będę taka skora do nocnych wycieczek pod jej drzwi, obiecuję sobie.

– Jesteś już na dziś umówiona? – odzywa się nagle Iwona, kiedy dosypuję do cukiernicy znalezionej w szafce resztkę białych kryształków, bo Żbik słodzi jak dziecko, co najmniej dwie kopiaste łyżeczki.

– Nie, a co?

– Pójdziemy do Latino?

– Nie mam ochoty.

– Już nie lubisz tańczyć? – rzuca Iwona złośliwie. – Złapałaś faceta i nagle klubowe balety ci nie w głowie?

– Zerwałam z Bartoszem, jeśli już o nim mowa – wyznaję otwarcie i zostawiam Iwonę w kuchni dla personelu z ustami szeroko uchylonymi ze zdziwienia.

## 15 IWONA

Rozstali się z Bartoszem? Wieści o końcu ich romansu dosłownie zwalają mnie z nóg, takiego obrotu spraw w życiu bym się nie spodziewała! Podczas krótkiej przerwy, którą sobie zrobiliśmy, usiłuję wyciągnąć z Anny coś więcej, ale przyjaciółka nie chce o tym rozmawiać.

– Nie wyszło nam, bywa – kwituje całą sytuację, nie dodając nawet słowa wyjaśnienia.

Umieram z ciekawości, ale wiem już, że przypieranie jej do muru niewiele da. Nie lubi być ciągnięta za język, zwłaszcza kiedy na dobre zamknie się w sobie. Daję jej więc trochę luzu, nie nalegam na wspólny wieczór, nie narzucam się.

Pracujemy w milczeniu, a dzień wlecze się w nieskończoność. Nawet Tośka jest przygaszona, chociaż przecież nie ma pojęcia o sytuacji Anny. Choć gdyby ją znała, pewnie wcale by się nie przejęła. Nie lubi jej i nigdy tego nie kryła.

– Co ci? – pytam, kiedy wpadam na nią przy drzwiach do toalety, a ona blednie, zakrywa dłonią usta, wpada do łazienki i rzyga do umywalki. – Nie wierzę! Cięża? Już? – rzucam, podając jej papierowy ręcznik, a Antonia przecząco kręci głową.

– Czymś się strułam na grillu u kuzynki. Chyba sałatka majonezowa zbyt długo leżała na słońcu – wyjaśnia po przepłukaniu ust kranówką i poprawieniu włosów.

– A już myślałam. – Puszczam do niej oko.

– Zapomnij. Jeszcze tylko bachora brakowałoby mi do szczęścia. Rafał nie chce mieć dzieci, mnie też jakoś szczególnie nie zależy na zostaniu matką. – Tośka wzrusza ramionami. – Anna coś dziś

skwaszona, zauważyłaś? – dodaje, a ja zagryzam wargę, walcząc z pokusą zdradzenia sekretu przyjaciółki.

Wygrywa jednak lojalność i nawet słowem nie zdradzam Antonii, że Anna właśnie się rozstała z Bartoszem.

Kiedy kończymy pracę, Anna żegna się ze mną przed Koniczynką i samotnie rusza w stronę pobliskiego marketu, gdzie chce kupić owoce.

– Czekaj, pójde z tobą. – Doganiam ją, chociaż mam pełną lodówkę i zapas truskawek.

– Nie musisz – mówi.

– Chcę. – Obejmuję ją, a ona kładzie głowę na moim ramieniu, jak kiedyś. – Może urządzimy sobie piknik? Jutro, nad wodą, jak dawniej? Pamiętasz tę naszą ulubioną dziką plażę nad rzeką? – proponuję nagle, chcąc się nacieszyć jej niespodziewanie odzyskaną wolnością i wykorzystać szansę na spędzenie z nią niedzieli.

– Nie wiem, czy jestem w nastroju, Iwona. – Anna wyraźnie się waha, ale ja nie zamierzam łatwo się poddać.

– Daj spokój, będzie super. Upiekę szarlotkę, weźmiemy wino, poopalamy nogi – kuszę i w końcu Anna się zgadza.

Niechętnie, bo niechętnie, ale mówi „tak”.

\* \* \*

Dzień później wstaję kilka minut po szóstej i jestem tak podekscytowana wizją czekającego nas wspólnego dnia, że od razu biorę się do pieczenia szarlotki. Robię też sałatkę na bazie arbuza i fety, a doprawiając ją miętą, wyobrażam sobie, jak Anna się nią delectuje i dziękuje mi za idealne popołudnie nad wodą.

Za oknem świeci słońce, dzień zapowiada się upalnie, ale nie burzowo. Sprawdziłam prognozy na czterech internetowych portalach i wszędzie były tak samo optymistyczne.

Do trzynastej czas wlecze mi się w nieskończoność. Wyjątkowo starannie maluję paznokcie u stóp na soczysty odcień czerwieni,

układam włosy, prasuję porzucone na fotelu rzeczy córki, słowem robię wszystko, żeby wskazówki zegara nieco przyspieszyły.

Kiedy w końcu wychodzę z mieszkania – szczęśliwa, z wyładowanym smakołykami piknikowym koszem w ręku i butelką wina w lnianej nowiutkiej siatce, mam ochotę tańczyć na ulicy, taka jestem promienna.

Koc zabiera ze sobą Anna, obiecała też wziąć drugą butelkę alkoholu i zestaw do badmintonu.

Spotykamy się w parku, mniej więcej w połowie drogi pomiędzy naszymi osiedlami, później jedziemy kilka przystanków podmiejskim autobusem i wysiadamy na pętli, tuż nad wodą. Niestety nasze miejsce jest zajęte – łachę piasku, na której dotąd urządziłyśmy pikniki, okupuje jakaś zapatrzona w siebie para dwudziestokilkuletnich smarkaczy.

Jestem wściekła, nie umiem się pogodzić z tym, że zaplanowany przeze mnie w najdrobniejszych szczegółach dzień zaczyna się właśnie psuć...

– Ja pierdołę, że też musieli ich diabli nadać! – klnę, w bezsilnej złości przyglądając się objętej młodej parze.

– Chodźmy tam. – Anna wskazuje ręką mieszczącą się nieopodal pustą plażę, która nie jest może tak urokliwa, jak oblana wodą rzeki „nasza” łacha piasku, ale też się nadaje.

Kilka minut później w kostiumach kąpielowych leżymy na wspólnym kocu, ciesząc się słońcem.

– Otworzę wino! – proponuję, ale Anna mnie powstrzymuje.

– Poczekaj, niech się schłodzi. Przed momentem włożyłam je do wody – mruczy, przewracając się na brzuch.

– Posmaruję cię, żebyś mi się tu nie spiekła – oferuję się więc z pomocą i wyjmuję z torby krem przeciwsłoneczny.

Wmasowując go w jej plecy, zachwygam się aksamitem skóry przyjaciółki, a kiedy kończę, pochylam i niespodziewanie nawet dla siebie samej całuję ją w ramię. Nie wiem, czemu to robię. Być może intymność tej chwili wyzwoliła we mnie pragnienie bliskości, a może

po prostu nagle zapragnęłam musnąć ustami tej aksamitnej doskonałości?

– Co to miało być? – Anna niby jest rozbawiona, ale w jej oczach widzę zdziwienie i lekkie zmieszanie. – Czemu pocałowałaś mnie w ramię?

– Nie wiem. – Parskam śmiechem, a ona z niedowierzaniem kręci głową.

– Czasem mnie przerażasz – mruczy, ale w końcu też zaczyna się śmiać.

Pierwszą butelkę wina wypijamy w pół godziny, z drugą postanawiamy trochę poczekać – jest zbyt duży upał, żeby pić w ostrym tempie.

– Więc czemu zerwałaś z przystojniaczkiem z bmw? – pytam nagle, kiedy palące słońce na moment chowa się za niewielką postrzępioną chmurką, a Anna siada na kocu, żeby posmarować sobie nogi przed wejściem do rzeki.

– Zaprosiłaś mnie tu, żeby to ze mnie wyciągnąć? Po to jest wino, idealny piknik nad wodą i cała ta sielanka? – zarzuca mi ze złością w głosie. – Mówiłam ci, że nie chcę o tym rozmawiać, prawda?! – naskakuje na mnie, wyraźnie wytrącona z równowagi.

– Myślałam, że przyjaciółki rozmawiają o wszystkim – bronię się.

– To może pogadajmy o tobie? – Odwraca kota ogonem. – Zacznijmy od tego, kim jest dla ciebie Młot? – pyta raczej mało sympatycznym tonem, a moja twarz czerwienieje.

– Sąsiadem.

– Tym z góry? To o nim i o jego lasce mówiłaś jeszcze niedawno: patologiczna parka?

– Tak – przyznaję szczerze.

– I?

– I się z nim przespałam, zadowolona jesteś?! Bo ciągle jestem sama, podczas gdy wszyscy wokół układają sobie życie! Bo nadarzyła się okazja, a on mnie okłamał!

– Okłamał cię? – Głos Anny brzmi nieco łagodniej.

– Tak, okłamał mnie! Faceci nieustannie kłamią, wiesz?

– Wiem – mówi cicho, a w jej ciemnych oczach pojawiają się łzy. – Wiem – powtarza, ale milknie i nie dodaje niczego więcej.

– Zarysowałam mu samochód. Kluczem, ostro. Chyba jeszcze tego nie zauważył, ale kiedy odkryje, co zrobiłam z drzwiami...

– Zarysowałaś mu samochód? Po co? Iwona, nie możesz robić takich rzeczy! – Anna parska śmiechem, ale czuję, że ją zniesmaczyłam.

No tak, pani idealna nie zniża się pewnie do takich metod...

– Po co? Bo jest złamasem. – Wzruszam ramionami.

Później jemy szarlotkę, przepijamy ją winem, które ja uparłam się już otworzyć, a Anna idzie sikać w pobliskie krzaki.

– Jakiś facet się na ciebie gapi! – krzyczę, a ona piszczy i w panice zakłada dół od kostiumu. – Żartuję! – dodaję.

Anna pokazuje mi środkowy palec, z powrotem opuszcza majtki, kuca i sika. Później wraca na koc, myje ręce, polewając je resztką mineralnej, i bosy wchodzi do rzeki – tu, gdzie się rozłożyliśmy, woda jest płytka, a dno piaszczyste.

– Idealny dzień. – Uśmiecha się. – Mogłabym codziennie lenić się nad wodą – mówi, ale nie dodaje, że chciałaby to robić w moim towarzystwie.

Szarlotki też nie pochwaliła, chociaż zjadła dwa kawałki, z kolei sałatki nawet nie tknęła. Podobno nie znosi fety. Jestem wściekła, bo dałam z siebie tak wiele, a wygląda na to, że jak zawsze ją zawiodłam... I skąd, do cholery, mogłam wiedzieć, że nie lubi fety? Gdybym wiedziała, zrobiłabym co innego, a tak... Wyszło, jak wyszło...

– Zagramy w badmintona? – proponuję, ale ona nie zamierza szybko wychodzić z wody.

– Nie teraz, dobrze mi tu – odpowiada Anna i wystawia twarz do słońca, odwracając się do mnie tyłem.

Ignoruje mnie? Ma dość mojego towarzystwa czy tylko to sobie wmawiam, zastanawiam się, samotnie siedząc na kocu, smutna i porzucona.

– Wracaj do mnie – proszę po jakichś dziesięciu minutach, ale ona wciąż tkwi po kolana w wodzie, łapiąc słońce.

– Ty chodź do mnie – proponuje, ale nie zamierzam się zanurzać w tym ścieku.

Cholera wie, jaki syf jest w tej rzece, krzywię się na samą myśl, zaskoczona faktem, że z naszej dwójki to właśnie księżniczka Anna odważyła się zamoczyć stópki.

– Odłożyłam trochę kasy. Mogłybyśmy lecieć razem do Bułgarii – odzywam się po dłuższej chwili milczenia. – Rok temu się nam nie udało, ale w tym roku...

– W tym roku nie planuję wakacji – wchodzi mi w słowo Anna.

– Żartujesz? Rok temu nie byliśmy, w tym roku też nie? Raz się żyje, tak?

– Nie mam kasy, Iwona. A Bułgaria nie jest obecnie moim priorytetem.

– To pożycz od męża. Jego chyba stać? – sugeruję, a ona gniewnie parska.

– Żartujesz? Wolałabym zrecić tynek niż o cokolwiek go poprosić!

– To z kim ja mam lecieć? – jęczę, załamana jej kategoryczną odmową, bo naprawdę liczyłam na to, że wyciągnę ją do Burgas, gdzie ostro zaszalejemy.

– Nie wiem, poszukaj kogoś. Masz chyba jakieś koleżanki? – pyta moja przyjaciółka, a ja oblewam się rumieńcem, upokorzona poirytowanym tonem jej głosu.

– Prawdę mówiąc, nie bardzo – przyznaję cicho. – Liczyłam na ciebie.

– Cóż... Ja nie lecę – ucina dyskusję Anna i nagle mam wrażenie, że atmosfera między nami znowu się ochładza.

A miało być tak idealnie, myślę, zasłaniając ciemnymi okularami oczy, w których lśnią łzy.

Do miasteczka wracamy półtorej godziny później. Chciałam zostać nad wodą znacznie dłużej, ale Annę zmęczyło ponoć ostre słońce, poza tym wieczorem chce iść do kina. Jestem rozgoryczona jej asekuracyjną



postawą, tym, że nawet słowem nie wspomniała o rozstaniu z Bartoszem, i ogólnie jej raczej chłodnym zachowaniem. Piknik niby był miły, opaliłyśmy się i pogadałyśmy, ale ciągle mam wrażenie, że Anna trzyma dystans tak konsekwentnie, jak bokserzy gardę.

**16**  
**ANNA**

W poniedziałek po pracy spotykam się z Kingą. Dość dawno się nie widziałyśmy, więc lecę na spotkanie jak na skrzydłach, a nastroju nie psują mi nawet fochy Iwony, która liczyła na wspólny wieczorny spacer. Dawniej często tak spacerowałyśmy po pracy i chociaż bywało, że bolały nas nogi, łążyłyśmy po pobliskim parku albo przynajmniej siedziałyśmy na ławce, gadając, gadając, gadając... Ale te czasy już nie wrócą, tamta zażyłość przepadła. Wiem o tym od dawna, ale Iwona chyba jeszcze się z tym nie pogodziła...

Kinga czeka na mnie pod ratuszem. Ma na sobie wysokie czerwone sandaalki, które wyszczuplają jej opalone łydki, białą sukienkę z odkrytymi plecami, a w ręku pleciana letnią torebkę.

– Wyglądasz bosko! – Całuję ją w policzek na powitanie, a sekundę później ona wykonuje podobny gest, jednak jej usta nie muskają mojej skóry. Przyjaciółka bardziej cmoka powietrze na wysokości mojej twarzy.

– Ty też, kochana! – odwdzięcza się za komplement, chociaż przecież wiem, że po całym dniu w Koniczynie wyglądam, jak wyglądam...

– Dokąd idziemy? – pytam. – Wybacz, że ponaglam, ale nogi bolą mnie dziś tak, że po prostu muszę usiąść...

– Może do Dedala? – Kinga rzuca nazwą lokalu, którego nie znam. – To pub, dwie przecznice stąd – wyjaśnia, widząc moje pytające spojrzenie. – Mają nowego barmana, który wygląda trochę jak Eduardo Noriega.

– Kto? – pytam, a Kinga wybucha śmiechem.

– Jeden z moich ulubionych aktorów. Nieważne, zapomnij. – Lekceważąco macha ręką, jakby odpędzała natrętnego komara.

– Co u ciebie? – pytam.

– Nic nowego, niestety – wzdycha. – A u ciebie?

– Krótko mówiąc, to samo. Pomijając rozstanie z zakłamanym dupkiem, o którym już wiesz – mówię i obie wybuchamy śmiechem.

– Słuchaj, mam dla ciebie niespodziankę. I wielką nadzieję, że sprawa wypali – oznajmia nagle Kinga, kiedy zbliżamy się do pubu z czerwono-złotym szyldem „Dedal”.

– Co wypali? Nie bądź taka tajemnicza, bo podnosisz mi ciśnienie.

– Usiądziemy, to wszystko ci powiem – obiecuje Kinga przed wejściem do środka.

W pubie jest tłoczno, a wśród klienteli przeważają dzieciaki niewiele starsze od mojej nastoletniej córki. Jest też okropnie głośno, a wykładzina pod naszymi stopami zdaje się żyć własnym życiem – jest zniszczona i brudna.

– Nie uciekaj, piękna! Ogródek wygląda znacznie lepiej! – krzyczy Kinga, odwracając się w moją stronę.

I faktycznie, na tyłach lokalu mieści się zaskakująco przestronny, klimatyczny zakątek. Nad stolikami wiszą rozwieszane na gałęziach rosnących tam starych drzew kolorowe lampiony, pod naszymi nogami barwi się nieco nierówno ułożona kamienna mozaika, a klienci wydają się nieco bardziej zbliżeni do trzydziestki niż wieku maturalnego.

– Piwo w ogródku kosztuje pięć złotych więcej niż na sali, ale zawsze warto tu usiąść – oświeca mnie Kinga, kiedy zajmujemy jeden ze stolików pod drzewem.

– Nie znałam tego miejsca – mówię, rozglądając się wokół.

– Ma już kilka lat, ale niedawno zmienił się właściciel, co zdecydowanie przysłużyło się wyglądowi lokalu. Słuchaj, powiem wprost – chyba mam dla ciebie świetną pracę – zmienia temat moja przyjaciółka.

– Pracę? – Jestem zaskoczona, nie powiem...

– Tak, pracę. Mój dobry, zaufany znajomy z żoną numer dwa, artystką, otworzyli właśnie w centrum galerię sztuki. Wiesz, taka prezenciarnia z nieco wyższej półki. Obrazy mało znanych polskich

artystów, trochę ceramiki, odrobina rzeźby, ozdobne drewniane skrzynie, tego typu rzeczy. Póki co sami tam siedzą, godzinami obsługując klientów, chyba po prostu chcą sobie wyrobić renomę i zwabić fajnych ludzi, ale od drugiej połowy lipca chcą kogoś zatrudnić i lecieć na tydzień do Hiszpanii. Szepnęłam im co nieco o tobie i są wstępnie zainteresowani. No wiesz, że masz duże doświadczenie w handlu, ale też liznęłaś co nieco życia uczelnianego, bo przecież przez jakiś czas studiowałaś. Że znasz języki, zjechałaś kawał świata i jesteś byłą żoną wziętego architekta, którego, jak się okazało, oboje świetnie znają – całkiem niedawno siostra Izabeli zamówiła w jego pracowni projekt domu. Chwaliłam cię pod niebiosa i Bogdan prosi, żebyś do niego zadzwoniła. Zapisz sobie jego numer.

– Kinga, zaskoczyłaś mnie.

– No widzę! – Śmieje się moja przyjaciółka.

– Dziękuję, nie spodziewałam się. Byłoby fantastycznie, gdybym mogła odejść z tej cholерnej Koniczynki.

– Racja, byłoby genialnie. Przestałam tam nawet zachodzić po waciki, bo smutno mi na myśl, że skończyłaś w takim miejscu i nie wyobrażam sobie dnia, w który którym zastanę cię tam na kasie. To nie jest twój świat, Anka. – Kinga zaciska palce na mojej dłoni i dodaje, że bym umówiła się na spotkanie z Bogdanem i jak najszybciej złożyła wymówienie.

– Dobrze, zadzwonię do niego – obiecuję i wylewnie Kindze dziękuję.

– No to sprawy służbowe szczęśliwie mamy załatwione. – Uśmiecha się i macha na młodą kelnerkę. – Dwa razy mojito – zamawia, nie pytając mnie, czego sobie życzę, ale przecież świetnie mnie zna.

Mojito kocham, mogłabym je pić codziennie.

– To mów, gdzie się tak opaliłaś – mruga do mnie.

– Wczoraj, na pikniku. Iwona wyciągnęła mnie nad rzekę – przyznaję, a Kinga wymownie się uśmiecha.

– Dalej tak ci się narzuca? – pyta, bo już kilka razy opowiadałam jej o specyficznym klaustrofobicznym znajomości z Iwoną.

– Trochę, jak to ona. Ale tak bardzo się stara, że to aż wzruszające. Upiekła pyszną szarlotkę, zrobiła sałatkę. Tej drugiej co prawda nie tknęłam, bo była z fetą, której nie znoszę, ale widać, że włożyła w ten nasz wypad całe serce.

– Nie obraź się, Anka, ale z tego, co mówisz, laska ma w sobie coś z psychopatki. A może ze stalkerki? – Parska śmiechem Kinga.

– Bez przesady, po prostu się stara – bronię Iwony, bo Kinga jest dla niej bezlitosna, chociaż przecież nawet jej nie zna.

– I co tam u niej? – Nagle Kinga okazuje żywe zainteresowanie jej osobą.

– Nic nowego – kłamię, bo nie mam zamiaru zdradzać sekretów koleżanki innej koleżance, tak się po prostu nie robi, przynajmniej ja taka nie jestem. – Chciała mnie wyciągnąć na wakacje do Bułgarii, ale nie lecę.

– Nie dziwię się. Też bym z nią nie poleciała. – Kinga aż się wzdryga.

– Chodzi bardziej o brak kasy niż o Iwonę – przyznaję szczerze.

– Mogę ci trochę pożyczyć, jeśli chcesz.

– Nie, dzięki. Odkładam dla Martyny, czeka nas sporo wydatków.

– Nie możesz całe życie myśleć wyłącznie o innych.

– To moja córka, Kinga. – Uśmiecham się blado i dziękuję kelnerce, która stawia przede mną mojito. – To gdzie ten przystojny barman? – pytam Kingę, a ona przewraca oczyma.

– Nie ma go dziś. Jest ten rudawy, nic ciekawego – mówi, zanim zanurza słomkę w pełnym cicho grzechoczących kostek lodu drinku i upija kilka pierwszych łyków. – Uważaj na tę Iwonę, tylko tyle ci powiem. Zdystansuj się od niej, kiedy tylko zmienisz pracę. To jakaś pijawka, w dodatku ma duże problemy emocjonalne. No i uczepiła się ciebie jak rzep psiego ogona.

– Może i trochę tak, ale staram się o niej w ten sposób nie myśleć. Kiedyś byłyśmy ze sobą naprawdę blisko.

– Bo jeszcze pewnie jej nie znałaś! Anka, ta baba jest rąbnięta! Z tego, co mi mówiłaś, nie wyłania się zbyt optymistyczny obraz jej

osoby... Powinna się leczyć, rozumiesz?

- Bez przesady – mówię, ale Kinga nie wygląda na przekonaną.
- Odpuść sobie tę znajomość – prosi, zanim zmienia temat.

Przez następną godzinę gadamy o wszystkim i o niczym, w końcu zaczynam się zbierać.

– Wiesz, że jutro pracuję, prawda? – Uśmiecham się, kiedy Kinga proponuje jeszcze po jednym drinku.

– Ja też, kochana. Ja też.

– Ty zostajesz w domu, komfortowo i przed własnym laptopem. Ja wśród ludzi, więc nie chcę mieć kaca.

– Dobrze, rozumiem. Zbierajmy się. – Kinga wstaje, sięga po swoją torebkę i rusza w stronę wejścia do pubu. – I koniecznie zadzwoń do Bogdana – przypomina mi, zanim zegnamy się w alejce na pobliskim skwerku. – Najlepiej jutro, z samego rana. To praca dosłownie stworzona dla ciebie, przynajmniej dopóki nie otworzysz czegoś własnego – przekonuje mnie.

– Zadzwonię – obiecuję. – To pa!

– Pa! – Macha mi i dzwoni po taryfę.

Ja wracam pieszo, bo żal mi kasy na taksówkę. I chociaż nieprawdopodobnie bolą mnie nogi, w drodze do domu nie myślę o zmęczeniu. Gdyby udało mi się dostać ten etat w galerii jej znajomego, mogłabym uwolnić się od widoku Włodka Żbika, rozładowywania cholernych kartonów z kosmetykami, nachalnej obecności Iwony, otwartej niechęci nieznoszącej mnie Tośki i całej tej harówki, której mam po kokardy. Koniczynka mi się przejadła, zmęczyła mnie. To robota bez perspektyw, nudna, miałka, nijaka. W galerii mogłabym przynajmniej otoczyć się pięknymi rzeczami, myślę i obiecuję sobie, że z samego rana skontaktuję się ze znajomym Kingi.

W mieszkaniu całuję siedzącą za kuchennym stołem córkę, która ze słuchawkami na uszach, przebrana w ulubioną koszulkę nocną słucha jakiegoś podcastu, i mimo późnej pory robię sobie jajecznicę, bo nagle jestem wściekle głodna, chyba po alkoholu.

– Gdzie byłaś? – pyta nagle młoda, ściągając słuchawki.  
– Na drinku z Kingą.  
– W poniedziałek?  
– Czasem trzeba. Jest lato, łapiemy fajne chwile. – Wzruszam ramionami.

– Tato dzwonił. Chce mnie zabrać do Chorwacji. O ile się zgodzisz, oczywiście.

– A ty chcesz jechać?

– No pytanie!

– To jedźcie. – Uśmiecham się, a Martyna zrywa się od stołu i rzuca mi na szyję.

– Dzięki, mamuś! Powaga, dzięki! – mówi i mocno się do mnie przytula.

Obejmuję ją, wdychając znajomy zapach jej szamponu, i wzruszenie łapie mnie za gardło. Dawno się do mnie nie tuliła, myślę, głaszcząc ją po głowie.

– Idę spać. – W końcu córka wyswobadza się z moich objęć i mruczy „dobranoc”.

– Dobranoc. – Uśmiecham się do niej i zostaję sama w kuchni.

Rano, kilka minut przed dziewiątą, zanim przekroczę próg Koniczynki, dzwonię do Bogdana, znajomego Kingi, i umawiam się z nim na kolację. Wieczorem widzimy się w Kaszy Mannie – jednej z dobrych, choć w miarę tanich knajpek w centrum, i od razu przypadamy sobie do gustu. Bogdan pojawia się z żoną – ubraną w zwiewną sukienkę rudą piękną koło trzydziestki. Sam musiał już przekroczyć pięćdziesiątkę, ale nieźle się trzyma. Jest wysoki, opalony i dobrze zbudowany, a w jego ciemnoblond włosach nie widać wiele siwizny. Kolacja jest dobra, a nam rozmawia się tak swobodnie, jakbyśmy znali się od lat.

– Po prostu tak szybko, jak możesz, zrezygnuj z drogerii i masz u nas etat – obiecuje mi Bogdan, kiedy czekamy na rachunek.

Dzień później składam więc wymówienie i proszę Żbika, żeby zachował moje planowane odejście dla siebie.

– Nie powie pani koleżankom? – Szef złośliwie się uśmiecha, a później wstaje i całuje mnie w rękę. – Wielka szkoda, ale rozumiem. Taka piękna, elegancka kobieta, jak pani, pani Aneczko, nie mogła tu zostać na zawsze – dodaje znacznie sympatyczniejszym tonem.

– Dziękuję – mówię, czerwieniąc się, a on wyjmując z biurka flaszkę whisky, otwiera ją i rozlewa bursztynowy płyn do niskich szklanek z rżniętego szkła.

– Za pani powodzenie – oznajmia, a potem podaje mi niewielką porcję alkoholu i wyjmując z szuflady miętowe cukierki.

Wypijam więc whisky, biorę od niego dwie miętówki, opuszczam zaplecze i jak gdyby nigdy nic siadam na kasie.

– Czego chciał Żbik? – pyta Iwona, widząc, że od niego wyszłam.

– Nic ważnego – splawiam ją.

Chryste, jak dobrze będzie pracować gdzieś, gdzie ona nie osacza mnie każdego dnia, nieustannie – myślę i od razu czuję wyrzuty sumienia. Muszę być beznadziejną przyjaciółką. Prawda jest jednak bolesna – Iwona coraz bardziej mnie irytuje, ale nie potrafię jeszcze całkowicie się od niej odciąć. Zależy mi na niej, mimo wszystko. Jest pogubiona, ale to dobry człowiek, oddana koleżanka i, tak jak ja, samotna matka nastoletniej córki. Na myśl o tym posyłam jej nieco wymuszony uśmiech.

Godzinę później do Koniczynki wpada Bartosz. W ręku ma bukiet róż, a na jego gładko ogolonej twarzy maluje się skrucha.

– Chyba żartujesz? Tu zamierzasz urządzać teatrzyk? – syczę na jego widok, a on spuszcza głowę jak zbesztany uczeń.

– Po prostu porozmawiajmy – prosi, ale nie zamierzam dać się zmanipulować.

– Nie mam ci nic do powiedzenia! – mówię, a on posyła mi spojrzenie zbitego psa i rusza w stronę drzwi.

Kiedy wychodzi z bukietem kwiatów w dłoni, smutny i zgarbiony, widzę wzrok Tośki – kpiący, szyderczy, nieżyczliwy.

– Masz jakiś problem?! – pytam ostro, bo nigdy tej grubej, zaniedbanej pindy nie lubiłam.



– Żaden – rzuca i odwraca się do mnie plecami.

– Świetnie. – Uśmiecham się i z powrotem siadam na kasie.

Jak cudnie będzie stąd odejść – powtarzam sobie po raz enty, skanując niekończącą się listę zakupów stałej klientki.

A kiedy już odejdę, nawet po waciki tu nie zajdę, jak mawia Kinga. Uśmiecham się pod nosem.

**17**  
**IWONA**

Na weekend wyciągam Annę nad jezioro. Jestem zdziwiona, że zgodziła się jechać, i chyba zawdzięczam obecność przyjaciółki wyjazdowi jej córki, która razem z Maciejem i parą jego starych znajomych jest teraz w Chorwacji.

Ośrodek wczasowy, w którym zamierzamy spędzić trzy dni, obie już znamy – byliśmy tu rok wcześniej, z końcem czerwca, i całkiem dobrze się bawimy. W tym roku okolica prezentuje się równie urokliwie, a nam udało się nawet zarezerwować ten sam domek – klimatyczną drewnianą chatkę na kamiennej podmurówce z widokiem na jezioro i rosnący tuż za nim sosnowy las.

– Miło, że ze mną pojechałaś – mówię, kiedy leżymy na drewnianym pomoście.

– Miło, że mnie zaprosiłaś. – Anna się uśmiecha i przymyka oczy.

Słońce właśnie zaszło, chowając się za ponuro wyglądającą chmurą i chyba zanoszą burzę, ale w niczym nam to nie przeszkadza. Odpoczywamy, ciesząc się ciepłem i słodkim lenistwem. Obie zrobiłyśmy sobie wolną sobotę. W Koniczynie zastąpił nas Żbik ze swoją młodszą siostrą i Tośką, która wściekła się na wieść, że obie olewamy pracę, ale pewnie jakoś przeżyje. To mała, prywatna drogeria, żadna tam ogólnokrajowa sieć sklepów. Zasady panujące w niej są elastyczne i dzięki dobrej woli obu stron można je czasem lekko naginać.

– O czym myślisz? – pytam Annę, kiedy milczenie pomiędzy nami się przedłuża.

– O Martynie. Nie lubię, kiedy wyjeżdża beze mnie.

– Daj jej żyć, jest już prawie dorosła. – Krzywię się, bo ja rzadko myślę o mojej córce, kiedy urywam się z domu.

Tym razem Sylwia też została sama i zakładam, że sobie poradzi. Ma szesnaście lat, niech się uczy życia. Co złego może się stać? Najwyżej się upije albo da się komuś przelecieć na naszej sofie. Z tym też muszę się w końcu pogodzić – nie mam już cienia wątpliwości – podejrzewam, że Sylwia zaczęła uprawiać seks, i nie mam na to żadnego wpływu...

– Prawie dorosła... Błagam, nie rozśmieszaj mnie. – Rozbawiona Anna cicho chichocze i sięga po krem przeciwsłoneczny.

– Posmarować ci plecy? – proponuję.

– Możesz. Tylko, błagam, nie całuj mnie po ramionach – żartuje moja przyjaciółka i podaje mi tubkę z kremem.

– Ładnie pachniesz – zauważam. – Co to za perfumy?

– Stare, jeszcze z czasów mojego małżeństwa z Maciejem.

– Stare w sensie, że została ci jakaś resztką na dnie flakonika?

– Stare w sensie, że owszem, została mi resztką, a obecnie raczej mnie nie stać na kolejną butelkę. Ale cieszę się, że ci się podobają.

– Bardzo. Pachną oszalamiająco. Nie to co te tanie kwiatowe wody, które sprzedajemy w Koniczynie. – Krzywię się, a Anna parska śmiechem.

– Tym syfem z Koniczynki nawet wycieraczki bym nie spryskała – mruczy, zanim chowa krem przeciwsłoneczny do dużej plażowej torby i kładzie się na brzuchu, z policzkiem w zgięciu ramienia. – Tak mi błogo – dodaje.

Jej słowa sprawiają, że złośliwie się uśmiecham. Przecież pamiętam, że używała tanich wód z naszej drogerii i to niejednym razem. Ale nie mówię nic, po co wywoływać niesnaski...

Po południu, po krótkiej, choć przerażająco intensywnej, burzy, wybieramy się do pobliskiego miasteczka, ale niestety ucieka nam pekaes.

– Jedźmy stopem – proponuję.

Anna nie wygląda na przekonaną.

– Nie żartuj. Jeszcze trafimy na jakiegoś podejrzanego typa.

– Daj spokój, jesteśmy we dwie. Poza tym prawdopodobieństwo przejazdu z jakimś lokalnym odpowiednikiem Teda Bundy’ego jest raczej znikome.

– Tiaaaa, wyskocz jeszcze z tym typem, to na pewno wsiądę do samochodu obcego faceta. – Krzywi się moja przyjaciółka, ale w końcu daje się przekonać i kwadrans później udaje się nam zatrzymać niemłodego już łysego faceta w starym oplu.

Gość jest pszczelarzem, dużo mówi o swojej pracy, ale w żaden sposób nas nie podrywa, co uznajemy za fart, a kiedy wysiadamy, życzy nam udanego pobytu nad wodą.

– Widzisz? Nie każdy koleś jest zbokiem albo seryjnym mordercą. – Szturcham Annę, kiedy ruszamy w stronę głównej ulicy niewielkiego turystycznego miasteczka.

W sklepiku z pamiątkami kupujemy sobie identyczne bransoletki z kolorowych koralików i upieram się, że zapłacę za obie.

– Bransoletki przyjaźni, jak w podstawówce – śmieję się, pomagając Annie zapiąć jedną z nich na nadgarstku.

– Dziękuję. – Przyjaciółka całuje mnie w policzek i uśmiecha się na widok nowej błyskotki. – Wezmę jeszcze taką samą dla Martyny – decyduje.

Jej pomysł średnio mi się podoba... Chciałam, żebyśmy tylko my miały takie same bransoletki. Poza tym, jeśli ona kupi identyczną Martynie, ja będę musiała wziąć jeszcze jedną dla Sylwii, co nie bardzo mi się uśmiecha. Moja córka jest niewdzięczną, rozkapryszoną pannicą, która ciśnie pewnie prezent na samo dno jednej z szuflad swojego zabałaganionego biurka, a ja wywalę w błoto trzydzieści kilka złotych.

Ale co robić... Anna już odbiera prezent dla Martyny, więc niechętnie decyduję się kupić coś dla Sylwii. W ostatnim momencie wybieram jednak inną, której kolory koralików daleko odbiegają od pastelowych barw kupionej przed chwilą.

– Nie chcecie mieć takich samych? – dziwi się Anna.

– Nie – mruczę.

Nie dam tej bransoletki córce. Ostatnio była wobec mnie chamska i nie zamierzam przywozić jej prezentów. Zamierzam ją nosić sama, decyduję i wyciągam z portfela pieniądze.

Po wyjściu ze sklepu wybieramy się do kawiarni, gdzie Anna brudzi sobie białą bluzkę czekoladowym sosem.

– Cholera jasna – klnie, usiłując zetrzeć plamę nawilżającą chusteczką, co tylko pogarsza sprawę. Owca

– Olej to, później się wypierze – radzę jej.

– Mam tak chodzić? Zapomnij! – Moja przyjaciółka dostrzega mieszczący się po drugiej stronie ulicy sklepik z tanią odzieżą i wstaje, żeby tam zajść. – Zostań tu, zaraz wracam – obiecuje.

– Pójdę z tobą. – Podrywam się z krzesła, ale ona usadza mnie jednym krótkim: „Zostań”!

Mówi do mnie jak do psa, krzywię się, ale posłusznie zostaję w kawiarnianym ogródku. Wraca jakieś dziesięć minut później, przebrana w krótką kolorową sukienkę na ramiączkach, w której wygląda rewelacyjnie – gdybym nie wiedziała, gdzie ją kupiła, pomyślałabym, że to Zara. Przezroczystą plastikową siatkę, do której upchnęła swoją poplamioną bluzkę i krótką dzinsową spódniczkę, niesie w ręce.

– Wow! Jak ci się udało znaleźć taką fajną kieckę? – zachwycam się.

– Przegrzebałam kilkanaście pojemników z odzieżą i byłam szybsza od jednej baby, która dosłownie sekundę po mnie wyciągnęła po nią rękę.

– Nawet nie jest zmięta – dziwię się.

– Była. Ale na moją prośbę, po łzawej opowieści o poplamionej lodami bluzce, pani sprzedająca przejechała mi ją żelazkiem. Tak się właśnie powinno traktować klientów.

– Ludzie zawsze są dla ciebie tacy mili – mówię, a Anna lekko wzrusza ramionami.

– Ludzie zazwyczaj są mili, trzeba tylko im na to pozwolić – kwituje moje słowa, a ja parskam śmiechem.

– Nie zauważyłam, żeby ludzie byli mili – mruczę.

– Może im na to nie pozwalasz? – Anna puszcza do mnie oko i dopija swoją colę. – Wracajmy nad wodę – prosi. – O osiemnastej szesnaście mamy pekaes, sprawdzałam.

– Nie wolisz iść do kina? – pytam.

– Nie. Chcę posiedzieć w leżaku przed domkiem, pogapić się na jezioro i upić tanim winem – zdradza mi swój plan, który i dla mnie brzmi całkiem nieźle.

Po drodze na przystanek kupujemy dwie flaszki taniego sikacza, a czterdzieści minut później wznosimy pierwsze toasty.

– Za lato – mówi Anna.

– Za przyjaźń – dodaję cicho i upijam kilka łyków wina.

Przed dwudziestą w domku obok pojawia się dwóch facetów po trzydziestce – musieli wrócić z jakiejś wycieczki, bo są ubrudzeni błotem, spaleni słońcem i lekko podpici. Jeden z nich trzyma w ręku puszkę piwa, drugi dopił resztkę jej zawartości i cisnął do przepełnionego kosza przed chatką, w którym zalegają już inne puszki, opakowania po chipsach i plastikowe butelki po coli.

– Cześć, dziewczyny! – odzywa się ten wyższy i macha do nas.

– Hej! – Uśmiecham się i również radośnie do nich macham, ale Anna wcale nie wygląda na zachwyconą.

Wręcz przeciwnie...

– Nie zwabiaj ich tutaj – syczy, kiedy obaj znikają we wnętrzu sąsiedniego domku.

– Czemu? Nie masz ochoty na towarzystwo? – dziwię się.

– To jakieś chamy, rano klęli tak, że prawie zwiędły mi uszy. A ten niższy wyjątkowo pogardliwie wyrażał się o byłej żonie.

– Może była pizdą? – Wzruszam ramionami.

– Iwona, poważnie? Mówię serio, nie chcę z nimi pić!

– Za późno, już tu idą – odpowiadam szeptem.

– W takim razie życzę wam miłego wieczoru. – Anna gwałtownie wstaje z leżaka i samotnie rusza w stronę jeziora.

– A ty dokąd? – dziwię się.

– Na spacer – oznajmia lodowatym tonem.  
– Czekaj! Dobra, spławię ich. – Doganiam ją i łapię za rękę.  
– Właśnie usiedli w naszych leżakach – zauważa kątem oka. – Cholera, Iwona, czemu zawsze zadowolasz się byle czym? Przecież to jakieś szemrane typy, widać to gołym okiem! – rzuca ze złością, a ja kulę się w ramionach, upokorzona jej słowami.

– Niczym się nie zadowolam, po prostu byłam przyjazna. Jesteśmy nad wodą, wyjmij ten kij z dupy – syczę.

– Nie mam kija w dupie. Po prostu zachowuję zdrowy rozsądek. Zaprosiłaś do nas jakąś patologię – wyrzuca mi.

– Dziewczyny, gdzie uciekłyście?! Jest flaszką do zrobienia! – woła tymczasem ten niższy.

Obaj sprawiają wrażenie zainteresowanych naszym towarzystwem.

– Sorry, mamy inne plany! – odpowiada mu Anna lodowatym tonem.  
– Pogoń ich – mówi ciszej, wyłącznie do mnie.

Wracam więc przed domek i wciskam typom jakąś gadkę o migrenie koleżanki, a później dzielnie biorę na siebie ich sarkastyczną reakcję i w końcu z ulgą odnotowuję, że wstają z naszych leżaków i idą w stronę pomostu, gdzie rozsiadła się grupa młodych, głośnych lasek.

– Już. Zadowolona? – pytam.

– Teraz tak – mówi Anna.

– Nie możesz być taka sztywna. Czasem trzeba w życiu zaszaleć – pouczam ją, a ona złośliwie się uśmiecha.

– Na przykład idąc do łóżka z sąsiadem, a później zarysowując mu samochód?

– Na przykład – mówię, a ona z politowaniem kręci głową.

– Nie moja bajka – rzuca, taka cholernie z siebie zadowolona, chociaż przecież świetnie wiem, że w ostatnich miesiącach jej również zdarzało się iść do łóżka z facetami poznanymi przygodnie w klubie Latino.

Ale ja jestem na tyle taktowna, żeby jej tego nie wypominać. Ma się za lepszą ode mnie, a jest taką samą tanią zdzirą jak ja. Jedyna

różnica między nami polega na tym, że ona zazwyczaj myśli o sobie dobrze, a ja wciąż tego nie potrafię...

– Ten niższy wyglądał tak, jakby niedawno wypuścili go z celi śmierci – mruczy, zerkając w stronę pomostu. – Naprawdę tego nie widziałaś? – pyta.

Później nalewa mi wina i mówi coś, czego za nic w świecie bym się w tym momencie nie spodziewała.

– Za kilka dni zaczynam nową pracę – słyszę.

– Co? – Jej słowa sprawiają, że oblewam się winem. – O czym ty mówisz? – pytam, czując, jak gardło zaciska mi narastająca z sekundy na sekundę panika. – Nie możesz mnie zostawić samej – mówię łamiącym się głosem, a ona parska śmiechem.

– Iwona, litości. Ile ty masz lat, pięć? – szydzi. – Dzięki życzliwości przyjaciółki trafiła mi się okazja, więc ją wykorzystałam.

– Gdzie? – chrypię, wciąż kompletnie zszokowana, roztrzęsiona i smutna.

– Gdzie będę pracować? W galerii sztuki, trzy przecznice od Koniczynki.

– Pierwszy raz słyszę.

– To nowe miejsce, ale z duszą. Na parterze zabytkowej, niedawno odnowionej kamienicy, z widokiem na park. Miła miejscówka i fajni właściciele, powinnam się tam odnaleźć. Daj spokój, Iwona, chyba się nie obraziłaś? Od dawna mówiłam, że chcę odejść z Koniczynki, przecież wiele razy o tym rozmawiałyśmy.

– Chujowo będzie bez ciebie – klnę, chociaż wiem, że Anna nie przepada za wulgarnym językiem.

– Poradzisz sobie. Z Tośką zawsze dogadywałaś się lepiej ode mnie, a na moje miejsce przyjdzie pewnie jakaś fajna laska – pociesza mnie przyjaciółka.

Obejmuję ją więc i gratuluję jej nowej pracy, chociaż w środku wszystko we mnie krzyczy. Stało się więc. Opuszcza mnie. Odchodzi, a ja jestem całkowicie bezsilna...



Później się upijam. Anna też pije, ale nie tyle, co ja. Na łóżko padam przed dwudziestą drugą. Kręci mi się w głowie i mam wrażenie, że spadam. Przyjaciółka okrywa mnie kocem, a sama wychodzi przed domek, posiedzieć w ciemności na werandzie.

Zasypiam niemal od razu, po prostu, zamroczona alkoholem, zapadam się w aksamitną nicość bez gwiazd.

Budzi mnie jakiś dźwięk, coś jak trzaśnięcie drzwiami, chyba w domku obok, chwilę później na zewnątrz rozlega się czyjś głośny chrapliwy śmiech i na nowo zapada niczym niezmacona cisza. Jest po drugiej w nocy, chce mi się pić. Wstaję, żeby napić się mineralnej i przyświecając sobie latarką z telefonu, na palcach przemierzam domek. Anna śpi, wyraźnie słyszę delikatny szelest jej oddechu. Nagle myślę o zapalkach, które mam w plecaku. Od jakiegoś czasu noszę je ze sobą wszędzie. Stały się czymś w rodzaju mojego sekretnego amuletu.

Wokół, nie licząc kamiennej podmurówki i równie kamiennego paleniska, które zdobi wnętrze domku, wszystko jest z drewna. Wystarczyłoby podpalić firanki, a ogień momentalnie rozprzestrzeniłby się po całym wnętrzu, pożarłby nas żywcem – wściekły, zachłanny, nieokiełznany. Gdybym zainicjowała pożar i położyła się obok Anny, nakrywając ją własnym ciałem, umarłybyśmy razem, czule objęte, jak siostry. Wieści o jej rychłym odejściu z Koniczynki docierają do mnie dopiero teraz, emocje biją we mnie z siłą grzmocących o skały fal, niemal zwalają mnie z nóg. Porzuca mnie, zostaję sama, powtarzam sobie, wyjmując z plecaka zapalnik.

Później podchodzę do łóżka, na którym śpi Anna, i staję nad jej głową. Nie budzi się, ma mocny sen, a ja zachowuję się bezszelestnie. Kiedy zapalam zapalnik, a ciemne wnętrze domku rozjaśnia nikła poświata jej płomienia, przez moment widzę pogrążoną we śnie spokojną twarz przyjaciółki i coś łapie mnie za serce. Ogień bezpowrotnie by ją zeszpecił, odebrałby jej piękno, naznaczył, i stojąc nad nią z zapaloną zapalniczką pomiędzy palcami, sama już nie wiem, czy właśnie tego pragnę, czy może jednak nie? Płomień dociera na kraniec

cienkiego drewnianego patyczka, parzy mi palce. Syczę z bólu i energicznie gaszę zapalę, żeby chwilę później zapalić kolejną. Stojąc nad śpiącą Anną, wyobrażam sobie, że podpalam ciężki wełniany koc, którym jest okryta, i w panice rzucam się na nią, żeby ugasić płomień. Pozwoliłabym jej spłonąć czy może oddałabym życie, ratując ją? Zastanawiam się, a ogień znów parzy moje palce. Gaszę go i poruszając się bezszelestnie, wracam do łóżka. Gdybym podpaliła okienne zasłony pierwszą zapalę, domek stałby już pewnie w płomieniach. Nadal jednak nie umiem się na to zdecydować, brakuje mi odwagi. Nie wiem, skąd moja fascynacja ogniem, może z dzieciństwa? W pożarze niemal zginęła moja babcia, tato w ostatnim momencie wyniósł ją z płonącego domu, kiedy już my z mamą byliśmy bezpieczni. Miałam tylko pięć lat, ale do dziś doskonale pamiętam strzelające wysoko ponad dachem żarłoczne płomienie, siłę nieokiełznanego ognia, jego blask rozświetlający noc zaskakująco jasną luną i przerażenie, które budził sam jego widok. Pożar trawi bezlitośnie, nieodwracalnie. Płomienie wymierzają karę, pożerają wszystko na swojej drodze, dobre i złe, oczyszczają. Anna potrzebuje oczyszczenia, myślę, obracając w palcach pudełko zapalek, jednak tej nocy nie umiem już zapalić trzeciej. Zbyt mocno kocham przyjaciółkę, żeby tak ją skrzywdzić. Jeszcze na to nie zasłużyła, mówię sobie w duchu. Jeszcze nie czas na ostateczne wyjście...

**18**  
**ANNA**

Ostatniego dnia mojej pracy w Koniczynie, po tym jak już zamykamy drogerię, Iwona zaprasza nas na przyjęcie – niespodziankę. Prosiłam ją kilkakrotnie, żeby niczego takiego nie robiła, ale nie byłaby sobą, gdyby pozwoliła mi odejść po cichu...

Na zapleczu jest więc czekoladowy tort, kilka balonów ze złoczonej folii, a nawet confetti. Tośka pierwsza rzuca się na deser, kroi go sama i nie częstując innych, zabiera się do jedzenia swojego kawałka. Ostatnio jeszcze bardziej się roztyła, choć spodziewałabym się, że schudnie, mając nowego faceta.

– Żebyś zawsze miło nas wspominała – mówi Iwona, a Żbik, który wpadł na zaplecze razem z siostrą, otwiera taniego szampana i rozlewa go do plastikowych kubeczków.

– Dziękuję, jestem wzruszona – mówię, choć to, niestety, kłamstwo.

Tak naprawdę jestem zażenowana tą wymuszoną, pompatyczną sytuacją i lśnjącymi w oczach Iwony łzami, która zachowuje się tak, jakby zdiagnozowano u mnie jakąś śmiertelnie groźną odmianę nowotworu.

– Będziemy przecież czasem wyskakiwać na drinka – obiecuję, obejmując ją, choć, prawdę mówiąc, nie jestem w stu procentach pewna, czy szybko znajdę dla niej czas.

Nowe życie wciąga, pochłania bez reszty. Pojawiają się inni ludzie, zmieniają godziny pracy, robi się chaos. Jak prędko znajdę czas dla dawnej koleżanki, która ostatnio tak bardzo działa mi na nerwy? Nie mam pojęcia.

– Przysięgnij, że niedługo się zobaczymy – naciska Iwona, więc bąkam coś o tym, że na pewno, a ona dolewa mi szampana.

– Ja już muszę iść. – Tośka wkłada do ust ostatni kawałek tortu, przepija go szampanem, rzuca w moją stronę krótkie: „trzymaj się” i wychodzi.

Żbik rozmawia z siostrą o problemach z jakimś dostawcą. Chyba stracili zainteresowanie imprezą, zresztą, prawdę mówiąc, klimat zdechł już na samym początku.

– Weźcie resztę tortu do domów – proponuję, rozglądając się za folią, w którą mogłabym go zapakować, a Iwona protestuje.

– Ja dziękuję, za dużo słodczy – mruczy.

Żbik też odmawia, a jego siostra wychodzi, żeby odebrać telefon. Dziękuję więc wszystkim za życzenia powodzenia, dopijam szampana i zaczynam się zbierać. Nie interesuje mnie, co się stanie z tortem. Jedno jest pewne – sama na pewno go nie opchnę!

– Odprowadzę cię do domu – proponuje Iwona. – To w końcu nasz ostatni wspólny spacer po pracy – dodaje.

Kiedy kończy drugie zdanie, wyraźnie łamie jej się głos, co wprawia mnie w jeszcze większe zażenowanie.

– Nie wiedziałam, że aż tak przeżywasz moje odejście – zmuszam się, żeby ją przytulić, a ona zaczyna płakać.

– Przepraszam – mamrocze i wybiega do łazienki.

– Pożegnania bywają wzruszające – rzuca Żbik i puszcza do mnie oczko.

– Pójdę za nią – decyduję, bo wiem, że tak wypada, choć wcale się do tego nie palę...

Iwona siedzi w toalecie dla personelu na opuszczonej desce klozetowej i histerycznie szlocha z twarzą ukrytą w dłoniach. Widok jej rozpaczy wzbudza we mnie dość ambiwalentne odczucia. Z jednej strony naprawdę mi jej żal i staram się zrozumieć jej zachowanie, z drugiej widok jej załamania nerwowego zaczyna mnie irytować.

– Możesz mi powiedzieć, co się dzieje? – proszę, kucając obok niej.

– Po prostu mi smutno – chlipie. – Spóźnia mi się okres, spuchłam, cały czas chce mi się ryczeć, a ty sobie idziesz... Zostaję sama, rozumiesz?

– Nawet jeśli faktycznie tak jest, to tylko praca. Wchodzisz tu, robisz swoje i wychodzisz. Prawdziwe życie toczy się gdzie indziej. – Wyciągam rękę, żeby pogłodzić ją po głowie, ale po sekundzie ją cofam.

Taki poufały gest sprawił pewnie, że Iwona rozklei się jeszcze bardziej, myślę.

– To nie jest tylko praca! Spędzam tu kawał życia i lubiłam, kiedy byłaś obok!

– Mówiłam ci, że któregoś dnia odejdę. I tak zbyt długo się tu zasiedziałam...

– A ja? Ja zostaję i co? – Iwona pociąga nosem i wygląda jak obraz nędzy i rozpaczy.

– Jeśli tak bardzo pragniesz stąd odejść, znajdziesz sposób, żeby to zrobić – pocieszam ją, a ona parska śmiechem.

– I co? Dokąd pójdę? Przyjmą mnie do masarni?! Na panią sprzątającą?! Ty jesteś piękna, wygadana, pochodzisz z innej bajki, a ja...

– A ty w siebie nie wierzysz, co zawsze mnie bolało – wchodzę jej w słowo. – Chodźmy stąd. Nie chcesz chyba przesiedzieć całego wieczoru w tym kiblu. – Krzywię się, bo nagle dociera do mnie, że w toalecie mocno zajężdża moczem.

– Czekaj, ogarnę się. – Iwona wstaje, poprawia włosy i wyciera twarz papierowym ręcznikiem. – Kurwa, jak ja wyglądam – klnie po tym, jak zerknęła w lustro. – Skoczmy na drinka? – proponuje. – Do Texaco albo chociaż do Lambady? – wymienia dwie najbliższe knajpy, w których dawniej dość często bywałyśmy.

Nie mam ochoty na pub. Chcę tylko wrócić do domu, włączyć jakiś dobry film i przede wszystkim wziąć prysznic, żeby raz na zawsze zmyć z siebie chemiczny zapaszek Koniczynki. Iwona potrafi być jednak taka namolna.

– Dobrze, chodźmy do Texaco. Jeden drink, nie więcej – zaznaczam.

Dzień później mam wolne. Jeszcze nie zaczynam nowej pracy, ale chcę sporo załatwić na mieście i planuję być w formie. Smęcenie nad alkoholem w towarzystwie Iwony nie jawi mi się jako najlepszy plan

na wieczór. Jednak ona już żegna się ze Żbikiem, łapie za swoją torebkę i niesiona euforią pędzi w stronę wyjścia.

W Texaco zwalnia się akurat stolik, dosłownie sekundę po tym, jak wchodzimy do środka, ale Iwona upiera się, żebyśmy usiadły przy barze.

– Wolałabym przy stoliku – mówię, ale w końcu jej ustępuję.

Barmanka, rudowłosa, otyła dziewczyna z włosami splecionymi w warkoczyki, ma przyciągające wzrok etniczne kolczyki z turkusami, odważnie wyeksponowany dekolt i ładny, głęboki głos.

– Co dla was, piękne kobiety? – Posyła nam promienny uśmiech, który sprawia, że nieco poprawia mi się nastrój.

Proszę ją o whisky z colą, Iwona zamawia wódkę.

– Chcesz pić czystą? – dziwię się, a ona wzrusza ramionami.

– Żbik łatwo się pogodził z twoim odejściem. Aż byłam zaskoczona – zauważa.

– A czemu miałby się z tym nie pogodzić? – pytam.

– Daj spokój, przecież to jasne. Facet ślinił się do ciebie od pierwszego dnia twojej pracy, ślepa jesteś czy jak?

– Bzdury! – protestuję, bo akurat myśl o Żbiku w roli mojego sekretnego adoratora niezbyt mnie zachwyca.

Ale Iwona upiera się przy swoim.

– Już nie udawaj takiej cnotki, gdyby tylko mógł, koleś przeleciałby cię jeszcze dziś.

– Czemu mówisz takie rzeczy? – obruszam się, a ona wlewa w siebie kieliszek wódki i zamawia następny.

– Bo to prawda.

– A nawet jeśli, to co? Jesteś zazdrosna?

– O Żbika? Nie. Ale o to, że potrafisz zawrócić w głowie każdemu facetowi, tak.

– Nie potrafię zawrócić w głowie każdemu, zapewniam cię – mówię, chociaż w sumie, po namyśle, zdaję sobie sprawę, że Iwona jest bliska prawdy – niewielu mężczyzn pozostaje obojętnych na moje wdzięki.

– Potrafisz – mamrocze Iwona i wypija drugą wódkę.

– Nie mam na taksówkę i nie zamierzam taszczyć cię do domu – ostrzegam ją. – Jeśli tu padniesz, zostawię cię.

– Wiem, wiem. Zostawisz mnie w kiblu i sobie pójdiesz, bo taka z ciebie przyjaciółka.

– Nie powiedziałam, że zostawię cię w kiblu – mówię, a ona wzrusza ramionami i zsuwa się z wysokiego barowego krzesła.

– Chodźmy do domu – decyduje.

– Chciałaś posiedzieć w knajpie – przypominam jej, a ona dyskretnie czka i przewiesza przez ramię tanią torebkę na połączonym łańcuszku.

– No to posiedziałyśmy – mówi.

Dopijam więc drinka i wychodzimy przed lokal.

– Jesteś pewna, że chcesz mnie odprowadzić? – upewniam się, bo robi się późno, a ona wygląda na pijaną.

– Tak, chcę – upiera się, więc ruszamy w stronę mojego osiedla.

Przed klatką Iwona opada na ławkę i wyjmuje z torebki bransoletkę splecioną z kolorowych sznurków, którą mi podaje.

– Zrobiłam ją dla ciebie. Na pamiątkę. Obiecuj, że będziesz nosić.

– To paskudztwo? – śmieję się, a ona się obrusza.

– Sama ją zrobiłam.

– Wiem, mówiłaś. I wybacz, ale jest paskudna. To chyba nie podstawówka, żebyśmy wymieniały się taką tandetą? – pytam.

– Nie umiesz docenić tego, że ktoś oddaje ci serce – mówi nagle Iwona. – Nigdy tego nie potrafiłaś – dodaje i ciska bransoletkę w rosnące przy ławce krzaki.

– Nie musiałaś jej od razu wyrzucać. Zachowałabym ją na pamiątkę. Powiedziałam tylko, że nie będę jej nosić, bo ostatni raz tego typu biżuterię miałam na sobie w szkole.

– Mniejsza z tym – mówi Iwona. – Wracam do siebie, robi się późno – dodaje, ale nie wstaje z ławki.

Chwilę później mamrocze, że jej niedobrze.

– Będziesz rzygać? – pytam.

– Nie, to nie to. Tak mi jakoś... słabo, chyba od serca...

– Od kiedy masz problemy z sercem? – dziwię się, bo choć koleżanka pali jak smok, sporo pije i nie dosypia, nigdy nie narzekała na zdrowie.

– Nie wiem... od dzisiaj? Nie dam rady wrócić do siebie. Mogę zostać? Martyna wciąż jest w Chorwacji, prześpię się w jej pokoju – wprasza się. – Albo z tobą, masz szerokie łóżko.

– Tapczan, i to raczej wąski – poprawiam ją, ale jej to bynajmniej nie przeszkadza.

– Łóżko, tapczan, co za różnica? To nasza ostatnia babska noc – mówi i wieszka mi się na szyi. – Nie wyrzucaj mnie, nie bądź podła – mamrocze, uwieszona na mnie.

Przechodzący sąsiad posyła nam zniesmaczone spojrzenie. Czuję się nieswojo.

– Dobra, chodź – mówię i wyjmuję z torebki klucze.

W mieszkaniu proponuję jej prysznic, ale oznajmia, że jest zbyt zmęczona. Pożyczam jej więc krótką koszulkę w egzotyczny wzór, w którą się przebiera, a sama idę się umyć.

Kiedy kwadrans później wracam do pokoju, Iwona ogląda telewizję. W dłoni ma pilota, w drugiej pomiędzy jej palcami żarzy się końcówka papierosa.

– Nie pal tu, ochujałaś?! – rzadko klnę, ale ten widok naprawdę podnosi mi ciśnienie, bo zatęchły smród petów w mieszkaniu kojarzy mi się wyłącznie z patologią.

– Sorry, myślałam, że mogę. – Koleżanka obojętnie wzrusza ramionami i rozgląda się za czymś, w czym może zgasić papierosa, w końcu zdusza go w filizance po kawie, którą rano zostawiłam na nocnej szafce, i posyła mi w locie całusa. – Nieplanowany babski wieczór. Najlepiej! – Uśmiecha się szeroko i poprawia opadające ramięczko nocnej koszulki.

Jak dla kogo, myślę, kładąc się obok niej. Boli mnie głowa i jestem dziwnie poirytowana jej obecnością – drażni mnie wszystko, nawet zbyt intensywny kwiatowy zapaszek jej perfum, którym pewnie na dobre przesiąknie pościel i poszewka.



– Obejrzymy coś? – pyta, bawiąc się pilotem. – Wow, zobacz! Na TVN leci *Bodyguard*! Dopiero się zaczęło, możemy jeszcze...

– Iwona, padam z nóg. Chodźmy spać – proszę, a ona milknie i w ciszy wyłącza telewizor.

Zasypia kilka minut później, a poznaję, że odpłynęła, po jej lekko świszczącym oddechu. Mnie zajmuje to nieco więcej czasu, ale w końcu się udaje.

Budzę się koło czwartej, może czwartej trzydzieści. W pokoju jest duszno i cuchnie wypaloną przez Iwonę fajką, ale nie o tym myślę najpierw. Ktoś mnie obejmuje. Zajmuje mi chwilę przypomnienie sobie, że tej nocy nie śpię sama. Sekundę później dociera do mnie, że Iwona wtula się w moje plecy, a rękę przerzuciła przez moje piersi. Co gorsza, na kołdrze leży moja koszulka, co oznacza, że ona jest... naga! Jej biust przylega do moich pleców i to jest tak intymne, że przez chwilę nie mogę oddychać.

– Iwona, obudź się. – Szarpnię ją, kiedy już udaje mi się wyswobodzić z jej uścisku. – Czemu, do cholery, śpisz przy mnie z gołymi cyckami? – pytam, kiedy wyrwana ze snu koleżanka przeciera oczy i siada na łóżku.

– Po chuj mnie obudziłaś? – mamrocze. – Która jest godzina?

– Czemu jesteś naga? – powtarzam pytanie, zażenowana widokiem jej niewielkich nagich piersi i faktem, że nawet nie usiłuje ich przede mną zasłonić.

– Nie wiem, gorąco tu. Ściągnęłam koszulkę, cycków nie widziałaś? – Wzrusza ramionami.

– Zdrzemnę się jeszcze u Martyny – decyduję i mimo protestów Iwony samotnie przechodzę do pustego pokoju córki.

Kilka godzin później budzi mnie zapach świeżo zaparzonej kawy i kręcąca się po kuchni Iwona, która włączyła radio.

– Robię naleśniki z truskawkami – oświeca mnie, kiedy zjawiam się obok.

– Wyszłaś po truskawki? – dziwię się, dostrzegając na stole pełną kobiałkę.

– Tak, i po mleko. A ty tak słodko spałaś. – Mruga do mnie, a ja wyobrażam sobie, jak stoi nade mną, kiedy śpię, przyglądając się mojej twarzy, i przechodzi mnie dreszcz.

Jest w niej coś diabolicznego, myślę, obserwując, jak kręci się po kuchni. Nawet jeśli uważa się za moją najlepszą przyjaciółkę, jest w pewien sposób upiorna. Jej zachowanie – ta ciągła czujność, wszechobecność i nachalność – sprawiają, że miewam dreszcze, kiedy jest blisko, zwłaszcza w takich sytuacjach jak ta, kiedy wymusiła na mnie zaproszenie, a później spędziła pod moim dachem noc, w dodatku się do mnie klejąc.

– W nocy czułam się niezręcznie – mówię, kiedy ona odrywa z truskawek szypułki, myje je i przekraja każdą z nich na pół.

– Bo? – Iwona albo udaje, że nie ma pojęcia, do czego zmierzam, albo naprawdę nie wie i nie jestem pewna, która z tych opcji bardziej mnie przeraża...

– Przykleiłaś się do mnie gołymi cyckami. Uważasz, że to normalne? – pytam, a ona odkłada nóż i mruży oczy, jakbym nagle ją uraziła.

– Mówisz o tym w taki obleśny i wulgarny sposób. To nic złego, jesteśmy ze sobą blisko i tyle – tłumaczy się.

– Iwona, czy ty się we mnie kochasz? – pytam cicho, a ona wybucha śmiechem.

– Pojebało cię? – rzuca.

– W nocy tak to wyglądało. I wczoraj, w Koniczynce, kiedy zalałaś się łzami na wieść o...

– Mam cię za najlepszą przyjaciółkę i tyle. Ale ty chyba tak o mnie nie myślisz – wchodzi mi w słowo.

Widzę, że trzęsą jej się ręce. Chwilę później porzuca zamiar przygotowania nam śniadania, łapie za swoją torebkę, rzuca ciche: „To cześć” i obrażona wychodzi. Nie zatrzymuję jej, bo to trąciłoby fałszem. W tym momencie jej towarzystwo jest ostatnią rzeczą, na którą mam ochotę, i kiedy słyszę odgłos zamykanych drzwi, mam ochotę rozplakać się ze szczęścia. Zawsze ceniłam kobiecą przyjaźń, miałam w życiu wiele koleżanek, ale z żadną w ten sposób nie przekraczałyśmy granic.

Iwona robi mi wodę z mózgu, wmawiając, że to nic wielkiego, bo przecież wiem, że przegina, czuję to całą sobą, moje ciało dosłownie zaczęło się przed nią bronić, spina się i tężeje, kiedy tylko ona jest w pobliżu.

„Zróbmy sobie przerwę w kontaktach, pozwól mi się za Tobą stęsknić” – wklepuję w telefon, ale kasuję te słowa, zanim je wyślę.

Iwona nie była wczoraj w nastroju, w którym mogłabym dobić ją czymś takim. Po prostu przestaję o niej myśleć. Ulgę przynosi świadomość, że nie muszę się zbierać do Koniczynki. Nie spędzę w jej towarzystwie połowy dnia. Koniec, wolność! Uśmiecham się, sięgając po przekrojoną przez nią połówkę truskawki, i zjadam ją z apetytem. Miło, że zrobiła zakupy, myślę. Zapłaciła z własnej kieszeni, co też mnie cieszy. Kiedy razem pracowałyśmy, często kupowałam jej jakieś drobiazgi i nigdy nie oddawała mi kasy. Teraz, przynajmniej raz, dała coś z siebie, myślę.

Po śniadaniu ubieram się w ulubioną kwiecistą sukienkę i w pośpiechu wychodzę z mieszkania. Mijając odrapaną ławkę przed blokiem, dostrzegam zaczepioną o krzew plecioną bransoletkę od Iwony. Sięgam po nią i wkładam do torebki. Chwilę później zmieniam zdanie i ciskam ją do przepelnionego kosza na śmieci. Szkaradztwo jest naprawdę ohydne, a i pamiątka z tego czegoś żadna. Bo niby co miałyby mi przypominać? Nagie cycki Iwony wlepione w moje plecy? Wzdrygam się i skręcam w sąsiednią ulicę.

Wchodząc do banku, wyrzucam sobie, że potraktowałam ją podle. Po zorganizowanym dla mnie pożegnalnym przyjęciu i wszystkich tych jej emocjach okazałam się niewdzięczna i nieczuła. Problem polegał jednak na tym, że im bardziej Iwona starała się zaskarbić moje łaski, tym bardziej się od niej opędziałam. Sprawiała, że nie mogłam oddychać. Ale to już minęło, uwolniłam się, myślę, stając w kolejce do okienka.

**19**  
**IWONA**

W Koniczynie jest tak pusto bez Anny... Na jej miejsce Żbik zatrudnił przyjaciółkę swojej siostry – zbliżającą się do pięćdziesiątki chudą babę z żylakami na łydkach i niemodną fryzurą w kolorze oberżyny.

Ma na imię Wanda i dosłownie od pierwszej chwili działa mi na nerwy. Stara się być miła, ciągle o coś mnie pyta i kręci się przy mnie, co sprawia, że mam ochotę wrzeszczeć. Żbika nie ma, Tośka nie w humorze i w sumie sama nie wiem, co ze sobą zrobić.

– Ta nowa chyba bardziej klientów odstrasza, niż przyciąga – rzucam, kiedy wpadamy na siebie z Antonią w łazience. – Założyłaby chociaż rajstopy, a nie straszyla ludzi tymi koszmarnymi żylakami – dodaję z przekąsem. – I czemu, do cholery, ciągle nosi tę ohydłą szarą spódnice, zamiast spodni od służbowego uniformu? Żbik nie ma nic przeciwko?

– Może Żbik zacznie teraz sprzedawać pończochy przeciwżylakowe? – śmieje się Tośka, która też nowej nie polubiła.

– Bez Anny jest tak nudno – mówię cicho, a koleżanka wzrusza ramionami.

– Może tobie. Ja i tak nigdy z nią nie gadałam. Była zarozumiała, snobistyczną pindą. – Krzywi się.

– Nie mów tak o niej! – podnoszę głos.

– Taka jest prawda. – Tośka wzrusza ramionami i wyciska porcję mydła z zawieszzonego nad umywalką dozownika.

– To nie jej wina, że miała w życiu lepiej od nas – bronię przyjaciółki, bo przecież nawet po tym, jak potraktowała mnie ostatnio, wciąż uważam ją za przyjaciółkę.

– Może. Ale nie musiała codziennie podkreślać tego, jak bardzo tu nie pasuje.

– Nie podkreślała tego codziennie! – obruszam się, chociaż w słowach Antonii może być trochę prawdy. Anna faktycznie lubiła dawać do zrozumienia, że Koniczynka to nie jej bajka.

– Uwolnij się od niej – mówi Tośka. – Przestań co chwilę zaglądać na jej Instagram, zacznij żyć własnym życiem. I nie łudź się, że kiedykolwiek byliście prawdziwymi przyjaciółkami. Takie fałszywe cipy jak ona nawiązują po prostu z ludźmi w miarę poprawne relacje, żeby przetrwać trudny dla nich czas. Teraz, kiedy się stąd zabrała, Anna ma cię pewnie głęboko w dupie – szydzi koleżanka, a mnie najbardziej bołą jej słowa o braku własnego życia, bo przecież wiem, że jest w nich sporo prawdy...

– Żyję własnym życiem! – bronię się, ubodzona do żywego.

– No chyba jednak nie bardzo. – Antonia uśmiecha się pogardliwie, strzepuje umyte przed chwilą ręce i wychodzi z łazienki.

Kiedy zostaję sama, idę do naszej przebieralni, wydaję z szafki torebkę, a z niej telefon, i szybko sprawdzam na insta, co u Anny.

Widok zdjęć z jej nowej pracy sprawia, że czuję ból. Jest superelegancko ubrana i wygląda na to, że szybko się odnalazła w świecie malarstwa i ceramiki. Uśmiech ma promienny, włosy starannie ułożone na szczotce, makijaż mocny, znacznie efektowniejszy niż ten, w którym ją widywałam.

– Przyłapano! – Tośka zniecierpliwiona wpada do przebieralni i parska śmiechem na widok telefonu w mojej dłoni.

– Sprawdzam prognozę na wieczór – kłamię, ale przecież jej nie nabiorę.

– Idź na kasę, muszę zadzwonić do mojego faceta – poleca mi, nie dodając już nic więcej w temacie mojej obsesji na punkcie Anny, więc niechętnie wlokę się na sklep.

Wieczorem, już w mieszkaniu, robię sobie drinka i ze szklanką w dłoni stoję w otwartym na oścież oknie.

Może ja też powinnam dopieścić moje instagramowe konto? – przechodzi mi przez myśl. Profil założyłam dwa lata wcześniej, ale wchodzę na niego tylko po to, żeby podglądać Annę i od czasu do czasu scrollować zdjęcia dawnych znajomych. Własnych zdjęć dodałam może z pięć, kompletnie nie umiem pokazywać światu mojego życia. Ale może powinnam? – zastanawiam się. Teraz każdy jest na insta, ludzie chwala się byle głównem. Ja też mogę, mówię sobie w duchu i w świetle zachodzącego słońca robię fotkę trzymanemu w dłoni drinkowi. Zdjęcie wygląda jednak fatalnie. Światło jest słabe, w tle widać altankę śmietnikową, a poobijany ford sąsiada z kamienicy obok to również nic, co mogłoby przyciągnąć wzrok.

– Kurwa mać, co za syf – klnę pod nosem, a później ustawiam szklanekę na parapecie, robię jej kilka fotek, zmieniam położenie drinka, oświetlam go nawet zapaloną lampką, którą stawiam obok i w końcu, z użyciem funkcji „przesłona”, udaje mi się zrobić w miarę klimatyczną fotkę, którą wrzucam na Instagram.

Prawdę mówiąc, mam wielką nadzieję, że zareaguje na nią Anna. Zapyta, co u mnie, albo chociaż wrzuci kilka serduszek, ale przyjaciółka milczy. Nie widzi mnie. Może to moje słabe zasięgi, może ona nie wchodzi do sieci bądź po prostu ma w dupie to, jak spędzam wieczór.

Wtedy myślę o rowerze. Mój stoi w piwnicy, a Sylwii mogłabym kupić nowy. Fotki z rowerowych wycieczek z córką na pewno wyszłyby rewelacyjnie.

– Sylwia, słuchaj, bo tak sobie pomyślałam... – zaczynam, kiedy wchodzę do jej pokoju.

– Pukaj tu na przyszłość, co?! – Córka, która w samej bieliźnie leży rozwalona na niepościelonym łóżku, wchodzi mi w słowo i posyła mi krzywe spojrzenie. – Jestem zajęta, widzisz chyba? – dodaje, nie odrywając oczu od trzymanego w ręku telefonu.

– Może kupię ci rower? – rzucam, a ona parska śmiechem.

– A co, ja mam pięć lat?

– Czemu pięć? – dziwię się.

– No dzieciakom się rowery kupuje przecież, co nie? – wymądrza się, wciąż zapatrzona w swoją komórkę.

– Pojeździłybyśmy razem. Wiesz, po okolicy. Park, jezioro pod miastem, tam gdzie są te ruiny i może nawet...

– Pogięło cię? – Sylwia w końcu odrywa wzrok od telefonu. – Nie będę jeździć po osiedlu z własną starą! To by dopiero była zenada. – Krzywi się, wyraźnie zniesmaczona.

– Porobiłybyśmy zdjęcia, byłoby fajnie. I nie mów o mnie „stara” – dodaję cicho, a ona parska, poirytowana.

– Nie ma opcji – oznajmia, zanim każe mi wyjść. – Gadam z kimś, przeszkadzasz.

– Wybacz – rzucam urażonym tonem i samotnie wracam do kuchni.

Kroję chleb, chcąc zrobić sobie kolację, kiedy córka zjawia się obok i siada na taborecie.

– Ojciec wrócił do Polski – oznajmia nagle, a ja nieruchomieję z nożem w ręku na wieść o powrocie mojego byłego męża. – Podobno na stałe – dodaje. – Kupił mieszkanie, cztery pokoje na Miodowej, i ma jakąś babę, Turczynkę z dwójką dzieci.

– Co? – Parskam śmiechem, usiłując sobie wyobrazić byłego w pakiecie z Turczynką i dwójką jej bachorów.

– No mówię ci, dziś do mnie dzwonił.

– A praca? Znalazł coś?

– Firmę przecież teraz ma. Transportową.

– A to nowość – rzucam złośliwym tonem, bo z czasów naszego małżeństwa pamiętam wyłącznie jego harówkę w magazynie i raczej marne pieniądze, które stamtąd przynosił.

Aż tu nagle taki operatywny? Chwilę później myślę o tej jego Turczynce (skąd on ją wytrzasnął? W tych Niemczech to jednak dziwny świat...). Ja męczyłam się z nim przez lata, a ona będzie spijać śmietankę? Zdzira! – krzywię się i wracam do krojenia chleba.

– Mnie też zrób, co? Z masłem i mielonką – rozkazuje mi Sylwia, ale nie zamierzam obsługiwać księżniczki.

– Sama sobie zrób, taka dorosła przecież jesteś – rzucam.

– No i zrobię sobie. Żebyś wiedziała, że sobie zrobię! – Córka wyjmuje z szafki drugi nóż i łapie za chleb, który przed chwilą odłożyłam.

– Pytał o mnie?

– Ojciec? Nie. A powinien? – Uśmiecha się krzywo.

– Spotkasz się z nim?

– Nie wiem, pewnie tak. Skoro się odezwał... Ma dla mnie jakiś prezent podobno.

– No tak i wszystko jasne – kpię, a ona wzrusza ramionami.

– Jak dają, to się bierze. Życie cię jeszcze tego nie nauczyło? – mruczy, zanim zabiera się za rozsmarowywanie masła na grubo ukrojonych kromkach.

– Żresz tyle, co dorosły chłop i ciągle jesteś chuda jak patyk. – Z niedowierzaniem patrzę na talerz kanapek z grubo skrojoną mielonką, które zamierza pochłonąć moja jedynaczka.

– Kwestia dobrych genów. Po ojcu. – Mruga do mnie. – Zaraz wychodzę, umówiłam się z Bernadetą – oznajmia jeszcze.

– Jest prawie dwudziesta druga – zauważam, a ona wzrusza ramionami.

– No i? Usiądziemy przed jej blokiem, co za różnica, która godzina?

– Zgwałcą cię kiedyś. – Kręcę głową z politowaniem, a ona parska śmiechem.

– Chyba ciebie – rzuca i wychodzi z kuchni.

Kwadrans później jestem sama w mieszkaniu, gdzie sączę drugiego drinka i co chwilę wchodzę na insta, sprawdzając, czy są jakieś reakcje na mój post. Niestety, nie licząc czterech przypadkowych polubień od jakiegoś Hindusa i młodych lasek sprawiających wrażenie botów, nikt inny nie zareagował.

Zastanawiam się, czy nie zrobić kolejnego zdjęcia, kiedy ktoś wali w drzwi. Pewna, że to córka, która mogła czegoś zapomnieć, idę do przedpokoju i otwieram je, nawet przez sekundę nie patrząc w wizjer.

Ale to nie Sylwia stoi w progu, a Mrówka, dziewczyna Młota.



– Ty kurwo pierdolona, z moim facetem się dymasz?! – wrzeszczy, kiedy stajemy twarzą w twarz. – Myślałaś, że się nie dowiem?! Zawsze wszystko z niego wyciągnę, tak już mam! Myślisz, wywłoko, że możesz się do mnie zakradać i dawać mu dupy?! – Mrówka rzuca się na mnie z pięściami.

Osiłaniam twarz, usiłując jednocześnie czmychnąć w głąb mieszkania i zamknąć się w łazience, ale ta wściekła suka łapie mnie za włosy, u ich nasady, i szarpie tak mocno, że w moich oczach pojawiają się łzy.

– Dotknij go jeszcze raz, a cię potnę, szmato! – syczy nienawistnie.

W jej oddechu wyczuwam alkohol, mocno podkreślone czarną kredką oczy sąsiadki dosłownie płoną z wściekłości.

– Zaczaję się na ciebie na klatce i potnę ci tę gębę, słyszysz?! Mamy, kurwa, jasność, czy coś ci jeszcze wytłumaczyć? – warczy i puszcza moje włosy, a ja osuwam się wzdłuż ściany i siadam na podłodze, roztrzęsiona i przestraszona niespodziewaną napaścią.

– Przepraszam – szepczę. – Nie planowałam tego, tak jakoś wyszło...

– No jasne, tak jakoś. – Mrówka szturcha mnie pod zebra gołą stopą, ale nie kopie, bardziej dotyka i nagle się uśmiecha. – Bo przystojny ten mój facet, nie? – mówi nagle. – Niejedna by się z nim pieprzyć chciała, ale nie dla psa kiełbasa. Tym razem to ci jeszcze wybaczę. Po sąsiedzku, dla zgody w budynku. Chuja mu w końcu nie ubyło, przeżyję. Ale mówię ci, idź tam jeszcze raz...

– Nie pójdę – wchodzę jej w słowo. – Nie pójdę, przysięgam.

– Auto mu ktoś zarysował. Wiesz może kto? – Jego panna nagle zmienia temat, a ja zerkam na jej białe stopy, pomarańczowy lakier na paznokciach i tatuaż – słonia na lewej kostce, zastanawiając się, czemu akurat teraz skupiam się na tego typu detalach.

– Nie wiem, skąd mam wiedzieć? – burczę w odpowiedzi na jej pytanie.

– Nie wiesz? – pyta z powątpiewaniem w głosie.

Wciąż nade mną stoi, co powoduje u mnie spory dyskomfort. Ja nadal siedzę, skulona pod ścianą i czuję się żałośnie. W pewnym

momencie chcę wstać, ale ona usadza mnie w miejscu, dosłownie wbijając gołą stopę w moje ramię.

– Skoro nie wiesz, to nie wiesz. – Uśmiecha się złośliwie, drapie się po opalonym ramieniu i rusza w stronę drzwi.

W progu się odwraca, mruży oczy i przeciąga palcem po swojej szyi, jakby chciała zaprezentować wymowny gest podcinania gardła.

– Nie zawaham się, bądź pewna. Potnę ci buźkę tak, że już cię żaden chłop nie tknie – straszy, a potem wychodzi.

Kiedy znika mi z oczu, zrywam się na równe nogi, zatraskuję frontowe drzwi i wybucham płaczem. To suka pierdolona, prawie zawału dostałam! Trzęsę się tak, że ledwo mogę utrzymać telefon, ale udaje mi się wybrać numer Anny. Przyjaciółka jednak nie odbiera, chociaż dzwonię i dzwonię, chyba z dwie minuty trzymając komórkę przy uchu.

W końcu ją odkładam i walcząc ze łzami, siadam w ciemnym salonie. Potrzebowałam jej, tak bardzo chciałam ją usłyszeć...

Kwadrans później Anna wysłała mi lakonicznego esemesa.

„Jestem na kolacji ze znajomymi, nie mogę rozmawiać” – czytam.

I tyle. Żadnego „zdzwonimy się”, „tęsknię”, „trzymaj się...”. Jest na kolacji ze znajomymi, wszystko jasne. Stara, głupia Iwona nie jest jej już potrzebna, dociera do mnie i znowu wybucham płaczem. Świat to naprawdę podłe miejsce, mówię sobie w duchu, szlochając w ciemnym pokoju. Jednym daje wszystko, a innym nic. Los nie dzieli po równo, co to, to nie. Daje takim jak Anna w nadmiarze, a takim jak ja zabiera wszystko...

\* \* \*

Dzień później, w Koniczynie, od rana chodzi za mną Wanda z całą tą swoją oberżyną na głowie i żylastymi łydkami. Pyta, czy możemy razem wypić kawę, zagaduje mnie, przymila się, wkurwia mnie niemiłosiernie!

– Słuchaj, nie lubię nachalnych ludzi, więc może przestań za mną łązić – rzucam jej prosto w twarz, a ona kuli się w ramionach, zaskoczona i zszokowana moimi słowami, po czym bąka pod nosem jakieś przeprosiny. – I zacznij zakładać spodnie, bo ta spódnica nie podkreśla twoich walorów – radzę jej, zanim zostawiam ją samą w kuchni na zapleczu.

Durna baba, myślę chwilę później i zamykam się w łazience.

Skąd jej w ogóle przyszło do głowy, że będę chciała się zaprzyjaźnić z kimś takim jak ona? Zaniedbana, zahukana, dziwna jakaś. To nie moja bajka, myślę sobie i pogardliwie się uśmiecham.

Tęsknię za Anną. Ale ona nie odbiera ani nie oddzwania...

Odzywa się dopiero cztery dni później, radosna, jak gdyby nigdy nic.

– No co u ciebie, Iwonko? – szczebiocze.

I to jej „Iwonko”... Dziwnie brzmi, sztucznie – krzywię się.

– Nic nowego – mówię, sekundę później zdając sobie sprawę, jak żałośnie brzmi to jedno krótkie zdanie.

– No widzisz, a u mnie tyle się dzieje. – Anna opowiada o nowej pracy, fajnych ludziach, chwali się, wyraźnie odżyła.

Jej głos jest pełen energii, dosłownie kipi radością życia.

– Słuchaj, nie mogę teraz za bardzo gadać – wchodzę jej w słowo, kiedy opowiada o jakimś wyjściu do włoskiej restauracji obok dużej winnicy za miastem.

Prawda jest taka, że nie umiem dłużej słuchać jej niekończących się przechwałek. Jej szczęście sprawia, że czuję się jeszcze bardziej nieszczęśliwa, dobija mnie, upokarza i pomniejsza. Rozłączam się więc, ale już sekundę później tego żałuję. Tęsknię za nią. Tak rozpaczliwie za nią tęsknię... Ale w jej nowym życiu nie ma dla mnie miejsca. Nie mogę dłużej się oszukiwać, Anna odeszła...

## ROK PÓŹNIEJ

20

ANNA

Konrad śpi. Przez chwilę przyglądam się jego twarzy, wciąż lekko zaskoczona, że znowu budzę się u boku mężczyzny, z którym jest mi dobrze. Później wstaję i bosą, na czubkach palców, żeby go nie obudzić, wymykam się z naszej sypialni.

Schodząc na dół, szerokimi marmurowymi schodami uśmiecham się na widok wpadających przez dachowe przeszklenie promieni letniego słońca – sierpień zaczął się upalnie i mam nadzieję, że ciepłe dni potrwają jeszcze przynajmniej do końca miesiąca.

Parzę kawę i uśmiecham się do własnych myśli. Jestem szczęśliwa. Związek z Konradem, rozpoczęty od zupełnego przypadku sprawił, że znowu kwitnę, czuję się kobieco i bezpiecznie.

Dwa miesiące temu razem zamieszkaliśmy – ja, on i moja Martyna. Willa pod miastem, w której żyjemy, jest jego projektu. Stworzył ją własnoręcznie, od pierwszych planów, po nadzór budowy i ostateczne wykończenie całości. Prawie dwa tysiące metrów luksusu, ogród, taras, kryty basen i oranżeria. To rezydencja, o jakiej marzył ponoć już na studiach, projekt jego życia.

Na myśl o studiach lekko się uśmiecham. Pamiętam go przecież z tamtych czasów, byliśmy na jednym roku. Nie przyjaźnił się ani ze mną, ani z Maciejem, ale zdarzało mu się jeździć z grupą naszych znajomych w Bieszczady. Piękne, dawne czasy, myślę, zerkając przez okno.

W ogrodzie kwitną fioletowe hortensje, ich nasycona, mocna barwa przyciąga mój wzrok, cieszy oczy. Konrad zaprojektował też zieleni

wokół willi, każdy metr kwadratowy tego domu jest przez niego dopieszczony, dopracowany jego ręką.

Potrzebowałam takiego mężczyzny – myślę. Zaradnego, opiekuńczego, inteligentnego i wolnego.

Nasze spotkanie po latach było tak niespodziewane, że do dziś trudno mi uwierzyć w to, jaki miałam fart. Wybierałam tamtego dnia owoce na targu w pobliżu ratusza, kiedy mnie zagadnął.

– Konrad? – Poznałam go od razu, wciąż miał wygląd przerośniętego chłopca z burzą piaskowych włosów na głowie.

I te jego zielone oczy... Mają barwę letniego morza, turkusowo-niebieską, absolutnie zniewalającą.

– Aniu, jaka niespodzianka. – Uśmiechnął się do mnie tak szeroko, jakbyśmy widzieli się całkiem niedawno, jakby nic się nie zmieniło i nie minęły te wszystkie lata...

Później zaprosił mnie na kawę i zatonęliśmy we wspomnieniach. Czułam, że jest między nami chemia, ale początkowo traktowałam go po prostu jak kolegę z dawnych studenckich lat, z którym można się pośmiać i powspominać. Zraniona przez Bartosza, nie myślałam o nowym związku, postanowiłam zrobić sobie przerwę, odpocząć od facetów. I wtedy właśnie się zakochałam... Na myśl o naszym spotkaniu ciągle się uśmiecham. Konrad wrócił do Polski po rozwodzie z Niemką, z którą był przez ostatnich kilka lat, i liząc rany, zabrał się do budowy domu. Kręciły się gdzieś tam wokół niego jakieś kobiety, ale z żadną nie związał się na dłużej. I wtedy na siebie wpadliśmy...

– Już nie śpisz? – Mój mężczyzna zjawia się w kuchni bezszelestnie, całuje mnie w kark i nalewa sobie kawy z dzbanka, w którym właśnie ją zaparzyłam.

– Już nie śpię. – Uśmiecham się do niego, a on upija kilka łyków i znowu mnie całuje, tym razem w usta.

– Każdy poranek z tobą wydaje mi się świętem – mówi. – Myśl, że tu jesteś, sprawia, że chce mi się żyć, projektować i celebrować każdą chwilę.

– Jesteś dziś bardzo pompatyczny – śmieję się, a on lekko wzrusza ramionami.

– I takiego mnie kochasz. – Mruga do mnie.

– Takiego cię kocham – przyznaję.

– Muszę dziś jechać do Bydgoszczy – zmienia temat Konrad. – Mam spotkanie z facetem, któremu marzy się modernizacja starego browaru za miastem.

– Ale wracasz na noc? – upewniam się, a on przyciąga mnie do siebie.

– Oczywiście, że wracam na noc. Wiesz, że nie znoszę hoteli – mówi i leciutko gryzie mnie w szyję. – Pachniesz tak wybornie – mruczy, a jego dłonie ugniatają moje pośladki.

– Przestań, Martyna właśnie wstała – szepczę, a on parska śmiechem.

– Jakim cudem to wiesz? – dziwi się, bo moja córka nie zeszła jeszcze na dół.

– Wiem. Słyszę szum wody, bierze prysznic.

– Faktycznie. – Konrad z niedowierzaniem kiwa głową i wyjmuje z lodówki jogurt. – Śniadanie zjem w trasie – dodaje. – Masz jakieś plany na wieczór czy będziesz oczekiwać na mój powrót? – Mruga do mnie.

– Niczym wierna Penelopa. Zapalę nawet latarenki na tarasie, żebyś znalazł drogę do domu – żartuję.

– Tylko nie intonuj syreniego śpiewu, bo jeszcze niechcący zwabisz jakiegoś sąsiada.

– Bez obaw, śpiewam raczej marnie. I nie, nie mam planów na wieczór. Po wyjściu z galerii pójdę pewnie na szybkie zakupy do tych nowych delikatesów i wrócę do domu.

– Grzeczna dziewczynka. – Konrad całuje mnie w szyję i otwiera jogurt.

Później idzie pod prysznic, ubiera się i w pośpiechu zaczyna szukać jakiejś teczki. Pachnie wodą kolońską, którą niedawno mu kupiłam, a jego włosy ciągle są lekko wilgotne.

– Wyszusze je przed wyjściem – proszę, ale on tylko wzrusza ramionami.

– Same wyschną – mówi. – Jadę. Uważajcie na siebie – żegna mnie.

– Ty też, kotku. – Uśmiecham się, mimowolnie przekręcając na palcu pierścionek zaręczynowy z osadzonym w złocie olbrzymim diamentem.

Za rok bierzemy ślub. Zresztą to już nawet nie rok, a tylko dziesięć miesięcy, w czerwcu. Mamy zarezerwowaną salę w pobliskim pałacyku, zaklepaną kapelę, a jedna z najlepszych pracowni ślubnych przygotowuje właśnie projekt mojej sukni. Ślub... Na myśl o tym, że znowu zostanę żoną, uśmiecham się do siebie. Lubię bliskość, dzielenie życia z mężczyzną, wspólne dni i noce, życie w parze. Samotność znoszę lepiej niż niektóre moje koleżanki, jednak, jeśli mogę wybierać, zawsze wybiorę związek.

– Hej! – Martyna wpada do olbrzymiej kuchni z włosami ukrytymi pod turbanem z ręcznika, w bawełnianej kwiecistej koszulce na grzbiecie. – Konrad już pojechał? Mówił, że wybiera się do Bydgoszczy.

– Pojechał.

– Nie baw się pierścionkiem, popsujesz diament – żartuje moja córka, widząc, że ciągle przekręcam go na palcu.

– A da się popsuć diament? – Uśmiecham się.

– No przecież jaja sobie robię. À propos jaj, są jeszcze? – pyta.

– Są. Chcesz jajecznicę?

– Jajko na miękko. Jedno. – Moja siedemnastolatka składa zamówienie i rozsiada się na jasnobieżowym hokerze z nogą z chromowanej na złoto stali. – Mamuś? Zrobisz mi czy mam sama? – pyta z nadzieją w głosie.

Uśmiecham się pod nosem i sięgam do lodówki. Rozpieszczam ją ostatnio w naprawdę skandaliczny sposób, ale czy nie zasłużyła na wszystko, co najlepsze po tym, co przeżyliśmy? Na wspomnienie mojej pracy w Koniczynie i tej zagrzybionej nory, którą po rozstaniu z Maciejem wynajęłam od siostry, aż się wzdrygam. Chryste! Jak mogliśmy tam wytrzymać tyle czasu? – zastanawiam się.

– Aleksander dziś do mnie wpadnie, po moim treningu. Masz coś przeciwko? – pyta nagle córka.

Czy mam coś przeciwko? Cholera, jasne, że tak! Będę w galerii, kiedy wrócą z jej wakacyjnych zajęć koszykówki. Diabli wiedzą, co się tu zacznie wyprawiać, myślę. Muszę jej jednak zaufać. Nigdy nie miałam z nią żadnych większych problemów, nie zawiodła mnie jakoś szczególnie, jest mądrą dziewczyną. Dlatego mówię, że nie widzę problemu, a ona piszczy z radości.

Jest zakochana, gołym okiem widać, że szaleje za tym chłopcem. Są w tej samej klasie, spędzają razem mnóstwo czasu i oboje chcą po maturze zdawać na archeologię. Nie jestem przekonana, czy to najlepszy kierunek, ale córka się uparła, a ja staram się zbyt nachalnie nie ingerować w jej życie. Chce spędzić długie lata w jakichś błotnistych wykopach, jej sprawa. Mnie by się nie chciało...

– Proszę. – Kilka minut później stawiam przed nią zabawny porcelanowy kieliszek na jajka zdobiony kurzymi nóżkami, a ona mruczy „dzięki” i zabiera się za dłubanie w jajku na miękko.

Ostatnio bardzo schudła, co mnie martwi. Prawie nic nie je, za to niemal ciągle się waży.

– Martyna, to tylko jajko. Nie utyjesz od niego – mówię cicho.

– No nie wiem – mruczy, zanim zabiera się do wyjadania łyżeczką żółtka.

– Zmarnieją ci włosy, jeśli będziesz się głodzić – straszę ją. – A półłysa chyba temu swojemu Aleksandrowi się nie spodoba, co?

– Włosy mam okej.

– Na razie. Ostatnio prawie nic nie jesz, musisz...

– Mamo, daj mi spokój, co?! – krzyczy histerycznie, bo nastrój zmienił jej się w pół sekundy.

Ostatnio ciągle miewa wybuchy złości.

– Dam ci spokój, jeśli zaczniesz jeść normalnie śniadania, obiady i kolacje.

– I może jeszcze frytki do tego? – syczy.



– Córciu, bądź mądra. Tylko o to cię proszę. Jesteś szczupła, czemu się głodzisz?

– Bo Olek lubi małe cycki, a mnie ciągle coś rośnie! – wyrzuca z siebie. – Czy te melony się w końcu zatrzymają?! Czytałam, że w niektórych wypadkach piersi rosną aż do dwudziestki. Mamo, ja nie chcę mieć jakichś arbuzów w staniku!

– Masz miseczkę C, normalny rozmiar. Noszę ten sam i nigdy...

– Aleksander lubi małe, rozumiesz?!

– To niech sobie znajdzie jakąś deskę, cholera! Zagłodzisz się, bo on chce dziewczynę bez cycków?! Może jest kryptogejem? – rzucam kąśliwym tonem, chociaż wiem, że to raczej niestosowna i idiotyczna uwaga.

– Nie jest gejem – obrusza się moja córka. – I nie wiem, czemu w ogóle ci o tym wspomniałam!

– Wróć na aerobik. Pogódź się z rowerem, który stoi w garażu, całkowicie zapomniany. Pograjmy czasem w badmintona, chodźmy na rolki. Chcesz schudnąć, to więcej się ruszaj, a nie głódź! Chociaż na moje oko masz idealną wagę.

– Mam za duże cycki – jęczy Martyna, a ja z politowaniem kręcę głową.

– Żebyś przez całe życie miała tylko takie problemy. – Głaszczę ją po plecach. – Kobiety wydają wielkie pieniądze, żeby powiększać biusty. Jesteś piękna, kiciu. Nie trać wiary w siebie przez jakiegoś idiotę, który ma fatalny gust – mówię, a później idę na górę, znajduję w szafie jedną z moich ulubionych sukienek z dość odważnym dekoltem i znoszę ją na parter.

– Załóż to dziś – proszę Martynę. – A później poobserwuj, jak facetom błyszczą oczy. Kobięce piersi są atutem, nie powodem do wstydu. Masz śliczną figurę i piękny, kształtny biust. Jeśli jeszcze raz usłyszysz jakieś bzdury w tym temacie, to naprawdę się wkurzę.

– Nie założę tego, chyba żartujesz? – Martyna krzywi się na widok wydekoltowanej sukienki, później biegnie na górę, gdzie wbija się

w czarny T-shirt i równie czarne szorty, pod które zakłada siatkowe pończochy.

– Gotka, rozumiem. – Uśmiecham się na jej widok, a ona przewraca oczyma.

– Nie gotka, tylko: „Chcę być niewidoczna i odpieprzcie się wszyscy” – rzuca.

– Poważnie, chcesz być niewidoczna w siatkowych pończochach? – żartuję, ale jej słowa mnie niepokoją.

Jak dobrze znam własną córkę? – zastanawiam się. Jest na ekspresowej drodze do anoreksji, podczas gdy ja tego nie dostrzegam? A może ma depresję? Myśli samobójcze? Stany lękowe diagnozowane ponoć nawet u dwudziestu procent nastolatków? To na pewno, myślę, wiedząc, jak wiele córka ma fobii i jaka niespokojna zrobiła się ostatnio. Panicznie boi się kolejnej pandemii, wojny, kryzysu żywieniowego i zmian klimatycznych. Raka, terrorystów, latania i diabli wiedzą, czego jeszcze. W jej wieku byłam taka beztroska, przypominam sobie. Nie korzystałam z internetu, nie bałam się niczego i wszystko miałam w dupie. Ona, już będąc jedenastolatką, pytała o rzeczy, o których ja w jej wieku nic nie wiedziałam. Dzisiejsze dzieciaki znacznie szybciej dorastają i więcej na siebie biorą, co musi się negatywnie odbić na ich psychice – myślę.

– Mamuś? Pożyczysz mi stówkę? – pyta Martyna, zanim wychodzi.

– Powiem więcej, dam ci ją. – Uśmiecham się do niej, a ona rzuca krótkie: „Dzięki”. – W lodówce jest sernik z malinami, może zjesz kawałek? – kuszę ją, zanim sięgam po leżącą na jednym z hokerów torebkę i wyjmuję portmonetkę.

– Nie, dzięki.

– Przecież go uwielbiasz, skus się chociaż na maleńki kawałeczek – nie ustępuję, a ona znowu wybucha.

– Robisz mi to na złość?! – wrzeszczy, po czym wyrywa mi z ręki banknot, łapie za swój plecak i wypada z domu.

– Chryste... – Krzywię się, zniesmaczona jej zachowaniem.

Gdzie się podziała moja słodka, grzeczna córeczka? – myślę, wyrzucając do śmieci prawie nietknięte jajko na miękko, z którego Martyna wydłubała jedynie odrobinę żółtka.

W drodze do pracy parkuję przy hali targowej, chcąc kupić kilka czerwonych mieczyków i ustawić je w galerii.

Samochód kupił mi Konrad w prezencie zaręczynowym. Dziwnie się czułam, przyjmując od niego tak drogi podarunek w postaci nowiutkiej terenówki, ale usilnie nalegał i w końcu się poddałam. Czemu i mnie nie miałby ktoś czasem porozpieszczać? – powiedziałam sobie wtedy.

Wybieram mieczyki, kiedy kątem oka widzę znajomą twarz – dwa stoiska dalej, przy straganie z warzywami, stoi Iwona.

Jej widok sprawia, że zalewa mnie fala najprzeróżniejszych emocji... Szczypta nostalgii, porcja wyrzutów sumienia na myśl o tym, że praktycznie z dnia na dzień zerwałam nasze kontakty, i jeszcze odrobina współczucia na widok jej przesuszonych włosów, taniej kiecki w panterkę na grzbiecie, w której prezentuje się jak przechodzona portowa dziwka, i lekko zgarbionych pleców. Wygląda biednie, myślę i chociaż podle się czuję, oceniając ją w ten sposób, niestety taka jest prawda.

Płacąc za starannie wybrane gladiole, zastanawiam się, czy do niej podejść, czy może udawać, że jej nie dostrzegłam i po prostu wrócić do samochodu.

Ale wtedy ona nagle patrzy w moją stronę i nasze spojrzenia się krzyżują.

Posyłam jej uśmiech. Nieco wymuszony, ale chyba widoczny. Później unoszę dłoń w geście pozdrowienia, a ona, z wyrazem niedowierzania na twarzy, rusza w moją stronę.

– Anna... – mówi cicho, kiedy staje obok. – Wyglądasz bosko.

– Dzięki, ty też – kłamię, w tym samym momencie zauważając jej znoszone, tanie klapki z poślaczanymi klamerkami i zdarty lakier na paznokciu lewej stopy.

– Trochę się nie widziałyśmy, co? – mówi, lekko speszona. – Nie odzywałaś się, nie odbierałaś telefonu...

– Dużo się u mnie działo – bronię się.

– Dalej pracujesz w tej galerii – stwierdza nagle Iwona. – Widuję cię czasem przez szybę.

– Zagładasz przez witrynę, ale nie wchodzisz do środka? – Jej słowa mnie mrożą, brzmią dziwnie stalkersko...

– Nie wchodzę do takich miejsc, nie stać mnie. – Wzrusza ramionami. – Nie mieszkasz już u siostry – dodaje.

– Nie, już nie.

– Masz kogoś? Nowego faceta? Chodźmy na kawę, mam teraz dwie godzinki.

– Nie mogę, jadę do pracy – tłumaczę, a ona się krzywi.

– Zawsze zajęta – rzuca.

– A ty? Nie powinnaś być w Koniczynie? – dziwię się, bo przecież drogeria o tej porze musi już być otwarta.

– Koniczynka padła, nie słyszałaś? Żbik miał jakieś wielkie długi, pozawalał sprawy z dostawcami, coś się tam źle porobiło i zamknął wszystko na głucho. Teraz prowadzi szkołę jazdy, razem z bratem, i podobno powoli wszystko spłaca dzięki sprzedaży domu i pomocy rodziny.

– Nie miałam pojęcia. Znalazłaś nową pracę? – pytam.

– No tak, a z czego bym żyła? – Iwona wzrusza ramionami. – Czyli nie masz czasu na kawę? – pyta.

W jej głosie słyszę rozgoryczenie i znowu czuję wyrzuty sumienia. W ostatnich miesiącach potraktowałam ją okropnie, dosłownie się od niej odcięłam. Zdaję sobie z tego sprawę.

– Wpadnij do mnie w ten weekend, o ile nie masz jeszcze żadnych planów – mówię nagle, pod wpływem jakiegoś impulsu, nawet tego nie przemyślałam. – Zrobię jakiś dobry deser, usiądziemy w ogrodzie, napijemy się szampana – dodaję, a ona od razu się rozpromienia.

– Byłoby super – mówi. – Tyle cię nie widziałam.

– Spotkajmy się na tym przystanku, z którego jeździłyśmy nad wodę. Podjadę po ciebie. Pasuje ci szesnasta? – pytam.

– Będę, jasne. – Iwona ciągle szeroko się uśmiecha i nagle, zupełnie dla mnie niespodziewanie, przytula mnie i zamyka w uścisku. – Nie tęskniłaś za mną nic a nic? – pyta cicho. – Bo ja za tobą bardzo.

– Tęskniłam – kłamię, bo tak naprawdę, nie licząc tych krótkich momentów, kiedy wspominałam początki naszej przyjaźni, jakoś szczególnie mi jej nie brakowało.

Ale nie powiem jej przecież tego w oczy, to już byłoby okrucieństwo, myślę.

Żegnamy się przy moim samochodzie.

– Ładna terenówka – zauważa Iwona, w jej głosie słyszę zazdrość.

Nic się nie zmieniła, dociera do mnie, co nawet w pewien sposób mnie rozbawia. Bo czego niby się po niej spodziewałam? Zawsze była zawistna, cała ona.

Już w galerii, kiedy układam krwistoczerwone gladiole w wysokim wazonie z weneckiego szkła, wyrzucam sobie, że postąpiłam zbyt pochopnie, impulsywnie. Nie powinnam jej znowu zapraszać do mojego życia, myślę. Ale jest już za późno. Jesteśmy umówione i raczej nie wypada mi tego odwołać...

## 21 IWONA

Przypadkowe spotkanie z Anną ponownie rozchwiało mnie emocjonalnie, roztrzaskało na tysiące drobnych kawałków. Teraz, kiedy pogodziłam się już z tym, że na dobre zniknęła z mojego życia, ona nagle zaprasza mnie do siebie. Posiedzimy w ogrodzie, jasne. W bloku przecież nie mieszka, myślę i chce mi się płakać. U niej zmiany zachodzą wyłącznie na lepsze, u mnie... Szkoda gadać... W kamienicy mam otwarty konflikt z Mrówką, której coraz bardziej odpierdala na sam mój widok. Ostatnio rzuciła w moją stronę szklaną butelką, miesiąc wcześniej wcisnęła mi do skrzynki na listy noszone gacie Młota z załączoną do nich karteczką: „Na wypadek, gdybyś tęskniła za moim chłopem”. On przestał się do mnie odzywać, chyba mu zabroniła. Czasem, nie patrząc mi w oczy, rzuca tylko pospiesznie „dzień dobry” i ucieka do siebie, na górę. Podejrzewam, że wiąże się to z jego kiepską sytuacją finansową. Obecnie ona złapała jakąś niezłą fuchę i przynosi do domu kasę, a on siedzi cicho, żeby jej nie wkurwiać. Ręki, która karmi, się nie podgryza, wiadomo.

Z kolei w pracy też nic ciekawego, chociaż łudziłam się, że nowy etat będzie lepszy. Załapałam się do monopolowego na skraju mojego osiedla. Niewielki sklepik, stała klientela, w tym mnóstwo meneli... Podrywają mnie zapite trolle z popękanyimi żyłkami na nosie, przeraźliwie cuchnący moczem miejscowi żule i cała ta lokalna „elita” w przepoconych koszulach... Tylko Młot nigdy tam nie zagląda, chociaż wiem, że kiedyś regularnie kupował wódkę. Obecnie przywozi alkohol z pobliskiego supermarketu, rozmijamy się.

Najgorsze jest jednak to, że nie umiem się dogadać z Ewelina, dziewczyną, z którą najczęściej mam zmiany. Jest młoda, nie ma

jeszcze dwudziestu pięciu lat, za to dorobiła się już trojga dzieci, z których każde ma innego tatusia.

Staram się być dla niej miła, ale absolutnie nie potrafimy rozmawiać. „Ładnie wyglądasz” – mówię jej na przykład, a ona pogardliwie wydyma wargi i rzuca: „Weź, nie pierdol”. Nie wiem wtedy, co odpowiedzieć. Uczono mnie, żeby mówić ludziom komplementy, staram się być miła, ale ona tylko na mnie fuka, ciągle wściekła, niewyspana albo pokłócona ze swoim obecnym chłopem.

À propos chłopów – Tośka wpadła i jest właśnie w ósmym miesiącu z tym swoim informatykiem. Grubsza niż kiedykolwiek i niewiarygodnie szczęśliwa – kiedy wpadłam na nią w delikatesach, dosłownie promieniała.

Jak one to robią? – zastanawiam się. Anna, wiadomo, jest zachwycająca. Ale Antonia? Gdyby mi ktoś kiedyś powiedział, że nawet ona poukłada sobie życie, nie uwierzyłabym...

Ja wciąż jestem sama, chociaż od czasu do czasu pieprzę się z taksówkarzem z sąsiedztwa, Arturem. Facet wynajmuje ohydne mieszkanie w suterenie, ma prawie pięćdziesiątkę i nawet nie jest w moim typie, ale kiedy dopada mnie taka chandra, że dosłownie chce mi się wyć, to zazwyczaj on podaje mi drinka, przytula czy wysila się na jakiś wyświechtany, zenująco banalny komplement. Ale nie, nie jesteśmy razem. Nic do niego nie czuję, nie potrafię się zmusić, żeby go pokochać. Artur chyba też traktuje mnie wyłącznie rozrywkowo. Z tego, co wiem, wciąż kocha swoją byłą żonę, co sprawia, że czuję się czasem wciśnięta pomiędzy nich, niczym element jakiegoś zenującego emocjonalnego trójkąta, piąte koło u wozu.

– Dzień dobry! – mówię, wchodząc do sklepu, bo lada moment otwieramy.

Ewelina już jest, rozwiązuje krzyżówkę, żując przy tym gumę, a pomiędzy jej uszmkowanymi na czerwono wargami od czasu do czasu pojawia się wielki różowy balon. Tlenione na platynę włosy z zielonymi końcówkami ma spięte w dwa wysokie, podwijane kucyki,

na jej szyi lśni gruba obroża ze sztucznych diamentów, cycki dosłownie wypływają jej z dekoltu...

Tandeciara – myślę, a ona pyta, czy zaparzyłabym kawę.

– Kamil nie dał mi spać, ząbkuje – dodaje, a ja mam wielką nadzieję, że lada moment nie zacznie się monolog o kupkach, zupkach i dziąsłach jej najmłodszej pociechy.

Ale nie, tym razem mi darowała.

Ziewa, przeciąga się i wraca do krzyżówki, co przyjmuję z ulgą.

– Nawet nie wiesz, jaka jesteś szczęśliwa, że odchowalaś już córkę. – Ewelina odzywa się ponownie dopiero, kiedy podaję jej kubek z kawą.  
– Bachory są jak wampiry, wysysają ze mnie życiową energię, a czasem nawet krew. – Krzywi się, a potem upija kilka pierwszych łyków.

– Może zainwestuj w antykoncepcję? – rzucam mało sympatycznym tonem, bo naprawę nie rozumiem, jak zdążyła już dorobić się jednej trzeciej drużyny piłkarskiej, a ona gniewnie parska.

– Próbuję, ale zawsze coś się spierdoli! Za pierwszym razem pękła nam z byłym guma, za drugim zawiodły mnie tabletki, a za trzecim chuj wie, co... Do dziś nie wiem, jakim cudem zaszłam z Kamilem... Ty nigdy nie wpadłaś? – Łypie na mnie i widzę, że temat bardzo ją interesuje.

– Wpadłam. Raz, a dobrze – przyznaję, bo w sumie z Sylwią to była wpadka zaliczona po pijaku i pod namiotem.

– I żałujesz?

– Czasem – przyznaję szczerze. – Ale kocham ją, tylko...

– Nie tłumacz się już tak, wiadomo przecież. – Ewelina wybucha śmiechem, tego dnia wyjątkowo udało się nam sklecić kilka całkiem sensownych zdań i przy okazji się nie pokłócić.

Pierwszym klientem jest tego dnia pan Mieczysław, lokalny żul, który regularnie wpada po tanie wino.

– Dzień dobry, kierowniczo – zwraca się do mnie po przekroczeniu progu, a później wbija wygłodzony wzrok w dekolt kręcącej się po sklepie Eweliny i oblizuje usta.



– To samo, co zwykle? – pytam.

– To samo, kierowniczo, a jakże. – Uśmiecha się pan Mieczysław, demonstrując ubytki w uzębieniu, i wysupłuje ze zniszczonego skórzanego portfela drobne, z których udaje mu się zebrać sumkę na flaszkę.

– Pieprzeni pijacy. Tylko wóda i wóda – kwituje Ewelina, kiedy pan Miecio wychodzi. – Ojciec Amelki tak chlał, bez opamiętania. Ja z małym dzieckiem, on na wiecznym melanzu. Pogoniłam dupka, z patologią mieszkać nie będę...

– Jesteś dziś wyjątkowo rozmowna – zauważam, a ona wzrusza ramionami i robi balon z gumy.

– Musimy sobie czasem pogadać, nie? – mówi, kiedy już guma pęka w jej ustach. – Nie lubiłam cię na początku, wkurwiałaś mnie. Ale jakoś z czasem się do ciebie przekonałam – wali prosto z mostu, a ja krzywo się uśmiecham, zdając sobie sprawę, że u mnie było podobnie.

Chcę coś odpowiedzieć, kiedy mój telefon powiadamia o przychodzącym esemesie. .

„Przyjdź z Sylwią, oczywiście! Zapraszamy Was obie!” – czytam wiadomość od Anny.

Z Sylwią? – dziwię się, bo jakoś nigdy dotąd Anna nie czuła potrzeby nawiązywania kontaktów z moją córką. Owszem, znała ją, ale raczej przelotnie. Po cholere mam zabierać Sylwię, zastanawiam się z telefonem w ręku, nie wiedząc, co odpisać. W końcu jednak dochodzę do wniosku, że okej. Skoro Anna chce, żebym zabrała młodą, nie ma problemu. Przynajmniej nie będę tego dnia musiała robić obiadu, a smarkata zje coś w gościach.

„Będziemy razem!” – odpisuję jej, a później dzwonię do córki, nakazując jej zarezerwować sobie niedzielne popołudnie.

– Poważnie, Anna zaprosiła nas do domu swojego nowego fagasa? – Córka parska śmiechem, kiedy opowiadam jej, o co chodzi.

– Co cię tak rozbawiło? – pytam.

– A ciebie to nie śmieszy? Przecież ona chce się pochwalić i ostatecznie nas upokorzyć, nie widzisz tego?! Pójdiesz na te jej

salony i będziesz się tam czuć jak uboga krewna! W tych tanich kieckach, które sobie kupiłaś na bazarze? W tych chujowych butach z chińskiego sklepu? Z czym do ludzi? Nie ogarniasz tego, że to nie nasz świat? – Sylwia szydzi ze mnie bezlitośnie, a ja czuję, że ogarnia mnie wściekłość.

– Mam kilka lepszych sukienek – bronię się, a ona parska, wciąż mocno rozbawiona.

– Jasne, chyba we śnie! A ta twoja koleżaneczka to jest niezła franca, wiesz? Podbudowuje poczucie własnej wartości twoim kosztem. Pójdziemy tam i co? Zaserwuje nam kawior? Szampana na srebrnej tacy? Tego chcesz? Oglądać jej wypasioną chatę, ogród i faceta?! To pewnie jakiś lekarz albo prawnik, przecież ona zawsze wysoko aspirowała. Z czym my do ludzi, no powiedz! – Sylwia podnosi głos, teraz ona brzmi, jakby była wściekła.

– Nie wiedziałam, że masz aż takie kompleksy – mówię cicho.

– Ja nie mam kompleksów! Ja tylko wiem, gdzie przynależę, za to ty jakoś tego nie dostrzegasz! Zejdź na ziemię i nie pozwól zrobić z siebie pośmiewiska! Zawsze marzyłaś o grubej kasie, lepszym życiu, zmianach, ale musisz zrozumieć, że ty wyżej nie zajdziesz. Anna tak, ty nie.

– Czemu? – pytam cicho, zraniona do żywego słowami córki.

– Bo nie odnalazłabyś się w rzeczywistości, w której bez problemu odnajduje się ona! Bieda się w ciebie wżarła, jak rdza wżera się w metal, nie pozbędziesz się jej już! Jesteś zniszczona życiem, poharatana przez los, zmięta. Więc, błagam, nie zmuszaj mnie do wizyty u tej pieprzonej paniusi, bo nie ma chuja, żebym się tam z tobą wybrała! – klnie moja córka, zanim się rozłącza.

Jej okrucieństwo sprawia, że czmycham na zaplecze, gdzie wybucha płaczem.

Od dawna podejrzewałam, że Sylwia nie ma o mnie zbyt dobrego mniemania, zresztą ja sama też niestety go nie posiadam, ale jej słowa były tak zjadliwe, że ciężko mi się po nich pozbierać. Kiedy ona tak zgorzkniała? – zastanawiam się, samotnie siedząc wśród skrzynek

z alkoholem. Ma siedemnaście lat, a patrzy na świat bez różowych okularów. Smutne, myślę... Później wyobrażam sobie piękny ogród Anny, jakiegoś eleganckiego mężczyznę, z którym zapewne się związała, i siebie – z naprędce zrobionym u taniego fryzjera odrostem, rękoma zniszczonymi latami ciężkiej pracy i w letnich butach za niecałą stówkę kupionych w budzie z chińską tandetą. Ale okej, bez paniki. Buty pożyczę od Ilony, siostry Artura. Nosimy trzydzieści osiem, coś dla mnie znajdzie. Kiedyś pracowała w odzieżowym, na pewno mi pomoże. Sukienka? Może ta beżowa, w pawie pióra? Kupiłam ją lata temu, ale rzadko zakładam. Albo czerwona, z falbaną przed kolanem? Zbyt krzykliwa? Żółta? Nie, ta odpada... W starej puszcze po herbacie upchnęłam osiem stówek na czarną godzinę i nagle myślę, że chyba właśnie nadeszła. Może nie czarna, ale konieczna do podjęcia przynajmniej części oszczędności. Kupię sobie elegancką sukienkę, wydam co nieco na nowe kolczyki, zrobię paznokcie – wyliczam w duchu. Zasłużyłam na coś dobrego, przecież całymi dniami haruję. A Sylwia nie musi ze mną iść, jeśli nie chce. Łaski nie robi.

Tego samego wieczoru pukam do drzwi Ilony, młodszej siostry Artura, i po krótkiej rozmowie o niczym wychodzę od niej z ładnymi sandałkami w siatce. Są na obcasie, z posrebrzаныmi paskami i motylami z cekinów z przodu. Ładne, modne, stylowe, myślę.

Nogi mam opalone, buty pasują. Teraz tylko sukienka, może kolczyki... Dam radę.

Kieckę kupuję w jednym z najdroższych butików w mieście. Normalnie w życiu bym tam nie weszła, ale tym razem coś mnie podkusiło. Jest czarno-biała, z wywijanym kołnierzem i wszytymi w szeroki pasek ozdobnymi sztucznymi kamieniami. Wyglądam w niej szczupło, dystyngowanie i świeżo. Podobam się sobie.

W niedzielę wstaję po szóstej, lekko zdenerwowana. Chciałabym, żeby była już czternasta i Anna odebrała mnie z przystanku, bo stresuje mnie wizja tych długich godzin oczekiwania na nasze spotkanie. Nagle wpadam w panikę i przez chwilę mam nawet ochotę

je odwołać, ale ostatecznie nie wysyłam wiadomości, w której informuję Annę o tym, że nie dam rady przyjść.

Ubieram się już koło południa, po długim prysznicu i starannej depilacji. Szybko jednak dociera do mnie, że lepiej założyć sukienkę przed samym wyjściem, i ostrożnie ją ściągam.

– Przebrałaś się za pokojówkę z Miami? – szydzi Sylwia, która stoi w progu pokoju i przygląda się mojej krzątaninie. – Bo tak właśnie wyglądasz. Czarno-biały uniform z ozdobnym paskiem. Tylko nie bierz się do mycia kibli, kiedy twoja przyjaciółeczka... – Córka nie kończy, bo po tym, jak odwieszam sukienkę, podchodzę do niej i uderzam ją w twarz tak mocno, że głowa odskakuje jej do tyłu.

– Zaczniij mnie szanować, bo czy ci się to podoba, czy nie, jestem twoją matką i wiele poświęciłam, żebyś latami miała co do gęby włożyć! – krzyczę, a ona łapie się za policzek.

– Uderzyłaś mnie w twarz? – mamrocze, wyraźnie zszokowana.

– Dawno powinnam była to zrobić. Jesteś dla mnie podła, słyszysz?

– Podła? Kurwa, bez przesady.

– Tak, jesteś podła! I przestań, kurwa, kłać! – wrzeszczę. – A teraz szukaj jakiejś kiecki, w której nie wyglądasz jak mała dziwka. Jedziesz ze mną do Anny! – decyduję.

– Bo? Po chuj mam tam...

– Mówię, że jedziesz ze mną! I wyrażaj się, gówniaro! – naskakuję na nią.

W sumie sama nie wiem, czemu zmuszam ją do tej wizyty. Może po prostu chcę chociaż raz postawić na swoim? Wymusić na niej posłuszeństwo?

– Dobra, jak sobie chcesz. W sumie cała ta telenowela może nawet być śmieszna. – Córka zaskakująco szybko kapituluje, dosłownie jak nie ona, a później znika u siebie, gdzie zapewne zamierza przeczesać szafę.

Faktycznie wygląda trochę jak uniform pokojówki, myślę, przyglądając się nowej sukience i czuję złość na Sylwię, która odebrała mi całą radość z zakupu.

Na przystanek, z którego ma nas odebrać Anna, idziemy pieszo. Żal mi kasy na taryfę, zresztą to tylko jakieś półtora kilometra, nie więcej. Niestety sandaalki z motylami obcierają mnie już w połowie drogi, wlokę się więc, sycząc z bólu i zagryzam zęby, żeby nie wrzeszczeć z wściekłości, bo już na wstępie wszystko idzie nie tak...

Sylwia idzie kilka kroków przede mną. Ubrała się nawet skromnie, założyła wąską, ciemnogramatową sukienkę z dekoltem w łódkę, w której wygląda młodo i świeżo. Na nogach ma beżowe baleriny, żeby – jak to ujęła, nawiązując do moich ostrych słów – nie wyglądać jak mała dziwka. Ufarbowane niedawno na jasny blond włosy spięła w wysoki kucyk. W uszach ma moje srebrne kolczyki, które pożyczyła dawno temu i nigdy nie oddała, na twarzy lekki makijaż. Wyładniała ostatnio, zdaję sobie sprawę z jej przeistoczenia z nastolatki w młodą kobietę. Wystrzeliła w górę, wysmukłała, poprawiła jej się cera, a włosy, które od półtora roku zapuszcza, sięgają jej już do połowy pleców. Jest podobna do Tomasza, myślę. Po nim dostała pełne usta, ładną linię szczęki i prosty, zgrabny nosek. Mój nos, zbyt długi i szpiczasty, zawdzięczam dziadkowi, w którego ona na szczęście się nie wdała. Moja córka wyrasta na piękną kobietę, myślę i przez chwilę czuję lekką zazdrość, później jednak wyłącznie matczyną dumę.

– Poczekaj, nie pędź tak – proszę, a ona niechętnie przystaje i czeka, aż ją dogonię.

– Ładne buty – rzuca złośliwie, świetnie wiedząc, że są pożyczone i cholernie niewygodne, a ja zwalczam chęć opadnięcia na jedną z ławek i idę dalej, starając się ignorować bolesną rankę na stopie, którą zrobił mi jeden z posrebrzanych pasków.

Anna podejżdza po nas lekko spóźniona, bo zaskoczyły ją weekendowe korki.

– Nic się nie stało – mówię, kiedy już obie siedzimy w jej ciemnowiśniowej terenówce. Ja z przodu, obok Anny, młoda z tyłu.

– Mam nadzieję, że jesteście głodne, bo zamierzam podać kurczaka w mleku kokosowym i deser.

– Ja umieram z głodu – rzuca z tylnego siedzenia moja córka i w samochodzie zapada cisza.

Na miejsce dojeżdżamy kilka minut później. Anna mieszka całkiem blisko mnie, choć już trochę pod miastem, w okolicach jeziora, nad które dawniej lubiła jeździć rowerem.

– To tutaj – mówi, a ja z rosnącym osłupieniem przyglądam się rozsuwającej się wolno metalowej bramie, za którą kilkaset metrów od wysadzanego beżową kostką brukową podjazdu wznosi się olbrzymia, przeszklona rezydencja.

Tak, rezydencja, bo to już nie jest zwykły dom czy willa. To nowocześnie zaprojektowana konstrukcja ze stali, kamienia i szkła, która dosłownie oszałamia.

– Projekt mojego Konrada – chwali się Anna, zanim zamyka samochód. – Dom jego marzeń, latami budowany w głowie. – Uśmiecha się z dumą, zanim, stukając obcasami, rusza przez podjazd w stronę kamiennej fontanny i dalej do masywnych frontowych drzwi zdobionych mosiężną kołatką.

Idę kilka kroków za nią, kuśtykając. Boli mnie obtarty palec, bołą serce i dusza. Sylwia miała rację, myślę. Nie powinnyśmy tu przyjeżdżać. Anna chciała się tylko pochwalić, zaprosiła mnie jedynie po to, żebym śliniła się z zawiści na widok bogactwa, które spadło jej z nieba. Nagle przypominam sobie dom Bartosza, który teraz wydaje mi się niewielki i skromny, i chce mi się śmiać. Wtedy myślałam, że złapała pana Boga za nogi, ale ona dopiero się rozkręcała – myślę, kiedy w ślad za gospodynią wchodzimy do olbrzymiego hallu zdobionego nowoczesnymi metalowymi rzeźbami rycerzy, którzy bardziej przypominają roboty.

– Wow, ale wypas. – Sylwia nie kryje zachwytu otaczającym nas wnętrzem, wygląda jak dziecko wpatrzone w udekorowaną świątecznie witrynę domu towarowego w centrum.

Zamknij buzię, bo ci mucha wleci, myślę, wściekła na córkę za tę jej jawną, ostentacyjną adorację tego miejsca. A przecież to ona wcześniej

krzyczała, że nie zamierza się wybierać z wizytą do pieprzonych snobów...

– Tędy. – Anna prowadzi nas do przeszklonego pomieszczenia, w którym mieści się oranżeria, i usadza za gustownie nakrytym stołem, na którym stoją wazoniki z kwiatami, kryształowe kieliszki i porcelanowa zastawa z połączanymi brzegami. – Obiad zjemy tu, deser podam w ogrodzie – oznajmia. – Konrad zaraz przyjdzie, musicie mu wybaczyć spóźnienie. Akurat kończy ważny projekt, który chce posłać na konkurs do Brukseli, mniejsza z tym – papie moja przyjaciółka, kiedy siadamy przy stole.

Kurczak smakuje wyśmienicie. Sylwia je z takim apetytem, jakbym głodziła ją przez miesiąc, ale mnie, mimo jego niewątpliwych smakowych walorów, danie dosłownie staje w gardle. Więc tak obecnie żyje Anna, myślę, przyglądając się olbrzymim betonowym donicom z cytrynowymi drzewkami, eleganckim krzesłom z pikowanymi obiciami i całemu temu blichtrowi, który nas otacza. Najbardziej jednak zachwyca mnie żyrandol – nad stołem wisi zrobione z setek połyskujących kryształków cudo, od którego nie potrafię oderwać oczu. Nic dziwnego, że Anna kompletnie mnie olała. Pasuję tu jak wół do karocy...

– Mów, co u ciebie – prosi mnie tymczasem ona, kiedy już kończymy jeść.

Na widok jej zaręczynowego pierścionka z olbrzymim diamentem czuję palącą zazdrość, tymczasem jej szczupłe palce zaciskają się na mojej dłoni, Anna przysuwa się bliżej i posyła mi szeroki uśmiech.

– Nic się nie zmieniłaś – mówi.

– To komplement? – pytam średnio sympatycznym tonem, a na jej twarzy gaśnie uśmiech.

– A nie? – odpowiada pytaniem.

Chcę coś powiedzieć, ale w oranżerii zjawia się wysoki, ubrany w jasny lniany garnitur blondyn, który momentalnie skupia na sobie uwagę wszystkich obecnych.

– Witam piękne panie – rzuca, wita się ze mną i z Sylwią, całuje Annę w czubek głowy i zabiera się do przygotowywania drinków.

Znam go, dociera do mnie i nie kryję uśmiechu. Widziałam go w Latino, któregoś razu, kiedy wybrałam się tam w towarzystwie kuzynki, bez Anny. Bawił się w grupie kilku koleś w swoim wieku, wyglądających na nadzianych i aroganckich biznesmanów i mniej więcej w połowie wieczoru przygruchał sobie jakąś małą, na oko dwudziestkę, którą dość bezceremonialnie obcałowywał na środku parkietu.

Nie mam cienia wątpliwości, to na bank jest on. Ten sam wzrost, głos, niewielki tatuaż – jaskółka na szyi i burza włosów w kolorze piaskowego blond. Facet z klubu wyglądał mi na stuprocentowego kurwiarza, a tutaj bawi się w ułożonego pana domu? Zakochał się w Annie do tego stopnia, że zapomniał o wszystkich innych laskach, czy może w niej chce mieć uroczą żonkę w swoim wieku, a dymać na boku? – zastanawiam się, podczas gdy on podaje mi drinka, a później obsługuje Annę.

– Możesz już pić, słoneczko? – pyta w końcu moją córkę, a mnie nie umyka fakt, że przez dłuższą chwilę pożądliwie zerka na jej piersi.

– Nie mogę, ale lubię – odpowiada mu Sylwia, a on parska śmiechem.

– Charakterna – mówi i podaje jej kieliszek, do którego nalał odrobinę wermutu z tonikiem. – To ci nie zaszkodzi. – Puszczą do niej oko, a policzki mojej córki oblewają się czerwienią.

Lowelas w lnianym garniturku zrobił na niej wrażenie, co w sumie mnie nie dziwi. Dziewczynie w jej wieku mężczyzna taki jak on musi się jawić niczym księżę z bajki. Przystojny, szarmancki, nadziany. Mimo całego swojego cynizmu i zgorzknienia, które uwielbia uzewnętrzniać, moja Sylwia ma dopiero siedemnaście lat i nie wie jeszcze, że czasem takie bajki szybko zamieniają się w mroczne baśnie...

Cóż, Anna też jeszcze o tym nie wie, ale najprawdopodobniej przeżyje przy nim niejedno, myślę i czuję się nieco pocieszona. Koleś



może i ma kasę, ale za to z pewnością nie jest święty. Po tym, co tamtego wieczoru widziałam w klubie Latino, wiem, że temu ogierowi z całą pewnością nie wystarczy jedna kobieta... Zwłaszcza taka w jej wieku. A Annie, podobnie jak mnie, niebawem stuknie czterdziestka. Prawdziwa miłość? A może czysta kalkulacja? Reprezentacyjna żonka w podobnym wieku, z którą się kiedyś, jak zdążyła wspomnieć, studiowało, a teraz zabiera się ją na oficjalne służbowe kolacje, to jedno, a młode i jędrne kurewki na boku to drugie, myślę.

– Bywasz czasem w klubie Latino? – pytam go, kiedy Anna na chwilę nas zostawia i idzie do toalety.

– Zdarzało się. – Konrad otwarcie przyznaje, że lokal nie jest mu obcy. – Wpadliśmy tam kiedyś na siebie? Przepraszam, ale nie kojarzę cię...

– Nie, nie wpadliśmy na siebie. Widziałam cię kiedyś przy barze, mam świetną pamięć do twarzy – kłamię, nie dodając, że byłam świadkiem, jak ostro pił, macał panienki i publicznie wsuwał jednej z nich język dosłownie do gardła.

– Zakładam w takim razie, że ja ciebie nie widziałem. W przeciwnym razie na pewno bym zapamiętał – kadzi mi, ale w jego głosie wyczuwam fałsz.

Chciał mi zrobić przyjemność, ale przecież wiem, że nie jestem w jego typie. Za to moja córka... Przygląda się jej, odkąd ją zobaczył, nieustannie śledzi ją wzrokiem. Stara się to robić dyskretnie, ale nie umyka to mojej uwadze. Sylwia wpadła mu w oko, zdaję sobie sprawę i przez dłuższą chwilę zastanawiam się, jak mogłabym to wykorzystać...

**22**  
**ANNA**

Powiedzieć, że spotkanie z Iwoną było katastrofą, to i tak powiedzieć za mało, myślę wieczorem, kiedy po moich gościach pozostał jedynie unoszący się w oranżerii zapasek tanich kwiatowych perfum i plama po winie na ręcznie tkanym dywanie z białej wełny, którą tuż przed wyjściem zrobiła moja dawna koleżanka.

– Miłe kobiety, zwłaszcza ta mała – odzywa się nagle Konrad, kiedy zbieram ze stołu kieliszki.

Nie odpowiadam, bo co miałabym powiedzieć? Miłe kobiety w jego ustach to raczej nie jest komplement. Iwona, z którą ciężko mu było porozmawiać na jakikolwiek inny temat niż alkohol i pogoda, przez całe popołudnie siedziała spięta, jakby źle się u nas czuła, a Sylwia... Cóż... Ta mała kokietka zrobiła z kolei piorunujące wrażenie na moim narzeczonym, co mocno mnie niepokoi. Jasna rzecz, prawie każdy facet lubi ładniutkie małolaty. Kryzys wieku średniego, klasyka. Jednak intensywność, z jaką Konrad się w nią wpatrywał, kilka razy podniosła mi ciśnienie.

– Pójdę popływać – dodaje. – Chcesz popatrzeć? – Uśmiecha się, bo wie, że uwielbiam siadać pod przeszklonym dachem naszego krytego basenu i przyglądać się jego ładnie umięśnionej sylwetce i rytmicznie rozgarniającym wodę ramionom, podczas gdy on przepływa kilkanaście długości urządzonej z rozmachem domowej pływalni.

– Dzięki, dziś sobie daruję – mruczę.

– Coś cię ugryzło? Jesteś oschła – zauważa, a ja parskam śmiechem.

– Oschła?! Może gdybyś przez cały wieczór nie podrywał tej gówniary, byłabym teraz cieplejsza?! – rzucam mu prosto między oczy, a on wybucha głośnym śmiechem.

– Jesteś zazdrosna? Pierwszy raz cię taką widzę – mówi, po czym podchodzi, całuje mnie w usta i wbija palce w moje pośladki, przyciągając mnie do siebie. – Kocham cię, pragnę i zamierzam się z tobą ożenić. A ta smarkuła po prostu była przelotnym zauroczeniem. Ładniutka jest, trzeba jej przyznać. W ogóle niepodobna do matki.

– Zauroczeniem? Szybko się zauroczyłeś – syczę, a on kręci głową i rusza w stronę przejścia łączącego oranżerię z resztą domu.

– Nie służy ci zazdrość, robisz się jędzowata, czego nie znoszę – dorzuca jeszcze, zanim znika mi z oczu.

Przekręcam na palcu zaręczynowy pierścionek i przygryzam wargę, usiłując powstrzymać łzy. Jędzowata? Naprawdę to powiedział?

– Dupek – rzucam przez zęby i w złości ciskam kieliszkiem o jedną z betonowych donic.

Kilka minut później, z drinkiem w dłoni idę na basen i siadam na wygodnej leżance nad jego krawędzią, przyglądając się pływającemu Konradowi. Mój narzeczony jest nagi, zawsze tak pływa. Twierdzi, że od jakiegoś czasu brakuje mu naturalności, kontaktu ze swoim ciałem. Jest opalony, przystojny, cholernie męski i mój, ale nagle czuję cień wątpliwości. Co, jeśli w ogóle go nie znam? Jeśli wcale mnie nie kocha tak, jak twierdzi? Jeśli będę dla niego wyłącznie trofeum, piękną żoną, którą pokazuje się światu, a później ukradkiem leci się do młodej kochanki? Czy jest tego typu mężczyzną, czy daję się ponieść wyobraźni i wpadam w histerię?

Wieczorem się kochamy. Nasze łóżko jest olbrzymie, robione na zamówienie. Drewniany zagłówek zdobią płaskorzeźby, purpurowo-złoty baldachim nad nami ma w sobie coś z królewskich komnat, ale nawet leżąc pod nim kompletnie naga i kochając się z moim mężczyzną, nie umiem się pozbyć niepokoju. Wizyta Iwony i jej córki rozstroiła mnie emocjonalnie, odebrała mi poczucie bezpieczeństwa. Ta przeklęta gówniara! Że też sama ją tu zaprosiłam, wyrzucam sobie, podczas gdy Konrad dochodzi i zsuwa się ze mnie, a dosłownie chwilę później zasypia.

Rano odzywa się do mnie Iwona.

„Dzięki raz jeszcze za wczoraj” – czytam wiadomość od niej.

„Cała przyjemność po mojej stronie” – odpisuję, chociaż jej wizyta daleka była od przyjemnej.

„Wyskoczmy kiedyś do Texaco?” – pyta kilka minut później, a ja się krzywię.

Texaco? Po jasną cholere miałabym się z nią włóczyć po takich lokalach? Teraz mam swoje życie na przedmieściach, idealny dom, narzeczonego i pracę, którą lubię. Po co miałabym łązić do Texaco?

„Może kiedyś” – odpisuję jej jednak z nadzieją, że wyczuje mój dystans, ale koleżanka jak zwykle go nie dostrzega...

„Super!” – cieszy się, a do wiadomości dodaje trzy migoczące serduszka.

– Chryste. – Krzywię się i odkładam telefon na komodę.

Po jasną cholere zapraszałam ją z powrotem do mojego życia? – wyrzucam sobie, ubierając się do pracy. Zapomniałam już, jaka bywała namolna, toksyczna i zawistna? Nagle dociera do mnie prawda. Chciałam się pochwalić, zaimponować jej, pokazać swoje szczęście. Zrobiłam to, żeby poczuć się lepsza, wmówić sobie, że moje życie, w przeciwieństwie do jej codzienności, jest idealne.

Czy takie jest naprawdę? – zastanawiam się, ukradkiem patrząc na jedzącego tosty narzeczonego, który czyta gazetę, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi.

– Co dobrego w świecie? – pytam go więc, a on lekko wzrusza ramionami, nie odrywając wzroku od lektury.

Kiedy przestał mnie dostrzegać? – zastanawiam się. Jeszcze kilka dni temu wydawało mi się, że Konrad jest we mnie ślepo zakochany, ale wizyta tej smarkuli Sylwii otworzyła mi oczy. A może przesadzam?

– Jedźmy gdzieś na weekend – proszę go i w końcu odkłada gazetę.

– Na przykład?

– Nie wiem, nad morze? Sopot?

– Bliżej mamy do Kołobrzegu.

– Więc jedźmy do Kołobrzegu.

– Nie mogę, wiesz, że kończę projekt.

– Zabierz laptop. Trochę popracujesz, trochę pospacerujesz – kuszę, ale on nie chce słyszeć o weekendowym wyjeździe.

– Muszę się skupić – mruczy, dojada ostatni kawałek tostu i w pośpiechu rusza w stronę łazienki. – Jadę do Warszawy, będę jutro – oznajmia mi jeszcze, zanim wychodzi z kuchni.

Martyna już wyszła. Wybiegła w pośpiechu, bo podobno wybiera się z przyjaciółmi nad jezioro. Nagle czuję się samotna.

– Jadę! – krzyczy Konrad z głębi domu.

Po chwili trzaskają drzwi łączące rezydencję z dużym, przeznaczonym dla trzech aut garażem i zostaję sama.

W pracy boli mnie głowa, później przychodzi wieczór i samotnie jem kolację. Dopijam kakao i dzwonię do Konrada, ale nie odbiera. Pewnie jest na służbowej kolacji, mówię sobie w duchu, ale niepokój powraca...

W środę wczesnym popołudniem Kinga wyciąga mnie nad wodę. W galerii pękła rura, więc po pośpiesznie zorganizowanej ewakuacji niektórych zagrożonych zalaniem obrazów i rzeźb Bogdan dał mi wolny dzień. Nad rzeką jest cicho i spokojnie, słońce praży, lato wydaje się takie cudownie sielankowe. Siedzimy na niewielkiej łasze piachu, gdzie dawniej jeździłam z Iwoną, i nagle moja przyjaciółka wyznaje mi, że planuje wyjechać z Polski.

– Ian zaprosił mnie do siebie, do Irlandii – wyznaje. – I tak sobie pomyślałam, cholera, czemu nie? Mam wolny zawód, nic mnie w tym kraju nie trzyma... Jadę!

– Tak po prostu? Jak długo wy się znacie?

– Pięć miesięcy.

– Niewiele.

– A ty jak długo znałaś Konrada, zanim się do niego wprowadziłaś?

– To przecież zupełnie inna sytuacja, Kinga! Znamy się od studiów, chodziliśmy na te same zajęcia, a ja...

– Wtedy byliście zupełnie innymi ludźmi, więc to się nie liczy. Ian ma stadninę, duży dom na wsi i szuka kogoś na stałe. Na co mam czekać? Aż jakaś inna laska położy na nim łapy? Pakuję bety

i przenoszę się pod Galway. Życie jest jedno. Ale za tobą będę tęsknić.

– Kinga mnie obejmuje, a ja czuję, że chce mi się płakać.

– Zostawiasz mnie – mówię cicho, a ona się śmieje.

– Będę dzwonić, przysięgam! I obowiązkowo przylecę na wasz ślub – obiecuje. – Właśnie, tak à propos, jak przygotowania do ceremonii stulecia?

– Powoli wszystko ogarniam.

– Ale? Anka, nie wyczuwam w twoim głosie entuzjazmu.

– Nie wiem, ostatnio coś się psuje. Boję się, że w zasadzie go nie znam. Może masz rację, może to się dzieje za szybko?

– Daj spokój, panikujesz. Każda panna młoda przez to przechodzi, nie przejmuj się. Konrad to świetny facet, a przy tym genialna partia! Architekt z domem jak marzenie, a ty masz wątpliwości? Puknij się w łeb, kobieto! Kochasz go?

– Szaleję za nim. – Uśmiecham się. – Właśnie na tym polega problem. Kocham go tak bardzo, że aż mnie to przeraża.

– Więc ciesz się życiem! Kochaj, żyj, pieprz się ze swoim księciem z bajki! Nie ma co się zadręczać, od tego tylko zmarszczek można dostać. A w temacie tych ostatnich, zastanawiam się nad botoksem. Robiłaś kiedyś?

– Nie.

– Nie kusi cię?

– Nie czuję takiej potrzeby. – Wzruszam ramionami.

– No tak, ty jesteś piękna – rzuca Kinga z lekką zawiścią w głosie i robi mi się przykro.

Tak, jestem piękna. Mam urodę aktorki filmowej, świetne ciało i fantastyczne włosy. Cieszę się nimi i zdaję sobie sprawę z tego, że jestem szczęściarą, ale zawiść, jaką to czasem budzi wśród ludzi, których uważam za znajomych i przyjaciół, nigdy nie przestaje mnie boleć. To nie moja wina, że dostałam od losu tak wiele, podczas gdy inni niemal nic. Nie ja wybierałam sobie twarz i nie ja ustawiam pionki na szachownicy zwanej życiem! Tymczasem nawet Kinga, którą uważam za najbliższą przyjaciółkę, zazdrości mi urody...

– Każdy się starzeje, nawet ja – mówię, a ona parska śmiechem.  
– Ty? Wyglądasz na trzydzieści lat i każdy facet ogląda się za tobą na ulicy.

– A nawet jeśli? – pytam ostro, poirytowana.

– Ja tylko stwierdzam fakt. – Kinga posyła mi niewinny uśmiech, przymyka oczy i wystawia twarz do słońca.

– Kiedy wyjeżdżasz? – pytam po chwili milczenia.

– Nie wiem, pewnie w przyszłym miesiącu. Muszę pozamykać kilka spraw w Polsce, spakować się, oswoić z myślą, że się stąd wynoszę. Ian pragnie, żebym przyleciała wcześniej, ale nie chciałabym też sprawiać wrażenia jakiejś napalonej na wspólne życie desperatki.

– Na to już chyba za późno? – wbijam jej szpilę, bo przecież od jakiegoś czasu potrafi gadać tylko o tym swoim Irlandczyku i świata poza nim nie widzi.

– Wow, kaśliwa dziś jesteś – zwraca mi uwagę przyjaciółka, a ja krzywo się uśmiecham.

– Nie tylko ja, chciałam zauważyć – mówię, a ona otwiera oczy i posyła mi pytające spojrzenie. – Nieważne, zapomnij – dodaję, bo przecież nie chcę się kłócić i trochę mi głupio, że tak jej dokuczyłam.

W drodze do miasteczka jedziemy na pizzę. Żadna z nas nie jadła obiadu, więc zamawiamy dużą farmerską. Na pół, żeby się nie utuczyć. Kinga nigdy obsesyjnie nie dbała o linię, ale odkąd jest z tym swoim Irlandczykiem, nagle zaczęła, a ja... Cóż... Moja talia nie jest już tak wąska, jak kiedyś, a brzusek lekko mi się zaokrąglił. Nadal uchodzę za szczupłą, ale zaczynam dostrzegać, że nawet mnie, zwłaszcza w moim wieku, pewne żywieniowe grzeszki przestały uchodzić na sucho...

Żegnamy się przed domem Konrada. Kinga odwozi mnie pod samą bramę.

– Ty to wiesz, jak się w życiu ustawić, kobieto – śmieje się, zerkając na rezydencję, i całuje mnie w policzek.

Idąc przez podjazd, myślę o Iwonie. Nie wiem, jak odebrała nasze ostatnie spotkanie, ale nagle zasmuca mnie myśl, że czuła się u nas

źle. Okej, bywam próżna i chciałam się jej pochwalić moim idealnym życiem u boku Konrada, ale nie zamierzałam zrobić jej przykrości. Narcystyczna? Tak. Wredna? Nie.

Wybieram więc jej numer, chcąc zapytać, co słyszać, i osobiście podziękować za spotkanie. Odbiera niemal od razu. Pewnie, swoim zwyczajem, trzymała komórkę w dłoni.

– Cześć – mówię. – Chciałam tylko zapytać, co u ciebie słyszać?

– Po staremu – odzywa się. – A u ciebie?

– Od niedzieli nic się nie zmieniło.

– Czyli sielanka – słyszę jej głos.

Mówi cicho, chyba jest smutna.

– Coś się stało? – pytam, a ona zaczyna płakać.

– Artur mnie popchnął, rozbiłam sobie łokieć – wyznaje w końcu łamiącym się głosem, a ja zdaję sobie sprawę, że nie mam pojęcia, kim jest Artur. – Taksówkarz, z którym od czasu do czasu się bzykam – wyjaśnia Iwona, bo też chyba zrozumiała, że nie wiem, o kim mówi.

– Nie wspominałaś mi o nim – wypominam jej, a ona gniewnie parska.

– Bo nie ma o kim! To dupek bez klasy i kasy, w dodatku ciągle zakochany w byłej żonie.

– Więc po co z nim sypiasz? – dziwię się.

– Bo nie ma w moim życiu nikogo innego. Nawet Młot już się do mnie nie odzywa, córka przechodzi przez jakiś piekielny etap bycia nastolatką, a ja... Jestem samotna – przyznaje Iwona.

Podziwiam jej odwagę, która mieści się w tym jednym krótkim zdaniu. W dzisiejszych czasach mało kto potrafi się otwarcie przyznać do samotności, wszyscy przecież tak świetnie udajemy, że jesteśmy szczęśliwi...

– Ja też czasem bywam – mówię.

– Ty? Nie żartuj! Masz idealną córkę, idealne życie i idealnego narzeczonego. Sielanka jak z pieprzonej telenoweli!

– Nie wszystko jest takie różowe, jakie mogłoby się wydawać – mówię, ale Iwona nie brzmi na przekonaną.



– Jasne – rzuca tylko, po czym dodaje, że musi kończyć. – Klient właśnie wszedł, pa – szepcze i rozłącza się bez pożegnania.

„Miło było Cię usłyszeć” – piszę i wysyłam wiadomość.

Iwona nie odpisuje i nagle dociera do mnie, że coś się w niej zmieniło. Kiedyś mnie uwielbiała, podziwiała i ciągle szukała mojego towarzystwa, ale ostatnio... Mam wrażenie, że otwarcie okazuje mi niechęć. Jeszcze nie wrogość, ale już coś na pograniczu. A może tylko to sobie wmawiam? Co się ze mną dzieje? – zastanawiam się, otwierając frontowe drzwi. Powinnam przecież być bezgranicznie szczęśliwa, ale czy jestem? Czasem wydaje mi się, że presja bycia idealnym elementem mojej perfekcyjnej codzienności bywa zbyt wielka. To, co mnie otacza, zaczyna mnie przytłaczać. Zасыpanie u boku księcia z bajki, obcowanie z takim pieprzonym ideałem jak Konrad czasem może dobijać. Boję się, że któregoś dnia on dostrzeże we mnie jakieś pęknięcia, nieidealne rysy, których nie będę umiała zamaskować, i coś się w nim zmieni. Boję się tylu różnych rzeczy, ale nikt mnie nie słucha. Wszyscy widzą wyłącznie moje piękno, nie wierzą, kiedy mówię, że i mnie bywa smutno. Ludzie dostrzegają jedynie fasadę, nie zwracając uwagi na wnętrze. Zawsze tak było, jest i będzie, mówię sobie, podchodząc do barku. Później ponownie wybieram numer narzeczonego, ale Konrad znowu nie odbiera. Mam ochotę na niego nawrzeszczeć. Nagrać się na jego pocztę i wulgarnie go zbluzgać. Boję się, że wcale nie jest w Warszawie, że mnie okłamał... Myślę o młodych kobietach, które tak chętnie pokazują się w jego towarzystwie, o jego czarnym porsche będącym lepem na dupy i o tym jego magnetyzmie, którym mnie do siebie przyciągnął. A później myślę o Sylwii, przypominam sobie, jak pożerał wzrokiem wyłaniające się z dekoltu pagórki jej opalonych piersi, napawał się jej obecnością, podziwiał dziewczęcą świeżość i czuję wzbierające pod powiekami łzy. Mój czas już minął. W lustrze wciąż jeszcze widzę piękną kobietę, ale pesel nie kłamie. Niedługo skończę czterdzieści lat, czasu nie zatrzymam. Nawet jeśli dziś Konrad twierdzi, że mnie

kocha, co będzie jutro? Czy będę umiała utrzymać przy sobie mężczyznę, którego pragnę nawet dwudziestolatki?

Pijąc drinka, podchodzę do lustra i przez dłuższą chwilę studiuję moją twarz. Jeszcze jestem idealna, mówię sobie na pociechę. Jeszcze...

**23**  
**IWONA**

Od wizyty u Anny czuję się fatalnie. Moje życie jeszcze nigdy nie wydawało mi się tak przegrane jak teraz, kiedy dowiedziałam się, jak rewelacyjnie można się ustawić przy boku nadzianego faceta... Jeśli ma się urodę, oczywiście... Ta rezydencja... Na wspomnienie hollywoodzkiego przepychu, bajecznych kryształowych żyrandoli i krytej pływalni – pomieszczenia z przeszkloną ścianą, w którym znajdował się barek, komplet wypoczynkowy, a nawet kamienne palenisko, czuję piekącą zawiść. Choćbym pracowała milion lat, nigdy nie będę sobie mogła pozwolić nawet na zwykły dom, a co dopiero taki pałac. Za to Anna po prostu tam zamieszkała, a ten dopracowany w najdrobniejszym szczególe budynek wydaje się dosłownie stworzony dla niej. Zjawiskowe piękno mojej dawnej przyjaciółki idealnie wkomponowało się w eleganckie wnętrza, dodaje im blasku. Ja wyglądałabym tam jak marnie opłacana, zniszczona życiem pomoc domowa, myślę i z trudem powstrzymuję łzy. Tośka miała rację – kiedy przypominam sobie, co powiedziała mi po odejściu Anny z Koniczynki, zdaję sobie sprawę, że słusznie ją oceniła. Ja miałam klapki na oczach, ale ludzie przekonali się, kim naprawdę jest Anna – fałszywą, zarozumiałą, snobistyczną suką! Nigdy nie była tą miłą, skromną kobietą, którą chciałam w niej widzieć. Nigdy tak naprawdę nie była moją przyjaciółką... Nawet moja siedemnastoletnia córka się na niej poznała. Wszyscy, tylko nie ja, wyrzucam sobie.

Dawniej ją podziwiałam, chciałam być taka jak ona, ale to minęło. Teraz czuję tylko niechęć zmieszaną z zawiścią. Nie pragnę już się z nią spotykać, chociaż jeszcze kilka dni temu sama zaproponowałam jej piwo. Nie chcę jej widzieć, nie chcę o niej słyszeć, marzę tylko

o tym, żeby raz na zawsze się od niej uwolnić, zapomnieć. Chcę żyć własnym życiem, nie cierpiąc piekła porównań do jej osoby, odciąć się od jej idealnej codzienności, zająć się sobą.

Ale najbardziej jestem wściekła na siebie za to, że opowiedziałam Annie o Arturze. O tym, że mnie popchnął, że mam z nim problemy i że sypiam się z facetem, który nadal jest zakochany w byłej żonie. Co za brak szacunku do siebie, totalna żenada... Czemu to sobie robię? – zastanawiam się, skubiąc skórkę przy kciuku.

W drodze do pracy kupuję kupon Lotto. Może i dla mnie los szykuje coś dobrego, jeśli tylko dam mu szansę? – myślę.

Niestety, wieczorem okazuje się, że jak zawsze pudło...

– Wywalone pieniądze – mruczę, drąc kupon na kawałki i upychając go do kosza na śmieci.

Sylwia wpada do mieszkania koło dwudziestej trzeciej, szeroko uśmiechnięta.

– Wiesz, jakie jaja? – wita mnie już w progu, zanim schyla się, żeby rozpiąć sandaalki.

– Nie wiem, ale pewnie zaraz się dowiem.

– Zgadnij, kto mnie podwiózł.

– Kto? Ojciec? – Pierwszą osobą, która przychodzi mi na myśl, jest Tomasz, mój były mąż.

– Nie. Zgaduj dalej. Padniesz, jak się dowiesz!

– Nie wiem, Sylwia! Nie możesz po prostu powiedzieć?! – wkurzam się na córkę, która trzyma mnie w niepewności.

– Konrad! – oznajmia triumfalnym tonem.

– Jaki Konrad? – pytam, w pierwszej chwili nie mając pojęcia, o kim ona mówi.

Dopiero kilka sekund później dociera do mnie, o kim mowa.

– Facet Anny? – Z zaskoczenia aż uchylam usta.

– Tak! A jakim wozem! Sportowa fura, jak z amerykańskich filmów, chyba porsche! Kiedy wysiadałam, przed kamienicą stały akurat Olka Sosnowska z Goską Biedrzycką i obu opadły szczęki na mój widok. A ta stara siwa baba z samej góry też mnie chyba widziała, bo akurat

była na balkonie. Wyobrażasz sobie?! Taki facet i taka fura! – Sylwia mówi szybko, rozpromieniona.

Na policzkach ma rumieńce, oczy jej błyszczą.

– Jakim cudem on cię odwiózł? – pytam.

– Zgarnął mnie z przystanku. Uciekł mi autobus i akurat lunęło. Kuliłam się pod wiatą, pieprzony deszcz zacinał, a ja sterczałam na Zawilej. I patrz, jaki fart, że on akurat tamtędy przejeżdżał! Zatrzymał się, zaproponował mi podwiezienie, to wsiadłam.

– Dałaś mu swój numer? – pytam, zaniepokojona.

Taki facet jak Konrad w pakiecie z moją siedemnastoletnią córką to gotowy przepis na problemy...

– Mój numer? – Sylwia wygląda na kompletnie zaskoczoną. – Nie, nie poprosił. A powinnam mu go dać?

– Nie, oczywiście, że nie – mówię. – Uważaj na niego – przestrzegam ją. – Bogaci faceci w jego wieku to drapieżcy. Uwielbiają młodziutkie dziewczyny i robią wszystko, żeby je uwieść.

– Uwieść? Chciałabym – Sylwia parska śmiechem i podchodzi do lodówki. – Duszę bym diabłu oddała za takiego kolesia! Przystojny, pewny siebie, bogaty. Pokazałby mi świat, zamieniłby moje życie w bajkę – wzdycha moja jedynaczka i nagle smutnieje. – Nigdy nie będę miała takiego mężczyzny – mówi cicho. – Trzeba mieć wyjątkowe szczęście, żeby trafić na skarb.

– Nigdy nie mów „nigdy”. – Gładzę ją po plecach, a ona siada za stołem i zabiera się za rozsmarowywanie truskawkowego dżemu na skrojonej zbyt grubo chałce.

– Jasne, lepiej wierzyć w bajki – mruczy, a potem zabiera się za jedzenie.

– O czym rozmawialiście? – pytam nagle, wciąż zaskoczona przebiegiem jej wieczoru. – I jakim cudem on w ogóle cię poznał? Jest ciemno, leje...

– Nie wiem, może ma dobry wzrok? – mówi moja córka z pełnymi ustami.

A może lubi gapić się na maślaki, nawet kiedy jest za kierownicą – myślę.

– Pytałam, o czym rozmawialiście?

– Jeju, a to przesłuchanie jest?! – Sylwia szybko traci cierpliwość, jak zawsze.

– Po prostu pytam.

– Nie wiem, o wszystkim. Opowiadał mi, jak nurkował na Malediwach, i o tym, że właśnie projektuje budynek w centrum Hamburga, wygrał jakiś przetarg czy coś.

– Malediwy, oczywiście. Tacy jak on zawsze w rajach. A my dwie możemy sobie latem co najwyżej moczyć stopy w miednicy.

– Bieda jest wredną dziwką, wiadomo. O! I jeszcze się chwalił, że zamierza kupić apartament na Majorce. W prezencie dla Anny, na jej czterdzieste urodziny.

– Ile ten człowiek ma kasy? – mrużę pod nosem, a Sylwia posyła mi złośliwy uśmiešek.

– Masz ból dupy, co? Mówiłam ci, żebyś tam nie szła. Teraz do końca życia będziesz myśleć o tej pindzie Annie, która sika do złotych muszli i pija najdroższego szampana do śniadania.

– Oczywiście, że mam ból dupy! Anna dostała to wszystko tylko dlatego, że jest piękna, nie rozumiesz?! Uważasz, że to sprawiedliwe?!

– wybucham, bo sama rozmowa o byłej przyjaciółce doprowadza mnie do szału.

– A kto mówi, że życie jest sprawiedliwe? – Sylwia wygląda na rozbawioną moją przesadnie emocjonalną reakcją. – Pogódź się z kartami, jakie dostałaś od losu, w przeciwnym wypadku nigdy nie będziesz szczęśliwa, mamie – radzi mi, zwracając się do mnie „mamie”, czego od dawna nie robiła.

– Łatwo ci mówić! Ty też jesteś niebrzydka, źle ci w życiu nie będzie – wrywa mi się, a ona parska śmiechem.

– Wow! Tylko nie mów, że jesteś z tych matek, które zazdroszczą urody własnym córkom, bo to byłoby słabe. Poważnie, żenada. – Krzywi się.

– Nie zazdrozczę ci urody! Stwierdzam fakt!

– Zazdrościsz. Zawsze byłaś zazdrosna. O wszystko i wszystkich! –  
Córka wstaje od stołu i z talerzem w ręku wychodzi z kuchni.

Okej, może i trochę Sylwii zazdrozczę? W jej wieku byłam zgarbioną, wychudzoną karykaturą młodej dziewczyny – z tym cholernym szpiczastym nosem, marnymi włosami i wąskimi ustami snułam się po świecie kompletnie niewidzialna. Ona rozkwita w sposób, który mnie zaskakuje i zachwyca, ale też budzi wiele drobnych ukłuc zazdrości – zamienia się w piękną kobietę i, co lepsze, już teraz, nie mając jeszcze nawet osiemnastu lat, świetnie zna swoją wartość.

Ja nigdy jej nie znałam i chociaż staram się nad sobą pracować, moje głęboko zakorzenione kompleksy zawsze wygrywają w starciu z rozsądkiem. Jestem brzydka, biedna i nijaka, mówię sobie co rano przed lustrem, a życie wydaje się coraz bardziej nieznośne...

Rano wstaję smutna. Za oknem świeci słońce, lato w pełni, a ja nie czuję żadnego podekscytowania czy nadziei na odmianę mojego losu. Wiem, że ten dzień będzie bliźniaczo podobny do poprzedniego i dosłownie czuję, jak więdnę, gasnę, kurczę się i zapadam w sobie...

– Pożyczysz mi tę czarną bluzkę? – Córka zjawia się w kuchni kilka minut po tym, jak zaparzyłam kawę i chociaż dopiero zadała pytanie, niesie już zawieszoną na wieszaku bluzkę z odważnym dekoltem, którą kupiłam jakieś dwa lata wcześniej, ale nigdy nie miałam odwagi jej założyć.

– Weź ją sobie – mówię. – I tak jej nie noszę.

– Powaga?! Wow, dzięki! – Sylwia momentalnie się rozpromienia, a nasza niesympatyczna rozmowa z zeszłego wieczora odchodzi w zapomnienie.

– Co dziś robisz? – pytam ją, kiedy wdzieczy się przed lustrem w przedpokoju, zastanawiając się, czy założyć krótką kwiecistą spódniczkę, czy nieco dłuższą, w grochy. – Ciesz się wakacjami, w klasie maturalnej niewiele odpoczniesz.

– Olewam maturę, nawet nie wiem, czy podejść. – Sylwia pogardliwie wydyma usta, przeczesuje palcami włosy i obraca się przed lustrem, wyraźnie z siebie zadowolona.

– Nie wiesz, czy podejdziesz?! A wiesz, ile wysiłku kosztowało mnie to, żebyś dostała się do liceum?! Płaciłam za twoje korepetycje, wkładałam w to...

– Wyluzuj – wchodzi mi w słowo. – Może podejść, nie ma się teraz co spinać. Która lepsza? – pyta, wciąż niezdecydowana w kwestii spódnicy.

– Ta w kwiaty. I proszę, nie zaniedbaj nauki. Ja skończyłam tylko handlówkę, w moim rodzinnym domu nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby posłać mnie na studia czy chociażby do liceum, ale gdybym mogła...

– Nie wybieram się na studia, zapomnij. Nie zmarnuję najlepszych lat na ślęczenie nad książkami. Chcę znaleźć fajnego koleśka, zamieszkać z nim i cieszyć się życiem.

– Cieszyć się życiem zagrzebana w pieluchy, powodzenia – kpię, a ona parska śmiechem.

– To już chyba nie średniowiecze, co? Jest antykoncepcja, zresztą nikt nie mówi o ślubie i bachorach – mruczy Sylwia, zakładając spódniczkę.

Ubrała tę w grochy, pewnie na złość mnie, skoro sugerowałam kwiecistą. Czy ona zawsze musi robić mi na przekór? – zastanawiam się.

– Nie wiem, kiedy wrócę – oznajmia, zanim w pośpiechu wybiega z mieszkania.

Zamykam więc za nią drzwi i wlokę się z powrotem do kuchni.

Monopolowy otwieramy o dziesiątej, więc zaraz muszę się zbierać do pracy, chociaż tak bardzo mi się nie chce... Układając włosy, zastanawiam się, co robi Anna i chociaż tyle razy przysięgałam sobie, że już tego nie zrobię, sięgam po telefon i wchodzę na jej instagramowe konto.



Nowe fotki są dwie. Pierwsza przedstawia nakryty do kolacji stół, rozlane do kieliszków czerwone wino i zapalone świece. Podpis: „Mój mężczyzna dla mnie gotuje”. Na drugiej jest ich sypialnia – szerokie łóże z baldachimem, masywne komody z rzeźbionymi nóżkami, kominek i ciężkie, aksamitne zasłony w oknach. Na maleńkim stoliku przy łóżku stoi bukiet świeżych kwiatów, satynowa pościel połyskuje na złoto, dywan na środku pokoju jest śnieżnobiały. „Moje domowe królestwo” – podpisała to zdjęcie Anna. Gapię się na nie, wyobrażając sobie jej idealne poranki, a przy okazji zauważam, że znacznie przybyło jej followersów – odkąd pokazuje fotki rezydencji, ma prawie osiem tysięcy więcej obserwujących.

Nagle zdaję sobie sprawę, że mam ochotę napisać pod jej zdjęciem coś złośliwego i tylko resztką siły woli powstrzymuję się, żeby tego nie zrobić.

– Zarozumiała dziwka – mruczę, ze złością odkładając na półkę szczotkę do włosów, które wyczesalam z taką siłą i złością, że w oczach pojawiły mi się łzy.

Sięgając po szminkę, zerkam na stojące na nocnym stoliku zdjęcie córki, która, uśmiechnięta i niespełna jedenastoletnia, trzyma w ręku balonik i szeroko się uśmiecha. Nagle przychodzi mi do głowy naprawdę diaboliczny plan.

Już wiem, jak sprawić, żeby opłaciła mi się znajomość z Anną. Ta suka zapłaci za te swoje przechwałki, nieskazitelne piękno i każde upokorzenie, które mi zafundowała, mówię sobie w duchu, a na mojej bladej, zmęczonej twarzy po raz pierwszy od dawna pojawia się szeroki, promienny uśmiech. Zapłacisz mi za wszystko, Anno. Nigdy nie byłaś moją prawdziwą przyjaciółką, chociaż w czasach, kiedy tego pragnęłam, oddałabym za ciebie życie... Ale już cię nie potrzebuję. Wiem za to, jak sprawić, żebyś i ty cierpiała.

**24**  
**ANNA**

Iwona dzwoni kilka minut przed dziewiątą rano, a później jeszcze dwa razy, przed południem. Nie odbieram, nie mam ochoty na rozmowę z nią. Jej toksyczność w połączeniu z moim bólem głowy to raczej kiepski zestaw.

Kiedy słyszę, że usiłuje się ze mną skontaktować po raz czwarty, wyłączam telefon. Konrad jest w Gdańsku, gdzie dogaduje jakiś duży projekt dla tamtejszego urzędu miasta, a ja mam w planach leniwe popołudnie w ogrodzie. Tego dnia nie idę do pracy. Dzięki temu, że Iza z Bogdanem są w galerii, gdzie nadzorują montaż oświetlenia, mogłam wziąć urlop na życzenie. Potrzebuję chwili dla siebie, ciszy i błęgiego spokoju z dala od problemów córki, znajomych czy nawet Konrada. „Odejdź z tej galerii, przy mnie nie musisz przecież pracować” – powiedział mi ostatnio narzeczony, a ja zaczęłam się wahać. Lubię tę pracę i wiele zawdzięczam zarówno Bogdanowi, jak i Izie, ale teraz, kiedy faktycznie nie musiałabym spędzać tam całych dni, propozycja Konrada wydaje mi się kusząca. Może w końcu założę coś własnego? – zastanawiam się. Albo przez kilka miesięcy poleniuchuję, zajmując się jedynie domem, ogrodem i rozwijaniem profilu na Instagramie, którego prowadzenie daje mi ostatnio mnóstwo radości. Zrekompensowałabym sobie w ten sposób ponad dwa lata harówki w Koniczynie – uśmiecham się pod nosem.

Koło południa robię lemoniadę, przynoszę z piętra kryminał, który właśnie czytam, i siadam w zacienionym kącie ogrodu.

Później trochę pływam, opalam się na tarasie, w końcu przygotowuję obiad dla Martyny i Aleksandra – miłośnika małych cycków, który zapowiedział się na dziś z wizytą, i ostatecznie wracam na leżak. Tak,

mogłabym rzucić pracę, mówię sobie i decyduję, że niebawem złożę wypowiedzenie. Skoro obecnie moim życiem jest Konrad i nasz przepiękny dom, odnajdę się w roli partnerki i gospodyni. Uśmiecham się pod nosem na tę myśl.

Komórkę włączam dopiero koło szesnastej, chcąc sprawdzić, czy nie kontaktował się ze mną mój facet, ale jedyne, co znajduję w powiadomieniach, to wiadomość od Iwony.

Czego ona znowu chce, do cholery? – krzywię się, otwierając esemesa.

„Musimy się spotkać! Ważne!” – czytam i złośliwie się uśmiecham.

Musimy? Od kiedy to ona dyktuje warunki?

„Wybacz, ale w najbliższym czasie nie pewno nie dam rady” – odpisuję jej po krótkiej chwili zastanowienia.

„A powinnaś. Bo tak się paskudnie składa, że Twój podstarzały narzeczony dobierał się do mojej siedemnastoletniej córki!!!” – czytam wzbogaconą aż o trzy wykrzykniki kolejną wiadomość i dosłownie opada mi szczęka.

– Kurwa, co? – Zszokowana treścią wiadomości od niej, rzucam pod nosem przekleństwo i sekundę później wybieram jej numer.

Odbiera niemal od razu, jak zawsze. Czasem podejrzewam, że komórka na stałe przyrosła do wnętrza jej dłoni.

– Co ty pierdolisz, Iwona?! – naskakuję na nią. – O czym ty, kurwa, piszesz?! Konrad nigdy by czegoś takiego nie zrobił! Niby gdzie?! Kiedy?! To jakiś żart?! Bo jeśli tak...

– Proszę, proszę, jednak doczekałam się odrobiny twojej uwagi – wchodzi mi w słowo Iwona.

Jej głos ocieka jadem, brzmi obco. Nigdy wcześniej nie mówiła do mnie takim tonem.

– Dziś, jakiś kwadrans po dwudziestej drugiej, w Texaco. Przyjdę prosto po pracy – dodaje.

– O co ci chodzi, Iwona? – pytam, wciąż zszokowana tym, co właśnie zarzuciła Konradowi, ale ona nie chce rozmawiać przez telefon.

– Texaco, po dwudziestej drugiej – powtarza i się rozłącza.

Wybieram więc numer Konrada, chcąc go zapytać, o co może chodzić tej kretynce, ale rezygnuję. Najpierw pogadam z nią, wysonduję sytuację, zdecyduję.

Narzeczony oddzwania po kilku minutach.

– Dzwoniłaś, kochanie? – pyta.

– Tak, ale już nic – odpowiadam lekko jeszcze drżącym głosem.

– Jak nic, słyszę przecież, coś jest na rzeczy? Co się dzieje, koteczku?

– Widziałeś się w ostatnich dniach z Sylwią? – rzucam i od razu żałuję, że zrobiłam to przez telefon i nie mogę widzieć wyrazu jego twarzy.

– Z kim?

– Z córką Iwony, tą, od której cycków nie mogłeś dosłownie oderwać wzroku.

– A, z tą małą. Tak, wczoraj.

– Wczoraj? – Aż mnie zatyka. – Czeka, ale jak...

– Wracalem ze squasha, zgarnalem ją z przystanku. Coś się stało? Skąd o tym wiesz? – dziwi się Konrad.

– Dobre pytanie, skąd o tym wiem. Od Iwony, wyobraź sobie. Zadzwoniła do mnie właśnie i twierdzi, że dobierałeś się do jej siedemnastoletniej córki – wyjaśniam, a on najpierw parska śmiechem, a później rzuca: „A to głupia dziwka”.

– Chce z nas wydoić kasę, nie rozumiesz? Będzie nas szantażować. Zapłacę jej albo to nagłośni – wyjaśnia mi jak dziecku.

– Co nagłośni? Dobierałeś się do niej?! – podnoszę głos.

– Nie! Kurwa, Anka, o czym ty mówisz?! Podwiozłem ją przed blok, bo strasznie się rozpadało i w moment ochłodziło. Podziękowała i wysiadła! A nagłośni swoje łgarstwa, nie rozumiesz?!

– A w aucie? Jakieś nieodpowiednie rozmowy, twoja ręka na jej kolanie? – sonduję.

– Nie, do cholery! Masz mnie za idiotę?! To jeszcze dziecko, na miłość boską! Ładna, ale smarkata! Każdy facet ze śladowymi ilościami mózgu pod czaszką wie, że Lolitek w jej wieku się unika. Zwłaszcza jeśli mają takie matki. Wiem, że się przyjaźnicie, ale ta twoja Iwona

od pierwszej chwili sprawiała wrażenie bezczelnej, roszczeniowej suki. Takiej, co to rości pretensje do całego świata o to, że inni mają lepiej.

– Nie przyjaźnimy się już. Od dawna – mówię cicho.

– Powiedziała wprost, że chce od nas kasy? – pyta mój narzeczony, ignorując moje słowa o końcu naszej przyjaźni.

– Nie, ale ma dziś na mnie czekać w Texaco.

– Nie pójdziesz tam, słyszysz? Poczekasz, aż jutro wrócę z Gdańska i pogadam z Kazikiem – oznajmia mi Konrad.

Na wzmiankę o Kazimierzu, jego wieloletnim przyjaciolem i wziętym lokalnym adwokacie, robi się mi się ciemno przed oczyma.

Więc sprawa jest poważna, myślę.

– Konrad, mówisz mi prawdę? Do niczego między wami nie doszło? – pytam cicho. – A może wzięłaś od niej numer, kiedy u nas była i umówiliście się za moimi plecami? No powiedz, miej odwagę się przyznać! – podnoszę głos, dając się ponieść wyobraźni, a on gniewnie parska.

– Podwiozłem ją, Anka! Tyle w temacie. W aucie opowiadałem jej o nurkowaniu na Malediwach, najnowszym niemieckim projekcie i innych tego typu bzdetach. Żadnej niestosownej gadki, żadnego macania, żadnych obleśnych tekstów. Jeśli mi nie wierzysz, to mamy problem. Zwłaszcza że za niecały rok chcemy się pobrać. Muszę kończyć, zaraz mam spotkanie. Nie idź tam dzisiaj, słyszysz? Idąc, przyznasz, że jesteś zaniepokojona, i włożysz w jej rękę solidną kartę przetargową. Olej to spotkanie.

– Zastanowię się – mówię.

– Nie, nie zastanowisz się! Nie pójdziesz tam! – warczy na mnie Konrad, jego głos brzmi ostro, nieprzyjemnie.

– Nie rozkazuj mi, kochany – mówię więc i rozłączam się bez pożegnania.

Do wieczora nie mogę znaleźć sobie miejsca. Sprzątam parter, chociaż przecież co drugi dzień odwiedza nas gosposia, biorę długą kąpiel, usiłuję czytać, ale litery skaczą mi przed oczami, w końcu

wypijam mocnego drinka na bazie czystej wódki, zamawiam taksówkę i jadę do centrum miasteczka, w okolice Texaco.

Dochodzi dwudziesta druga, więc Iwony nie może jeszcze być w lokalu – o tej porze monopolowy, w którym pracuje, wciąż powinien być otwarty jeszcze przez kilka minut.

Dzwonię więc do Kingi i mówię jej, co się stało, a ona rzuca kilka przekleństw pod adresem Iwony i kategorycznie zabrania mi się z nią spotykać.

– Wsiadaj w taryfę i wracaj do domu! – rozkazuje mi.

– Nie wiem, czy chcę wracać. Wolę spojrzeć jej w twarz i zapytać, czemu robi mi coś tak ohydneho. Bo przecież ona kłamie, co do tego nie mam cienia wątpliwości.

– Jesteś pewna? – pyta nagle Kinga. – No wiesz, może Konrad coś tam jednak odpierdolił?

– Oszalałaś?! – obruszam się.

– Tylko pytam – broni się moja przyjaciółka.

– Ona kłamie, Kinga! Chce nas szantażować, tak twierdzi Konrad.

– Dobra, w takim razie włącz do tego baru, poczekaj na nią i powiedz suce, co o niej myślisz. A najlepiej wybij jej z głowy tego typu pomysły! Mówiłam ci, uważaj na nią! A ty zawsze jej broniłaś! – zarzuca mi.

– Nigdy nie miałam powodów do podejrzeń, że Iwona może mi wyciąć taki numer – mówię na swoje usprawiedliwienie. – Kinga, a jeśli ona nie kłamie? – pytam cicho łamiącym się głosem. – Kiedy u nas były, Konrad gapił się na tę małą, zresztą sam przyznał, że mu się spodobała.

– Przyznał, że mu się spodobała? Tobie? Kurwa, ma tupet! – Kinga brzmi tak, jakbym ją zszokowała.

– Przyznał, że jest atrakcyjna i tyle – bronię narzeczonego.

– Po jasną cholere w ogóle zapraszałaś je do domu?

– Nie wiem, okej?! Wpadłyśmy na siebie przypadkiem przy hali targowej, zrobiło mi się głupio, że praktycznie z dnia na dzień się od niej odcięłam i tak jakoś wyszło... Może potrzebowałam jakiegoś przyjaznego zamknięcia naszej znajomości? A może po prostu

chciałam się pochwalić Konradem i domem – przyznaję z rozbrajającą szczerością, a Kinga milczy.

– Dobra, spotkaj się z nią, ale uważaj. I, jeśli ci się uda, nagraj waszą rozmowę. W komórce masz dyktafon.

– Co ty powiesz – mruczę, bo w końcu Ameryki nie odkryła, a ona życzy mi powodzenia i prosi, żebym dała jej znać, jak poszło spotkanie z Iwoną i czego się dowiedziałam.

Wchodzę więc do Texaco i zajmuję wolny stolik przy oknie, jak najdalej od baru, przy którym kręci się grupka młodych chłopców wyglądających na studentów.

Nie znoszę tej knajpy, myślę, bo nagle lokal kojarzy mi się wyłącznie z moimi „chudymi latami” z czasów Koniczynki i tanim piwem bądź winem, które tu pijałyśmy.

Iwona zjawia się o dwudziestej drugiej czterdzieści osiem i idę o zakład, że specjalnie przyszła tak późno, żeby do reszty wytrącić mnie z równowagi.

– Konrad odradzał mi to spotkanie, podobnie zresztą jak Kinga, ale przyszłam, żeby spojrzeć ci w oczy i zapytać wprost: czemu robisz mi coś takiego? – zaczynam, kiedy kładzie na sofie swoją podniszczoną torebkę ze sztucznej skóry i sięga po kartę, chociaż przecież świetnie wiem, że zamówi najtańsze piwo i paluszki.

– A co ja ci robię? – pyta, bawiąc się laminowanym menu.

– Konrad mówi, że tylko twoją córkę podwiózł. Padało, chciał jej zrobić przysługę i zgarnął ją z przystanku. W aucie nic między nimi nie zaszło – mówię, a Iwona krzywo się uśmiecha.

– Włożył jej rękę pod spódnicę – cedzi. – A później powiedział, że chciałby wylizać jej ogoloną cipkę! Opowiadała mi o tym z płaczem, była cała roztrzęsiona!

– W takim razie czemu od razu nie poszłaś na policję?! – rzucam, patrząc jej prosto w oczy. – Łzesz jak pies, Iwona! Jesteś chorą, kompletnie pojebaną suką! Zawsze czułam, że coś jest z tobą nie tak, ale nie wiedziałam, że do tego stopnia...

– Co jest ze mną nie tak?! Bo bronię swojej córki?! Masz pojęcie, z kim się związałaś?! To kurwiarz i kłamca!

– Dość! – Wstaję i odchodzę od stolika. – A tobie radzę przestać powtarzać takie rzeczy, inaczej spotkamy się w sądzie. Wiesz, co to zniesławienie? – rzucam, a potem z torebką w ręku wybiegam z pubu.

Iwona dogania mnie na chodniku. Wygląda na wściekłą.

– Twój narzeczony molestował moją nastoletnią córkę! – wrzeszczy, a siedzący w sąsiedniej knajpce na świeżym powietrzu ludzie gapią się na nas, wyraźnie zniesmaczeni.

– Zamknij się! – syczę.

– Bo co? – Iwona chwyta się pod boki i rzuca mi wyzywające spojrzenie.

Wtedy podchodzę do niej i daję jej w twarz. Pięścią, prosto w nos.

– Kurwa, poważnie? – mamrocze, zszokowana, a spomiędzy jej palców przecieka krew z rozkwaszonego nosa, plamiąc jej dłonie i tanią beżową sukienkę z bawełny, którą ma na sobie. – Uderzyłaś mnie, bo otworzyłam ci oczy?! – krzyczy, ale ja już pędzę w stronę pobliskiego parku, wbiegam pomiędzy rosnące szpalerem krzewy i osłonięta przed wzrokiem gapiów, opadam na jedną z ławek, gdzie wybucham płaczem.

– Kinga, jej kompletnie odwaliło – mówię chwilę później, dzwoniąc do przyjaciółki. – Zrobiła scenę na pół miasteczka, darła się na mnie na chodniku, a ja ją uderzyłam.

– Mówiłam ci, kurwa, nie idź tam?! Gdzie jesteś? Podjadę po ciebie.

– Nie, wrócę taryfą. Chcę zostać sama i wszystko sobie przemyśleć.

– Jesteś pewna? Bo mogę...

– Tak, jestem pewna. Ale dzięki. Kinia, kończę. Chciałam ci tylko powiedzieć, że spotkanie poszło fatalnie.

– Przykro mi, kochana, ale nie przeżywaj tego aż tak. Konrad ma kasę, znajomych prawników i łeb na karku. To nie jest pierwszy lepszy koleś, który może paść ofiarą tego typu nieczystych zagrań. Poradzicie sobie z tym, zobaczysz – pociesza mnie przyjaciółka, a potem się żegnamy.



W taksówce z trudem udaje mi się zapanować nad łzami.

Przypominam sobie pierwsze miesiące naszej przyjaźni z Iwoną, wspólne wypadki na lody, nad rzekę, do kręgielni i kina. Długie rozmowy telefoniczne, zwierzanie się z matczynych rozterek, pocieszanie po rozstaniu, niekończące się wieczorne spacerki po pracy i tę szczerą, prawdziwą sympatię, która między nami była. Co się z nami stało? Jak to możliwe, że dotarliśmy do takiego punktu? – zastanawiam się.

W domu szukam jej córki na Facebooku i Instagramie i, tak jak podejrzewałam, dziewczyna nie wygląda na straumatyzowaną ofiarę Konrada. Rano wrzuciła roześmianą fotkę znad jeziora, a dzień wcześniej zdjęcie talerza z ozdobionymi bitą śmietaną truskawkami. Wiem, to o niczym nie świadczy, ale naprawdę cholernie ciężko uwierzyć mi w to, co powiedziała Iwona. Konrad może i jest psem na baby, ale na pewno nie idiotą. Gdyby napalił się na nią tak, że postanowiłby ją przelecieć, zrobiłby to subtelniej, omotał ją w sposób, który nie byłby aż tak wulgarny i otwarty. Rozkochałby ją w sobie i na pewno nie walnął tak taniego tekstu. W życiu w to nie uwierzę, mówię sobie w duchu i dzięki temu czuję się odrobinę lepiej.

„Byłaś tam, prawda?” – Koło północy narzeczony wysyła mi esemesa.

„Tak, ale ona kłamie” – odpisuję.

„Prosiłem, nie idź tam!”

„Ale poszłam!”

„Dobra, trudno. Widzimy się jutro! I obym dzisiaj złapał chociaż ze cztery godzinki snu, wiesz, jak nie znoszę hoteli...”

„Śpij słodko zatem” – odpisuję i dorzucam serduszko.

A co, jeśli on naprawdę to zrobił? Co, jeśli jego alibi to właśnie ten argument, który mnie uspokoił? A jeśli to powiedział, bo doskonale wie, że mało kto uwierzyłby w takie otwarte chamstwo z jego strony? – przechodzi mi przez głowę i już wiem, że tej nocy to ja nie zmruję oka...

Rano dzwonię do Iwony, ale nie odbiera. Przez ponad dwa lata desperacko zabiegała o moją uwagę, ale nagle role się odwracają.

„Oddzwoń, chcę pogadać” – piszę więc wiadomość tekstową, ale jej nie wysyłam. Może Konrad ma rację? Może nie powinnam w tej sytuacji podejmować już żadnych działań na własną rękę?

Iwona oddzwania po jakichś dwóch godzinach i od razu przechodzi do rzeczy.

– Powiedzmy, że pół miliona złotych nieco złagodzi traumę mojej dorastającej córki – oświadcza. – Niech twój narzeczony zapłaci za swoje chamstwo, to znikniemy z waszego życia. Molestował moją Sylwię, słyszysz?! Trzy sąsiadki widziały, jak ona późnym wieczorem wysiada z jego samochodu, mam świadków!

– Tak, a czego to dowodzi? Że lało i było późno, a on chciał być miły i widząc na przystanku nastoletnią córkę mojej znajomej, podrzucił ją przed dom. Jesteś chora, Iwona. Ty i te twoje urojenia – cedzę. – Ale przepraszam, że cię uderzyłam. Nie powinnam tego robić – dodaję łagodniejszym tonem, bo wspomnienie krwi z jej rozbitego nosa mimo wszystko jest dla mnie dość przykre...

– Pięćset tysięcy. – Iwona lodowatym tonem rzuca sumę, nawet słowem nie komentując moich przeprosin. – I pospieszcie się, bo stawka może wzrosnąć. Sylwia będzie musiała iść na terapię, cholera wie, ile na to wydam.

– Kobieto, lecz się – mówię, niemal rozbawiona jej roszczeniami, i kończę połączenie.

Wieczorem wpada do nas Kazimierz i radzi nam, żebyśmy nie podejmowali już żadnych prób kontaktu z Iwoną, nie odbierali od niej telefonów, nie spotykali się z nią i kompletnie ją ignorowali.

– Dopóki nie wykona kolejnego ruchu, tyle powinno wystarczyć. Jeśli to zrobi, wytoczy się babie proces cywilny – radzi nam Kazimierz, który wpadł do nas na drinka, w drodze na kolację.

– I tyle? To wystarczy? – dziwi się Konrad.

– O ile jesteś niewinny i na chwilę obecną nie chce ci się ciągać jej po sądach, na razie tak.

– Oczywiście, że jestem niewinny! Kurwa, nie wierzysz chyba, że byłbym tak głupi?! – obrusza się mój narzeczony, a ja kładę mu rękę

na ramieniu.

– Nie denerwuj się. Iwona to idiotka, nie ma pojęcia, jak poważne mogą być konsekwencje jej łgarstw. Kiedy zda sobie sprawę z tego, jak ostro przegięła, sama odpuści – pocieszam go.

– Oby! Bo, prawdę mówiąc, mam ochotę wytoczyć suce proces o zniesławienie, a w sądzie rozszarpać ją na strzępy – mówi Konrad mściwym głosem.

Tej nocy też fatalnie śpię. A rano, tuż po przebudzeniu, za zgodą Konrada, wysyłam Iwonie esemesa z informacją, że nic od nas nie dostanie.

„Nie zapłacimy ci nawet złotówki, zresztą za co?! Jesteś chora, tak jak twoje kłamstwa! Odszczekaj te kłamliwe pomówienia albo widzimy się w sądzie!” – piszę i wciskam „Wyślij”.

Iwona nie odpisuje ani nie dzwoni. Milczy. Przez chwilę łudzę się, że może poszła po rozum do głowy i dała sobie spokój z brnięciem w tę aferę, niestety...

Przed południem znajduję na Facebooku post, który dosłownie zwała mnie z nóg!

„UWAGA, bogaty i przystojny koleś też może być ohydny zbrodnicą! Konrad Keller molestował moją siedemnastoletnią córkę, obrzydliwe rzeczy jej mówił i chciał robić, a to przecież jeszcze dziecko! Udostępniajcie, PROSZĘ! Niech cały świat zobaczy dewianta!” – czytam, nie wierząc własnym oczom.

Do posta wrzuconego na profilu Iwony dołączone jest zdjęcie Sylwii, na którym jej córka ma góra trzynaście lat i siedzi na pniu pośrodku leśnej polany, wyglądając słodko i bardzo niewinnie, prawie jak dziecko. Co gorsza, Iwona była tak bezczelna, że oznaczyła w poście zarówno profil mój, jak i Konrada, któremu wieczorem po wizycie u nas wysłała zaproszenie do grona znajomych. Pamiętam, że przyjął je wtedy niechętnie, chyba nie za bardzo chciał aż tak się spoufalać, chociaż przecież powiedział, że moje znajome są „miłe”.

– To chora suka – syczę, z rosnącym niedowierzaniem wpatrując się w coraz liczniejsze komentarze i udostępnienia jej posta.

„Jebane nowobogackie snoby myślą, że wszystko ujdzie im na sucho!” – czytam komentarz jakiegoś Artura, podejrzewając, że to może być taksówkarz, z którym ponoć Iwona sypia.

„Idź na policję, kochana! Albo od razu zlinczować zwyrodnialca, niech nie chodzi po ulicach!” – komentuje jakaś Zuzanna Kuklińska.

„Co to się na tym świecie dzieje, dobry Boże... Dawniej to jakoś inaczej było, mniej tego wszystkiego ohydneho” – Wanda Duda, kimkolwiek jest ruda baba z oberżyną na głowie, też wygląda na mocno oburzoną.

„Karę śmierci powinni przywrócić, toby był spokój!” – pisze jakiś Zenek.

„Za jaja na rynku zboczura powiesić! Żeby do takiej młodej dziewczuszki startować, fuj!” – obrusza się jakiś Piotr Wrona.

Większości tych ludzi nie znam, to znajomi Iwony. Jedyna twarz, którą kojarzę, to profilowe Tośki – dawnej koleżanki z Koniczynki, która nie umieszcza żadnego ostrego komentarza, ale wrzuca trzy płaczące emotki.

– Widziałaś to? – Mój narzeczony zjawia się na parterze, kiedy z bijącym sercem obserwuję lawinowo rosnącą liczbę udostępnień i pełnych nienawiści komentarzy nawołujących do linczu na Konradzie.

– Zablokuj jakoś tych ludzi – mówię, bliska łez, po czym odkrywam, że na Facebooku jest ustawienie, dzięki któremu mogę już nie być oznaczona w tym poście, ale mało mnie to pociesza.

Wszyscy już wiedzą, że chodzi o nas, wymieniono nas przecież z nazwisk. Jakiś facet wpisał właśnie nienawistny komentarz na profilu firmy projektowej, która należy do Konrada, inny w prywatnej wiadomości życzył mu śmierci.

– Kurwa mać, przecież na coś takiego są paragrafy! – Konrad w bezsilnej złości uderza pięścią w stół i znika mi z oczu, opuszczając salon z telefonem w dłoni, wściekły i czerwony na twarzy.

„Przeięłaś! Nasz adwokat dobierze ci się do dupy!” – grożę Iwonie, ale decyduję, że tego nie wyślę i kasuję wiadomość.

Tę chorą sukę najlepiej zostawić samej sobie. Kiedy będzie ignorowana, odpierdoli jej jeszcze bardziej, puszcza jej nerwy i zacznie popełniać błędy, pocieszam się.

Kolejne godziny są koszmarem. Grożą nam obcy ludzie, dzwonią nasze komórki, najbliżsi przyjaciele pytają, co się u nas dzieje, kilka osób wyrzuciło mnie z grona znajomych na Facebooku i zablokowało na insta. Ja pierdolę, to się nie może dziać naprawdę, powtarzam sobie, chodząc z kąta w kąt, jak zombie.

Moja Martyna jeszcze o niczym nie wie, ale pewnie lada chwila się dowie... Jak wytłumaczyć siedemnastolatce taką ohydę? – zastanawiam się. To odbierze jej niewinność, zachwieje jej wiarą w ludzi. Jak mogę jej powiedzieć, co się właściwie stało? Płacę zamknięta w sypialni, aż do pokoju wślizguje się Konrad, kładzie się po drugiej stronie łóżka i zamyka mnie w uścisku swoich szerokich ramion.

– Kocham cię, małeńka – szepcze. – I obiecuję, że przez to przejdziemy. Będzie dobrze, słyszysz? – pyta.

– Słyszę – mówię cicho, ale nie wiem, czy potrafię w to uwierzyć.

Wygląda na to, że dosłownie w kilka godzin ktoś, kogo kiedyś uważałam za przyjaciółkę, zamienił moje życie w piekło...

– Też cię kocham – dodaję, a on całuje mnie w szyję i milkniemy, leżąc w ciszy w zaciemnionej sypialni, bo tylko tu czujemy się teraz bezpieczni...

**25**  
**IWONA**

Córka początkowo bardzo źle przyjmuje mój pomysł, a na widok umieszczonego przeze mnie na Facebooku posta wpada w histerię.

– Ale przecież on mnie nie molestował, to miły i fajny facet! – wydziera się na mnie, zanim wybucha płaczem i zaczyna się drzeć, że narobiłam jej obciachu i zrobiłam z niej ofiarę chuj wie czego, jak to ujmuje.

– Dzięki temu zarobimy kasę, jakiej nigdy nie zdobyłabym własną pracą. To nasza jedyna szansa – tłumaczę jej pół godziny później, kiedy już nieco ochłonęła, a później chyba po raz pięćdziesiąty powtarzam kłamliwą wersję wydarzeń z samochodu Konrada, którą dopracowałam w każdym możliwym szczególe i przedstawiłam Sylwii.

Jej reakcja mnie zaskakuje i nawet rani. Byłam pewna, że córka doceni mój plan, wesprze mnie od razu i się nim zachwyci, a tu taka niespodzianka...

– Nie możesz być taka naiwna, słyszysz? – mówię jej. – W życiu trzeba walczyć o siebie, pokazywać pazury, a czasem iść na skróty. Jak nam ten nadziany jeleń da te pół miliona, to kupimy sobie mieszkanie, może jakiś biznes założę? Tanie ciuchy czy coś. Może salon fryzjerski na osiedlu, zobaczymy. Kupimy sobie lepsze rzeczy, może nawet znajdę jakiegoś faceta z wyższej półki, kasa otwiera wszystkie drzwi.

– Dużo masz planów jak na pięćset tysięcy – kpi ze mnie Sylwia. – Skoro już postanowiłaś zniszczyć mu życie, to mogłaś zażądać chociaż miliona.

– Myślisz? – Jej słowa mnie zastanawiają.

Cholera, faktycznie... Nie za wiele chcę, mogłam rzucić wyższą sumę, wyrzucam sobie.

– I co, zapłacą? – pyta nagle Sylwia.

– Mówią, że nie. Dlatego umieściłam ten post. Bo postraszyli mnie prawnikiem i wyśmiali.

– Czyli nie zapłacą? To po cholere zrobiłaś całą tę aferę? Po chuj ci to było?! W dodatku za mną latami będzie się ciągnąć plotka, że jakiś starszy koleś mnie molestował! – naskakuje na mnie córka. – Usuń to, mammo! Teraz! – Sylwia wyrywa mi telefon z ręki i, zniesmaczona, kręci głową na widok reakcji wirtualnej społeczności – mój wpis ma już ponad dwieście udostępnień, pięćset szesnaście polubień i dziesiątki komentarzy.

– Oddaj mi komórkę! – drę się na córkę, ale ona podnosi rękę z telefonem tak wysoko nad głowę, że nie mogę jej dosięgnąć. – Kurwa, mówię, oddawaj! To jest nasza życiowa szansa!

– To jest tylko sposób na to, żeby narobić sobie niemałych problemów! Ty głupia jakaś jesteś?! Nie zadarłaś z byle kolesiem z naszego osiedla! Ten facet ma kasę i znajomych, zniszczy nas! Pogięło cię?!

– Gównu mi robi – rzucam przez zęby, ale słowa córki dają mi do myślenia.

Może faktycznie przegięłam? – zastanawiam się. Może trzeba było jeszcze poczekać, usiłować z nich wyciągnąć chociaż tak z pięćdziesiąt tysięcy, a nie od razu pisać kłamstwa na FB? Kurwa mać, że też zawsze wszystko spierdolę! – wyrzucam sobie, a Sylwia w końcu oddaje mi telefon.

– Usuń ten post, mammo. A później napisz, że doszło do nieporozumienia i nic takiego się nie stało. Konrad był dla mnie miły, rozumiesz?! A ty...

– Zamknij się już, muszę pomyśleć! – uciszam ją i w końcu, po długim namyśle, niechętnie usuwam post.

Później wyciszam telefon i robię sobie mocnego drinka.

Kiedy go piję, dzwoni Artur.

– Ty, co to za afera z molestowaniem Sylwii? – pyta zaniepokojonym głosem. Bardzo lubi moją córkę i jest wyraźnie poruszony. – Bo gdyby co, skrzyknę paru chłopaków i obije się temu typowi mordę – dodaje.

– Już nic – mówię cicho.

– Jak, kurwa, nic, skoro dziś napisałaś, że ktoś dobierał się do Sylwii? Zamknęli ci usta kasą, o to chodzi? Zapłacą ci coś, żebyś siedziała cicho?! To chuj pierdolony, bogaty złamas! – klnie mój kochanek.

– Nikt mi nie zamykał ust, Artur. Po prostu cała ta sytuacja to raczej nieporozumienie – mamroczę, sama nie wiedząc, jak mam teraz z tego wybrnąć, wszystko to zaczyna mnie przerastać.

– No to grubo pojechałaś z tym postem, skoro sama nie masz pewności, jak było. Teraz koleś będzie miał przesrane – nagle Artur bierze stronę Konrada.

– A co ci do tego? Znasz go? – rzucam przez zęby, zanim się rozłączam, nie mając ochoty dłużej z nim rozmawiać. – Spierdalaj – dodaję pod nosem, kiedy już nie może mnie usłyszeć.

Przez kolejne dni nie dzieje się nic.

Anna milczy, nie dzwoni, nie pisze esemesów. Nie przychodzi po mnie policja, w skrzynce nie znajduję żadnych pism z sądu, żadnej reakcji z ich strony. Może odpuścili, a sprawa rozeszła się po kościach? – pocieszam się, bo z dnia na dzień coraz bardziej żałuję tego, co zrobiłam. Nie, nie ze względu na Annę. Bardziej boję się konsekwencji. Ale, aż do teraz, cisza i spokój.

Któregoś wieczoru widzę Konrada w telewizji. Występuje w lokalnym programie, mówi o planowanej rozbudowie infrastruktury na obrzeżach naszego miasteczka i wygląda na bardzo z siebie zadowolonego.

Nadęty buc, myślę ze złością.

W nocy nie mogę spać. Dochodzi trzecia, kiedy wymykam się z mieszkania i pieszko, przemykając pustymi ulicami, krążę po centrum, zastanawiając się, co jeszcze mogłabym zrobić, żeby zatruć Annie życie. Bo na razie nie działałam wiele...



Rano znajduję w sieci adres pracowni projektowej Konrada, jadę na miejsce i sprejem do graffiti bazgrzę na przeszklonych drzwiach jedno wymowne słowo: „Zboczeniec!”.

Później wsiadam w taryfę, jadę przed ich dom i chociaż nie potrafię przedostać się na podjazd przez wysoką, metalową bramę, piszę na betonie przy zjeździe z ulicy, że tu mieszka pedofil, i uciekam.

Biegnę aż do przystanku, gdzie zdyszana wsiadam do autobusu i śmiejąc się w duchu, wracam na swoje osiedle. Nie wiem, czemu to zrobiłam, tym bardziej że chyba „złapała” mnie kamera. Zdaję sobie sprawę, że dowiedzą się, kto jest sprawcą, ale trudno, nie umiałam się powstrzymać. To było silniejsze ode mnie...

Anna dzwoni trzy godziny później, ale nie odbieram.

„Zawiadomiliśmy prokuraturę!” – czytam esemesa, którego wysyła kilka minut później.

„Sikam po nogach ze strachu!” – odpisuję.

Odpowiedź nie nadchodzi.

Dzień później przychodzi cios, którego się nie spodziewałam.

– Wyprowadzam się do taty – oznajmia moja córka przy śniadaniu.

– Co? – Z niedowierzania aż uchylam usta. – Ten człowiek nas porzucił i praktycznie jesteście sobie obcy! W dodatku mieszka z tą Turczynką, a ty...

– A ja mam dość ciebie, twojego zachowania i tego, co zrobiłaś Konradowi!

– Zapłacił ci? – pytam, czując narastającą panikę.

No jasne, przecież tak właśnie musiało być. Nie ugrali niczego ze mną, to zabrali się za moją córkę. Bogate, bezkarne snoby! – myślę.

– Nikt mi nie zapłacił. Po prostu żal mi Konrada – oznajmia Sylwia.

– Żal ci go? – parskam. – To milioner! Żyje jak pączek w maśle! Mieszka w pałacu, jeździ po całym świecie, a tobie go żal?! Co by się stało, gdyby nam dał tak z pół miliona, no, powiedz?! Ubyłoby mu czegoś?! Nam by odmienił życie, a sam...

– Mamo, błagam cię, przymknij się! – drze się na mnie Sylwia. – To, co zrobiłaś, jest ohydne! Czuję się z tym źle, nie chcę być takim

człowiekiem, który szantażuje innych, kłamie i robi jakieś pojebane afery na fejsie! Wyprowadzam się i koniec! Ojciec się zgodził, nawet się ucieszył. Mówi, że w końcu lepiej się poznamy. – Sylwia wstaje od stołu, porzucając talerz z niedojedzonym śniadaniem, i wychodzi z kuchni.

– Nie zostawiaj mnie samej – proszę, wchodząc do jej pokoju, gdzie córka już się pakuje.

– Przykro mi, ale w tym momencie nie chcę tu być. Wszyscy sąsiedzi się na mnie gapią. Wszyscy, rozumiesz?! Ale to się skończy, bądź tego pewna. Dzisiaj widzę się z Konradem, wszystko sobie wyjaśnimy – mówi Sylwia, wrzucając do walizki swoje letnie sukienki.

– Widzisz się z Konradem? – Z wrażenia opada mi szczęka.

– Tak. Odezwał się do mnie na insta i poprosił o spotkanie.

– Czy ciebie pogięło?! Chyba tam nie pójdziesz?! Przecież on może ci zrobić krzywdę! To bogacz, oni nie mają skrupułów! Może nawet sprawić, że znikniesz albo...

– Tak, a moje opuchnięte zwłoki za kilka dni wyłowią z rzeki. Puknij się w głowę – parska moja córka i otwiera szufladę komody.

– Co na to ta Turczynka? – pytam.

– Zehra? Nie ma nic przeciwko. Polubiłyśmy się, to fajna laska.

– Polubiłyście się? A kiedy ty się z nią widziałaś? – pytam, odbierając słowa córki niemal jako zdradę.

Spotykała się z tą Turczynką za moimi plecami?!

– Kilkakrotnie, niedawno. Tato zaprosił mnie na obiad, później jeszcze ze dwa razy do nich wpadłam.

– Czemu mi nie powiedziałaś? – pytam, a ona wzrusza ramionami.

– Po co? Żebyś zaczęła wieszać na ojcu psy? Przecież od razu zaczynasz na niego nadawać, kiedy tylko o nim wspomina!

– A nie mam powodów?! – krzyczę. – Zniszczył mi życie, skurwysyn, a teraz jest szczęśliwy! To ci się wydaje sprawiedliwe?!

– W życiu każdy sam tworzy swoją własną bajkę. Ale ty umiesz tylko kreować mroczne baśnie. Jesteś zawistna, małostkowa, podła i leniwa!

– Leniwa?! – Teraz to już mam ochotę smarkulę walnąć. – Ja jestem leniwa?!

– Tak, jesteś! Bo chciałabyś od życia więcej i więcej, a gównu dajesz od siebie! Nie lubisz swojej pracy? Zmień ją! Masz słabe wykształcenie? Zmień to! Nie znasz języków? Naucz się. Nie znosisz tego mieszkania? Pomaluj ściany i jakoś cały ten syf odczaruj. Mamo, jesteś taka cholernie bierna i bezradna, że czasem mam ochotę tobą potrząsnąć! Chciałabyś wszystkiego, ale latami tkwisz w miejscu, niczego nie robiąc w tym kierunku! Rusz się, zwalcz o siebie! Narzekasz, że faceci są beznadziejni, ale pieprzysz się z tym durnym Arturem, chociaż chyba całe osiedle wie, że on chce wrócić do byłej żony, bo ma na jej punkcie obsesję. Czemu to sobie robisz?! Sama rozwalasz sobie życie. Ty, nie inni ludzie! – wrzeszczy Sylwia, a ja kulę ramiona, zraniona do żywego jej ostrymi słowami.

– Nie rozumiesz mnie. Nigdy nie rozumiałaś. Jesteś tylko rozpuszczoną smarkulą, która jeszcze nie zna życia – mówię cicho.

– Skoro tak twierdzisz – burczy córka, upychając do walizki wypchaną kosmetyczkę. – Ojciec za kwadrans po mnie podjedzie. Jeśli nie chcesz go widzieć, to może lepiej wyjdź do sklepu czy coś – radzi mi złośliwym tonem.

– Ja mam wychodzić z własnego mieszkania?! Bo co, bo ten dupek zjawi się po latach?!

– Rób, co chcesz. – Sylwia wzrusza ramionami i zapina walizkę.

Tomasz zjawia się spóźniony, ale za to odmieniony, nie do poznania. Zniknął zbyt chudy, zaniedbany magazynier, którego codziennie widywałam przez lata naszego nudnego, nieudanego małżeństwa. Teraz w progu stoi nieźle ostrzyżony, dobrze zbudowany i opalony facet w średnim wieku. Styl ubierania też zmienił. Nie nosi już dresu, jak to miał w zwyczaju. Ma na sobie elegancką prążkowaną koszulę i dżinsy, nieźle pachnie i sprawia wrażenie zadowolonego z życia.

– Przyjechałeś po latach i kradniesz mi córkę? – pytam ostro, kiedy Sylwia przenosi walizkę do korytarza.

– Gdybyś nie wepchnęła naszej siedemnastolatki w sam środek tych swoich łgarstw, nie musiałaby się wyprowadzać. – Tomasz uśmiecha się krzywo i taksuje mnie wzrokiem.

Wyraźnie nie spodobało mu się, to co widzi. Nic zresztą dziwnego, ostatnio wyglądam naprawdę chujowo i tak samo się czuję...

– Chciałam dla nas zarobić, odmienić nasze życie – bronię się.

– Zrobiłaś z niej idiotkę! Z własnej córki! – zarzuca mi były mąż. – Pośmiewisko w okolicy i główną aktorkę swojego debilnego erotyczno-obyczajowego teatrzyku! Wytykają ją palcami w szkole, nie rozumiesz?! Szepczą po kątach na jej widok, wyszydzają! Ty jej to zrobiłaś! – zarzuca mi Tomek, a ja blednę i spoglądam na stojącą w milczeniu Sylwię.

– To prawda? Czemu nic mi nie powiedziałaś? – zwracam się do niej, a ona wzrusza ramionami.

– Po co? Przecież do ciebie i tak nic nie dociera! Potrafisz tylko się nad sobą uzalać! – wyrzuca mi Sylwia, zanim zdejmuje z wieszaka swoją ulubioną kurtkę ze sztucznej skóry, rzuca krótkie: „Dbaj o siebie” i wychodzi z mieszkania, zostawiając ojcu walizkę i dwie mniejsze torby ze swoimi rzeczami.

– Do następnego – rzuca oschle Tomasz i z bagażem Sylwii wychodzi na klatkę.

Kiedy zostaję sama, robię sobie mocnego drinka i wybucham płaczem.

Sylwia mnie zdradziła, ona też... Opuściła, podeptała moje uczucia, odwróciła się ode mnie. Dołuję się, pijąc w samotności wódkę z colą.

Ale dopiero wieczorem dzieje się coś, co do reszty psuje mi nastrój – Sylwia umieszcza na Facebooku filmik, w którym wybiela Konrada.

„Mamo, przepraszam cię za to, co teraz robię, ale nie mogę tak kłamać. To, co napisałaś w sieci kilka dni temu, wszystko to było kłamstwem. Konrad Keller nigdy mnie nie molestował ani w żaden sposób nie zachowywał się wobec mnie niestosownie. Podwiózł mnie tamtego wieczoru, bo padało. Chciał być uprzejmy, to cała jego wina. Oskarżyłaś go o te wszystkie ohydztwa, żeby go szantażować. Chciałaś

od niego wyłudzić pół miliona złotych, więc skłamałaś. Jest mi przykro, że zrobiłaś coś takiego jemu i mnie. Bo oboje jesteśmy ofiarami twoich gier” – mówi moja córka.

Jej słowa są zaskakująco wyważone, sama ich nie wymyśliła. Idę o zakład, że to on, narzeczony Anny, podsunął jej, co ma mówić!

Na myśl o tym, że moja jedyna córka odwróciła się ode mnie i poszła na spotkanie z tym snobem, robi mi się słabo...

Jak mogła tak mnie zdradzić? Płaczę, obserwując reakcje naszych wspólnych znajomych i sąsiadów pojawiające się pod jej filmikiem.

„Ale numer, serio?” – komentuje jedna z koleżanek Sylwii.

„Twoja stara ma jaja!” – pisze Arek, jej kolega z klasy, który czasem u nas bywa.

„Tak trzeba żyć, twoja mamuśka prawie rozbiła bank!” – to słowa jakiejś Jagny Be, która dodaje do nich kilka roześmianych emotek.

Wśród znajomych Sylwii filmik rodzi głównie rozbawienie i szczeniackie reakcje, ale kiedy Konrad udostępnia go u siebie, ludzie piszą znacznie poważniejsze rzeczy, głównie współczują mu tego, że padł ofiarą tak ohydneho zagrania. Widzę to wszystko, bo ciągle jesteśmy znajomymi. Nie wyrzucił mnie z grona znajomych, ja również go nie usunęłam. Być może po tym, co się stało, oboje chcieliśmy móc się wzajemnie obserwować?

„Dziękuję Ci za to, że powiedziałaś prawdę, Sylwio” – komentarz Anny jest jednym z pierwszych – oznaczyła w nim profil mojej córki, która na jej słowa zareagowała serduszkami i odpisała: „Kłamstwa są złe”.

Wychowałam frajerkę, myślę, czując, jak zalewa mnie fala wściekłości. Gdyby była cwana, twarda i lojalna wobec matki, być może na dniach przytuliłybyśmy pół miliona! Ale ona nie chciała mi pomóc. Dociera to do mnie i ocieram głupie łzy.

Zostałam sama, myślę. Zawsze jestem sama, jak pies... Nawet Sylwia mnie zdradziła, własna córka...

– Kurwa mać! – wrzeszczę i ciskam kieliszkiem w ścianę.

Szkło roztrzaskuje się na dziesiątki drobnych kawałków, a ja zalewam się łzami.

Pieprzony świat! Taki cholernie niesprawiedliwy!

**26**  
**ANNA**

Jakiś tydzień od dnia, w którym Iwona oskarżyła Konrada o molestowanie Sylwii, moja córka usiłuje popełnić samobójstwo. Łyka leki z naszej apteczki i popija je alkoholem. Całe szczęście szybko panikuje i dzwoni do Aleksandra, a amator małych cycków, którego nigdy jakoś szczególnie nie lubiłam, ma tyle rozsądku, żeby wezwać karetkę, a później przyjechać do nas taksówką i zmusić Martynę do zwymiotowania tego, co zażyła, jeszcze zanim dotrze pomoc, za co zawsze będę mu wdzięczna.

– Czemu to zrobiłaś? – pytam ją, kiedy już bezpieczna, pod opieką lekarzy, leży w eleganckiej prywatnej klinice pod lasem, z której usług od lat korzysta Konrad.

– Mówili, że sypiam z przyszłym ojczymem. Śmiali się ze mnie w szkole, pytali, czy ja też daję dupy tatuśkowi. Ludzie widzieli aferę na Facebooku i dorobili sobie swoje własne prawdy – szepcze Martyna, kiedy gładzę jej drobną, szczupłą dłoń.

Moja córeczka... Niedawno była dzieckiem, a dziś świat się o nią upomniał, wyrzygując na nią całe swoje plugastwo.

– Czemu nie przysłaś z tym do mnie? – pytam. – Czemu o niczym mi nie powiedziałaś? Zrobiłabym aferę, poszłabym do dyrekcji, a twoje koleżanki musiałyby cię przeprosić i poniosłyby konsekwencje. Trzeba brać odpowiedzialność za swoje słowa, rozumiesz? Nie można bezkarnie zniesławiać i opluwać drugiego człowieka. Czemu milczałaś, córciu? – dodaję łamiącym się głosem, z trudem panując nad łzami.

– Nie wiem, chciałam po prostu zniknąć. To wszystko jest takie obrzydliwe, mamuś. Konrad to fajny facet, lubię go. Jak ludzie mogą

mówić takie rzeczy? – W przeciwieństwie do mnie Martyna otwarcie płacze, a łzy na jej policzkach sprawiają, że mam ochotę wyć z bólu i bezsilności.

Pieprzona Iwona, podła, chora idiotka! Gdyby nie refleks Aleksandra i to, że moja córka spanikowała i wezwała pomoc, mogłam nawet ją stracić. I przez co?! Przez te jej wyssane z palca łgarstwa! Jestem na nią taka wściekła, że gdybym teraz ją dorwała, urwałabym jej nogi przy samej dupie! Jak ja w ogóle mogłam kiedyś się z nią przyjaźnić?! Ta baba jest tak rąbnięta, że powinni o niej kręcić thrillery. Krzywię się na wspomnienie dawnej koleżanki.

Całe szczęście wszystko kończy się dobrze, a Martyna dwa dni później jest już w domu.

– Przetrwamy to wszystko – obiecuję jej, kiedy siedzimy w oranżerii, tej samej, w której kilka tygodni temu gościłam Iwonę i Sylwię, te dwie zdradzieckie żmije. – Kochamy się, mamy w sobie wsparcie, to jest najważniejsze – mówię, gładząc ją po policzku. – Jesteś dla mnie wszystkim, małeńka – dodaję, a Martyna posyła mi błądy uśmiech.

– Dzięki, mamuś. Też cię kocham – mówi.

Kiedy wraca Konrad, jemy razem kolację. Gotuje on, podaje polędwiczki i pieczone ziemniaki, które wszyscy lubimy. Młoda je niewiele, lekarze doradzali jej dietę, wciąż dochodzi do siebie, nie ma apetytu. Mój narzeczony jest zaś w doskonałym nastroju, co nieco mnie dziwi.

– Wydajesz się dziś wyjątkowo zadowolony – zauważam. – Stało się coś szczególnego?

– Nie, właściwie nie – odpowiada, nie wdając się w szczegóły. – Cieszę się, że jesteś już w domu – zwraca się do Martyny, która posyła mu uśmiech, ale nic nie mówi.

Dzień później wyjeżdża do Warszawy, potem leci do Sztokholmu, wraca, przepakowuje się i oznajmia, że musi jeszcze zahaczyć o Mediolan.

Częstotliwość jego podróży nieco mnie zaskakuje. Owszem, odkąd jesteśmy razem, wiele razy wyjeżdżał, ale nie aż tak często. Zawsze



podkreślał, że nie znosi spać w hotelach, a teraz nagle miota się po całej Europie? – dziwię się.

– Po co ty właściwie lecisz do tych Włoch? – pytam go, kiedy czeka na zamówioną taryfę, która ma go dowieźć na lotnisko.

– W interesach, a po cóż by innego? – odpowiada, jednak nie zdradza szczegółów.

Z Mediolanu nie dzwoni. Wysyła tylko dwa zdawkowe esemesy, żadnego zdjęcia miasta ani wyrazów tęsknoty.

On kłamie, myślę coraz częściej.

I nagle dociera do mnie, że mój narzeczony od jakiegoś czasu mnie unika...

Od afery z tą gówniarą Sylwią musiało minąć kilka tygodni, żebym zdała sobie sprawę, że coś się pomiędzy mną a Konradem zmieniło, ale w końcu to sobie uświadamiam. Początkowo to tylko moja kobieca intuicja mówi mi, że coś jest nie tak, ale z czasem nawet trudne do uchwycenia drobnostki składają się na klarowny obraz sytuacji – w moim narzeczonym zaszła jakaś zmiana. Zaczęło się od jego ciągłych, zaskakująco częstych wyjazdów, później doszła sprawa pleców. Jego, nie moich. Któregoś wieczoru, jakieś cztery tygodnie po tym, jak córka Iwony odszczekała na Facebooku kłamstwa swojej chorej mamuski, Konrad oznajmił mi, że bołą go plecy i wolałby spać w pokoju gościnnym.

– Jutro wcześniej wstaję, będzie lepiej, jeśli zdrzemnę się tam – tłumaczy.

Po chwili, z poduszką i kołdrą w rękach wychodzi z naszej wspólnej sypialni.

Noc spędza w jednym z pokoi na parterze, ale chociaż mija kolejny dzień, drugi i trzeci, nie wraca do mnie na górę.

„Tęsknię za Tobą” – czwartego wieczoru wysyłam mu esemesa, na którego długo nie odpisuje.

Wybieram więc jego numer, ale jest zajęty...

Z kim rozmawia kilka minut przed północą? – dziwię się.

A później wstaję i boso, stąpając na palcach, schodzę na dół, by podejść pod drzwi pokoju, w którym ostatnio sypia. Są masywne, z drewna, więc niewiele słyszę, kiedy jednak sterczę w ciemnym korytarzu i podsłuchuję, dociera do mnie jego śmiech.

Z kim rozmawia o tej porze? – zastanawiam się, przygryzając wargę. Brzmi tak, jakby po drugiej stronie była kobieta – świetnie znam jego flirciarski, kozacki ton, którym ma zwyczaj bajerować laski.

A jeśli on ma romans? – myślę, nerwowo przekręcając na palcu pierścionek zaręczynowy. Przecież temat naszego ślubu też nagle odstawił na bok, nie podejmuje go, stracił zainteresowanie. Ba, mam wrażenie, że wręcz go unika. Poznał inną kobietę? Ale kogo? – głowię się, bliska łez.

Później jest kilka kolejnych dni milczenia. Konrad prawie ze mną nie rozmawia, wymawia się pracą, długie godziny spędza w biurze bądź w pokoju na parterze, gdzie ma gabinet. Przestaliśmy wychodzić na wspólne kolacje, nie zabiera mnie już do restauracji, nie obsypuje drobnymi prezencikami.

Co gorsza, przestał mnie pożądać. Jeszcze do niedawna nie potrafił oderwać ode mnie wzroku, rąk i ust, teraz dosłownie czmycha na mój widok, ucieka w odległe zakątki tej wymuskaney rezydencji, która nagle jawi mi się niczym pełna zakamarków niezdożyta twierdza, w której on się przede mną ukrywa...

– Konrad, coś się stało? Masz jakieś problemy? – pytam go któregoś wieczoru, a on niechętnie odrywa wzrok od trzymanej w ręku komórki, w którą wpatruje się niczym jakiś nastoletni gówniarz. – Unikasz mnie czy mi się wydaje? – nurtuję.

– Wydaje ci się – mruczy, ale nawet na mnie nie patrzy.

– Masz romans? – rzucam więc, pewna, że on wybuchnie śmiechem i mnie przytuli, ale nie dzieje się nic takiego.

Wręcz przeciwnie. Konrad odkłada w końcu telefon, patrzy mi w oczy i mówi coś, co sprawia, że uginają się pode mną nogi.

– Przepraszam cię, Aniu. Dawno powinniśmy porozmawiać, ale nie umiałem zebrać się na odwagę – zaczyna.

– Nie! – krzyczę, zasłaniając uszy dłońmi. – Nie, Konrad, proszę cię, nie! – Zaczynam płakać, bo przecież wiem już, co usłyszę.

On kogoś ma, nie myliłam się. I to musi być coś poważnego, w przeciwnym wypadku nie przestałby ze mną sypiać...

– Proszę, nie łam mi serca. – Łkam, a on podchodzi do mnie i całuje mnie w czoło.

– Nie chciałem tego, przysięgam – mówi cicho, w oczach ma łzy. – Kochałem cię, wciąż na swój sposób kocham, ale ona...

– Kto?! Konrad, kto?! – krzyczę i rzucam się na niego z pięściami. – Czego mi brakuje, że musiałeś znaleźć sobie inną? Kilka miesięcy przed naszym ślubem? Poważnie?!

– Zakochałem się – przyznaje, a jego brutalna szczerłość wstrząsa mną tak, że z trudem mogę oddychać.

– Boże, nie... – Opadam na sofę, to cudo dostarczone jakiś czas temu aż z Mediolanu, na którym jeszcze kilka tygodni wcześniej sączyliśmy wieczorem drinki, i kryję twarz w dłoniach. – To ktoś z twojej pracy? – pytam cicho. – Ta młoda blond architektka, z którą pracujesz nad niemieckim projektem? Konrad, kto to jest?! – wrzeszczę.

Teraz nie mam w sobie nic z damy... Moje rysy wykrzywia wściekłość, żyłka na skroni pulsuje, dłonie mam zaciśnięte w pięści – w tym szale, jaki mnie ogarnął, najchętniej plułabym, kopała i gryzła.

– Musimy odwołać ślub. Koszty biorę oczywiście na siebie, tym się nie przejmuj – mówi on.

– Ty sukinsynie! – Daję narzeczonemu w twarz i boleśnie rozcinam mu wargę.

Po jego policzkach płyną łzy, oboje jesteśmy smutni, kłębią się w nas emocje.

– Jak długo to trwa? – pytam. – I kogo pieprzysz za moimi plecami?!

– Nie pieprzymy się. Po prostu ją kocham i chcę z nią być – odpowiada, a ja wybucham śmiechem.

– Nie spałeś z nią i chcesz mnie zostawić? – szydę, zaskoczona jego wyznaniem. – Bierzesz kota w worku? Serio? Ty?

– Ona jest jeszcze młodziutka – tłumaczy.

I nagle do mnie dociera. Już wiem, o kogo chodzi...

– To ta mała kurewka – rzucam, blednąc. – Córka Iwony.

– Tak, to Sylwia. I nie mów tak o niej. To miła i słodka dziewczyna.

– Kurwa, nie wierzę! – klnę.

Ostatnio przeklinam coraz częściej, chociaż jeszcze niedawno nie tolerowałam tego ani u siebie, ani u innych...

– Konrad, powiedz, że żartujesz! Nie chcesz chyba odwołać ślubu, bo rzuciła ci się na mózg ta cycata mała?! Siedemnastolatka?! – Śmieję się tak, że z oczu płyną mi łzy, ale to tylko poza, bo w środku cała drzę, jestem jedną wielką krwawiącą raną...

– Ona za kilka miesięcy skończy osiemnaście lat. Wtedy chcemy się pobrać.

– Nie zostawisz mnie dla niej, słyszysz?! Nie upokorzysz mnie w taki sposób przed Iwoną! Kurwa, ożenisz się ze mną, nie z nią, Konrad! – wrzeszczę.

Później znowu okładam go pięściami, dopóki on nie łapie mnie za nadgarstki i nie pacyfikuje.

– Przepraszam, Aneczko – powtarza tyle razy, że tracę rachubę. – Nie chciałem cię zranić, po prostu tak wyszło...

– Jak to się stało? – pytam, kiedy już udaje mi się uspokoić na tyle, żeby móc normalnie z nim rozmawiać. – Tylko na tym ci zależy? Na młodej dupie? A co z naszą miłością, z tymi wszystkimi pięknymi słowami, którymi mnie karmiłeś?!

– Kochałem cię, nie kłamałem. Ale Sylwia... Jej świeżość, niewinność i bezbronność wyzwoliły we mnie uczucia, których nie byłem nawet świadom. Mógłbym dla niej wszystko, rozumiesz? Chcę się nią opiekować, pokazać jej świat, otworzyć przed nią nowe możliwości. Ta miłość mnie obezwładnia, potrafię myśleć tylko o niej, pragnę jej tak, jak jeszcze nigdy nie pragnąłem żadnej kobiety, przy niej czuję się młody i niezwyciężony, góry mógłbym przenosić – mówi mój narzeczony, a ja kulę się w ramionach, bo do tej pory nie czułam się aż tak przegrana.

– Pytałam, jak to się stało? – przypominam mu.

– Poprosiłem ją, żeby zdementowała kłamstwa swojej matki, jak wiesz. Byłem tak zdesperowany, że gdybym musiał, siłą wsadziłbym ją do samochodu, wywiózł gdzieś i zmusił do odszczekania tych bzdur, ale ona okazała się zaskakująco chętna do współpracy. Współczuła mi i naprawdę wstydziła się za matkę. Bez problemu zgodziła się na spotkanie, nagrała filmik, a później rozmawialiśmy. Długo, prawie do czwartej nad ranem. Najpierw w domu znajomego, którego akurat nie ma w kraju, później w knajpie nad wodą, w końcu w moim samochodzie. I z każdą spędzoną w jej towarzystwie minutą zaczynałem rozumieć, że byłem w błędzie, myśląc, że jestem szczęśliwy. Dopiero tamta noc... Przepraszam, nie powinienem ci tego wszystkiego mówić, nie chcę cię zranić. – Konrad nagle urywa, a ja gorzko się śmieję.

– Na to już chyba za późno, nie sądzisz? – parskam.

– Kupię ci mieszkanie, Aniu. Pomogę stanąć na nogi finansowo, rozkręcić własny biznes. Ja...

– Nie chcę od ciebie nawet grosza! – rzucam mu w twarz. – Myślisz, że możesz żywcem wyrwać mi serce, a później tak po prostu mnie spłacić?! Że wykopiesz mnie stąd, z domu, który zdążyłam już pokochać i rzucisz mi jakieś ochłapy, jak bezpańskiemu psu?!

– Więc czego chcesz? Co mogę ci dać, żeby zadośćuczynić krzywdę? Co mogę...

– Siebie – mówię cicho, czując się w tym momencie tak bardzo żałosna.

Stoję przed mężczyzną, który jeszcze niedawno mówił, że mnie kocha, i żebrzę o miłość... Nie sądziłam, że kiedykolwiek upadnę tak nisko, ale stało się...

– Kocham cię, Konrad. Proszę, nie zostawiaj mnie – błagam go, ale w jego oczach widzę tylko litość, nic więcej.

– Przykro mi, ale między nami to koniec – mówi. – Będę ci bardzo wdzięczny, jeśli wkrótce się wyprowadzisz. Gdybyś chciała, mój dobry znajomy pomoże ci szukać lokum, ale...

– Spierdalaj, Konrad! – rzucam mu w twarz. – Jesteś próżnym, narcystycznym chujem, któremu tylko się wydaje, że wie, co to prawdziwa miłość!

– Nawet jeśli, to jestem całkiem szczęśliwy w tej swojej iluzji – odpowiada ze złośliwym uśmiechem. – Anka, mówiłem poważnie. Kupię ci mieszkanie, pomogę finansowo, chcę, żebyś...

– Powiedziałam już, nie chcę od ciebie niczego! Wsadź sobie swoją kasę tak głęboko w dupę, jak tylko zdołasz!

– I gdzie pójdziesz? – pyta.

– To już chyba nie twój problem?!

– Pomyślałaś o Martynie? Znowu będziecie mieszkać w jakiejś wynajętej norze? Tego chcesz dla swojej córki?

– O moją córkę się nie martw! – syczę. – Radziłyśmy sobie bez ciebie przedtem, poradzimy sobie i teraz! Żałuję tylko, że cię posłuchałam i rzuciłam pracę w galerii! Teraz znowu będę musiała szukać czegoś nowego.

– Nie zwalaj tego na mnie, okej? Rzuciłaś pracę w galerii, bo tak ci było wygodnie – mówi Konrad, zanim zostawia mnie samą w pokoju.

Kiedy wychodzi, wybucham płaczem. Ciężko mi uwierzyć w to, co właśnie usłyszałam. Boli mnie złamane serce, ale najbardziej upokarza myśl, że on zastąpił mnie tą głupiutką smarkulą! Sądziłam, że łączy nas coś wyjątkowego. Uczelniana znajomość po latach zamieniła się w dojrzałą miłość. Wierzyłam, że nasze małżeństwo będzie udane, że spędzę z nim resztę życia, że łączy nas nie tylko seks. A on, choć jest w moim wieku, okazał się niedojrzałym smarkaczem, który wciąż myśli wyłącznie kutasem! Siedemnastolatka! Kurwa, poważnie?!

Nagle myślę o Iwonie. O jej satysfakcji na myśl, że to jej córka wywała mnie z mojego domu. Płaczę, nie potrafiąc się uspokoić. Kiedy się wyniosę, on sprowadzi tu tę gówniarę i to ona zostanie panią tego miejsca. Przejmie oranżerię, pływalnię, wszystkie sypialnie, które przez ostatnie miesiące tak starannie dopieszczałam, i moje miejsce u boku Konrada. Ukradnie mi życie, które zbudowałam. Pieprzona

uzurpatorka, krzywię się, wyobrażając sobie triumfującą Iwonę składającą niedzielne wizyty swojej córce. Tak, dzięki temu, że smarkuła złapała Konrada, to właśnie Iwona będzie tu bywać w weekendy. Zdaję sobie z tego sprawę i czuję palący gniew.

– Dziwka – syczę, a nienawiść do dawnej koleżanki dosłownie rozsadza mi czaszkę.

Odebrała mi wszystko...

Wyprowadzam się kilka dni później. Udaje mi się znaleźć mieszkanie kilka przecznic od ratusza i urzędu miasta, przy cichej ślepej uliczce, z widokiem na rozległy park. Jest raczej brzydkie i dawno nieodnawiane, ale ma duży balkon, a w kamienicy mieszkają tylko trzy starsze małżeństwa i dwie spokojne staruszki na parterze. Żadnych ujadających psów, żadnej zapitej patologii, co przyjmuję z ulgą.

Martyna jest cicha i wyraźnie przygaszona. Lojalnie pomaga mi w przeprowadzce, chodzi na spotkania z psychologiem, które jej załatwiłam, i godzi się z losem, nie robiąc mi wyrzutów, ale widzę, że po raz kolejny straciła grunt pod nogami.

– Wszystko będzie dobrze, mała – powtarzam jej, kiedy rozpakowuje swoje rzeczy.

– Wiem. Za kilka miesięcy mam maturę, później wyjeżdżam do Krakowa, znikam – odpowiada.

Niepokoi mnie określenie „znikam”, którego użyła. Martwię się o nią, ale postanawiam, że to może poczekać. Póki co muszę zrobić większe zakupy, ogarnąć mieszkanie i postarać się stworzyć córce nowy dom.

– Wolisz storczyk czy kaktusy? – pytam.

– Nie wiem, wali mnie to.

– Daj spokój, zastawów się. Chciałam kupić kwiaty na parapet, ożywić jakoś to mieszkanie, może nawet...

– Nie wywalaj kasy w błoto, mamuś. Bo coś mi mówi, że przed nami chude lata – wchodzi mi w słowo młoda.

– Bez przesady, na kwiaty jeszcze mnie stać – obruszam się, a ona wzrusza ramionami.

– Rób, co chcesz w takim razie. I wolę kaktusy.

– Dobrze. – Uśmiecham się do niej.

Kolację jemy we dwie. Kuchnia jest brzydka, umeblowana po babcinemu, ale przynajmniej w miarę czysta. W oknie wiszą krótkie koronkowe firanki. Są śnieżnobiałe, więc zakładam, że właścicielka lokalu postarała się nieco go upiększyć przed wynajęciem.

– Mamuś? – odzywa się nagle Martyna i odkłada widelec, którym maczała w musztardzie parówkę.

– Tak? – pytam, posyłając jej blady uśmiech.

– Podśluchałam niedawno telefoniczną rozmowę Konrada i chyba wiem, w kim on się zakochał. Chodzi o tę dziewczynę, prawda? Córkę twojej koleżanki z Koniczynki.

– Tak, chodzi o Sylwię – przyznaję niechętnie, czując wzbierające pod powiekami łzy.

Siedząc naprzeciwko córki w tej kuchni, która wygląda tak odmiennie od przestronnego, eleganckiego wnętrza, gdzie jadałyśmy jeszcze niedawno, bardzo chcę być silna, ale nagle dosłownie się rozsypuję.

– Przepraszam, rozkleiłam się. – Szlocham, a młoda wstaje od stołu, staje za moim krzesłem i obejmuje mnie ramionami.

– Konrad okazał się idiotą, mamuś. Nie płacz, szkoda twoich łez. Pomyśl, jaka to żenada, zostawić kobietę, z którą miało się wziąć ślub, dla nastolatki. Przecież to jest, kurwa, obciach stulecia. Czy faceci naprawdę muszą myśleć wyłącznie chujami?

– Nie bądź wulgarna. – Wzdrygam się. – I nie wszyscy faceci myślą wyłącznie chujami – pocieszam ją, bo jednak, mimo tego, co właśnie przeżyłam, nie mam zamiaru zatruwać jej umysłu i serca.

Chcę, żeby nadal potrafiła ufać mężczyznom.

– Konrad myśli chujem – upiera się młoda.

– Konrad to Konrad. Inni to inni. Jest mnóstwo wartościowych facetów, uwierz mi.



- Jasne, jasne. Chyba w Romance TV – kpi.
- Są. I kiedyś takiego spotkasz – zapewniam ją.
- Tak i będę z nim szczęśliwa, dopóki nie dojrnę do czterdziestki, a on nie wymieni mnie na młodszy model.
- Nie wszystkie małżeństwa kończą się w ten sposób – mówię, chociaż przecież moje małżeństwo zakończyło się przez zdradę Macieja, a teraz jeszcze ta koszmarna sytuacja z Konradem...
- Bycie kobietą jest do bani. Chyba że oleje się facetów, wtedy może być okej. – Córka całuje mnie w czubek głowy i z powrotem siada za stołem. – Czyli znowu jesteśmy biedne? – rzuca i nagle, zupełnie niespodziewanie, obie parskamy śmiechem.
- Na to wygląda – mówię, a ona zabiera się do skończenia niedojedzonej parówki.
- Spoko. I tak nie polubiłam kawioru, a w tej całej rezydencji można było dostać ataku padaczki od samego patrzenia na te świecące żyrandole. Jak stroboskop, kurwa – klnie, zanim sięga po keczup. – Poradzimy sobie, mamuś. Zawsze sobie radzimy – pociesza mnie, a ja ocieram łzy i posyłam jej uśmiech.
- To prawda, maleńka. Zawsze sobie radzimy – zgadzam się z moją jedynaczką.

Wieczorem, leżąc samotnie na niewygodnej wersalce, nagle myślę o Iwonie. Jej zawiść o urodę innych kobiet zawsze wydawała mi się niemal komiczna, ale kiedy oblepiona ciemnością leżę w tej wciąż obcej dla mnie sypialni, dociera do mnie, że może dawna koleżanka miała trochę racji? Zawsze byłam piękna, dzięki czemu żyło mi się całkiem wygodnie i komfortowo. Jednak piękno ma to do siebie, że wędnie, poddaje się upływowi czasu, potrafi się opatrzeć i znudzić. Wciąż widzę w lustrze atrakcyjną kobietę, ale w życiu mojego narzeczonego pojawiła się rywalka równie ponętna i znacznie ode mnie młodsza. Sylwia. Moja uroda otwierała mi jak dotąd wiele drzwi, ale wszechświat jest pełen pociągających twarzy. Przez jakiś czas wygrywałam wszystkie starcia, w końcu jednak w drodze do szczęścia pokonała mnie dziewczyna, której niekwestionowanym atutem jest

młodość. Smarkula w wieku mojej córki, myślę, a moje łzy wsiąkają w pachnącą tanim proszkiem do prania poszewkę poduszki. Zasypiam dopiero nad ranem.

Koło ósmej jestem już jednak na nogach. Parzę kawę i przeglądam oferty pracy, bo nie chcę tracić czasu. Poradzę sobie, myślę i w końcu nawet lekko się uśmiecham. Przecież zawsze sobie radzę.

**27**  
**IWONA**

Ostatnio świat jakby zwolnił, czas wlecze się w nieskończoność, ciągnie... Dni zlewają mi się w tygodnie, tygodnie w miesiące. Sylwia czasem wpada do mnie z wizytą, ale chyba wciąż ma żal o to, co zrobiłam Konradowi, chociaż to przecież dzięki mnie ma wszystko, czego ja nigdy mieć nie będę – bogatego faceta z podmiejską rezydencją i komfortowy status jego młodej żony. Dzięki mnie i swojej urodzie, doprecyzowuję w myślach i lekko się krzywię. Tak, córce też zazdroszczę wyglądu. Przecież to dzięki niemu żyje wygodnie, nie mając nawet matury, do której nie podeszła.

Jest za to w ciąży, w szóstym miesiącu, ale źle ją znosi. Fatalnie się czuje, spuchła i ciągle jest poirytowana.

Tego popołudnia też się u mnie pojawiła, chociaż ostatnio chyba obie wolałybyśmy przez jakiś czas od siebie odpocząć...

– To co tam słyhać? – pytam ją bez większego zainteresowania, a ona wzrusza ramionami i siada za stołem.

– Głodna jestem – mówi, więc odgrzewam jej resztkę gulaszu, który planowałam zjeść na kolację, i stawiam przed nią talerz.

Nie dziękuje, bo przecież jej wszystko zawsze się należało. Łapie tylko za widelec i zjada kilka kęsów, ale szybko traci apetyt.

– Wykończy mnie ten dzieciak, ciągle źle się czuję – skarży się.

– Przykro mi – mówię, chociaż trochę mnie irytują jej ciągłe żale.

Ja, będąc w szóstym miesiącu z nią, dosłownie kwitłam. Czułam się wspaniale i tak samo wyglądałam. No ale ona to ona...

– Co tam u twojego męża? – pytam, a ona się krzywi.

– Chcesz wiedzieć? To ci powiem! Zdradza mnie z jakąś barmanką! No ale przecież to się nie liczy, prawda? Grunt, że mam kasę, piękny

dom i z pozoru idealne życie. Takie, o jakim ty zawsze tylko marzyłaś!

– Więc to moja wina? – pytam cicho.

– A czyja?! – wrzeszczy Sylwia.

– Chcesz powiedzieć, że jesteś nieszczęśliwa? – pytam kąśliwym tonem, bo naprawdę ciężko mi w to uwierzyć.

Smarkula mieszka w rezydencji, do kurwy nędzy! I jeszcze jej mało?!

– Szczęśliwa na pewno nie jestem, tak to ujmę. A Konrad okazał się kimś zupełnie innym niż na początku naszej znajomości. On jest tak niedojrzały, że nawet kilku moich kumpli z dawnej klasy maturalnej ma lepiej poukładane w głowach. To narcyz, egoista, dupek i kurwiarz! Odkąd zaszłam w ciążę, zaliczył chyba z osiem panienek, jeśli nie więcej. Wierny był mi tylko przez jakieś cztery miesiące pierwszego zauroczenia – wyznaje Sylwia i zaczyna płakać.

Przytulam ją, ale nie potrafię jej współczuć. Nie rozumie, ile ma szczęścia, nie potrafi dobrze ocenić sytuacji.

– Nawet jeśli on czasem chodzi na boki, to ty masz dom, bezpieczne życie u jego boku i kasę – pocieszam ją.

– Siedzę w tym domu sama jak pies! Całymi dniami! A on albo się kurwi, albo lata po Europie w interesach! Na początku zabierał mnie ze sobą, nie powiem. Paryż, Mediolan, Hamburg, latało się. Ale od paru miesięcy po prostu tkwię zamknięta w tym pieprzonym pałacu jak jakaś arabska księżniczka. Prawie niewolnica!

– Niewolnica! – parskam, bo ostatnio ciągle jestem rozdrażniona.

Monopolowy padł i pozostawało mi jedynie przyjąć pracę w osiedlowym dyskoncie spożywczym, gdzie muszę być co rano przed szóstą. Niewolnicą to jestem ja!

– No tak się czuję! – broni się Sylwia, rozeźlona, że jej nie rozumiem.

– Idź do pracy w handlu, to zobaczysz, czym jest współczesne niewolnictwo – burczę. – I pomyśleć, że kiedyś narzekałam na Koniczynkę...

– Ja nie muszę pracować. Mam bogatego męża. – Moja córka posyła mi triumfalny uśmiezek, wstaje i rusza do drzwi. – Jak zawsze miło było cię widzieć, mamusiu – dodaje z kpiną w głosie i wychodzi.

– W dupie się smarkuli poprzewracało – warczę pod nosem, zbierając ze stołu talerz z niedojedzonym przez nią gulaszem, który po chwili wahania dojadam za nią.

Kilka dni później mam wolny dzień, który postanawiam spędzić gdzieś w mieście. Jem lody przy rynku, kręcę się po parku, w końcu zachodzę do taniej fryzjerki, która robi mi odrost, a wracając od niej, skręcam w jedną z ulic, którymi prawie nigdy nie chodzę. Duży sklep z tanią odzieżą dostrzegam chwilę później. Według informacji w witrynie towar był wymieniany cztery dni temu, więc pewnie nie uda mi się zdobyć żadnych cudów, ale i tak wchodzę do środka.

Ubrań jest mnóstwo, a lokal zaskakująco przestronny – niekończące się rzędy metalowych wieszaków ciągną się wzdłuż sklepu, a kobiety buszują pomiędzy nimi. Pachnie potem i tanimi perfumami, wśród których rozpoznaję również zapach sprzedawany kiedyś w Koniczynie. Biorę dla siebie białe rybaczki, błękitny sweter i dwie sukienki. Są niedrogie i w całkiem niezłym stanie, więc bez wahania pakuję wszystko do koszyka i ruszam, żeby zapłacić.

I wtedy ją zauważam.

Annę.

Stoi za kasą, zajęta inną klientką. Nie widzi mnie, akurat odlicza pieniądze. Wygląda ładnie, ale nie tak zabójczo pięknie jak kiedyś. Przede wszystkim obcięła włosy – jej grube, ciemne pukle, które swego czasu sięgały do połowy pleców, są teraz przycięte do ramion i wyprostowane. Makijażu prawie nie ma, lekko przeciągnęła błyszczkiem tylko usta. Paznokcie, które zazwyczaj malowała na czerwono bądź pomarańczowo, teraz są krótko obcięte i nawet niemuśnięte lakierem. A jednak nadal ma to coś. Jej twarz przyciąga wzrok, jak zawsze.

Dostrzega mnie dopiero, kiedy unosi głowę, żeby wziąć ode mnie wybrane ciuchy.

W moich oczach musiała zauważyć zaskoczenie, może nawet szok, więc tylko wzrusza ramionami i rzuca cicho: „Nie mogłam znaleźć

niczego lepszego”, bo przecież musi zdawać sobie sprawę, że tu też nie pasuje, jak wcześniej do Koniczynki...

– Nie wiedziałam, że tu pracujesz – mówię cicho.

– A gdybyś wiedziała, omijałabyś to miejsce szerokim łukiem czy może zaczęłabyś mi się narzucać, jak to miałaś w zwyczaju? – pyta.

Jesteśmy przy kasie same, inne kobiety wciąż grzebią w tonach posortowanych tanich ciuchów, których specyficzny zapaszek zaczyna mnie przyprawiać o mdłości.

– Nigdy ci się nie narzucałam – bronię się, a ona wybucha perlistym śmiechem.

– Trzydzieści osiem złotych – podaje cenę wybranych przeze mnie ubrań i odwraca wzrok, nie chcąc nawet na mnie patrzeć.

– Posłuchaj, żałuję tego, co zrobiłam – mówię, zanim wyjmuję z torebki portmonetkę. – Zniszczyłam naszą przyjaźń, zabrałam ci życie, ale...

– Zamknij się! – ucisza mnie.

Na jej twarzy widzę złość, żal i wiele innych emocji. Czytam w niej jak w otwartej księdze.

– Po prostu się zamknij i spieprzaj stąd w podskokach! – syczy.

Podaję jej więc pieniądze i trzęsącymi się rękoma pakuję ciuchy do plastikowej torby w kwiaty, którą dokupiłam.

– Nie wracaj tu więcej – mówi tytułem pożegnania.

– To miejsce publiczne, każdy ma prawo wejść – cedzę, bo nie podoba mi się to, że tak otwarcie mnie wygania. – A ja bardzo lubię tanie ciuchy – dodaję, zanim ruszam do wyjścia.

Anna nie odpowiada.

Odprowadza mnie za to wzrokiem, bo dosłownie czuję na plecach jej spojrzenie.

Po wyjściu ze sklepu opadam na jedną z ławek na pobliskim skwerku. Trzęsą mi się dłonie, gardło mam zaciśnięte i chce mi się płakać. Widok Anny wstrząsnął mną bardziej, niż myślałam. Nasza przyjaźń jest skończona, przestałam już nawet za nią tęsknić i nagle znowu wszystko wróciło... Przez chwilę mam ochotę wrócić do sklepu

z tanią odzieżą, przytulić dawną przyjaciółkę i błagać ją o wybaczenie, ale wiem, że taki gest tylko by ją poirytował. Siedzę więc samotnie na ławce i bliska płaczu wspominam dawne czasy, kiedy jeszcze byłam w miarę szczęśliwa. Tak, w miarę, bo przecież nie do końca, ale jednak byłam. Teraz po prostu wegetuję, z dnia na dzień, samotna i opuszczona przez wszystkich, nawet przez córkę. Owszem, Sylwia mnie odwiedza, a kilka razy nawet zaprosiła mnie do domu męża, ale nigdy się tam nie zjawiłam. Konrad odpuścił mi to, co zrobiłam, wycofał nawet zarzuty, sprawę załagodźliśmy, zapewne ze względu na to, że ożenił się z moją córką, ale przecież wiem, że w głębi serca nigdy mi nie wybaczył. Tacy jak on nie wybaczą podobnych rzeczy. Drogę do pałacu, w którym żyje moja jedynaczka, mam więc na dobre zamkniętą.

Z eksmężem również się nie spotykam, nie mamy sobie nic do powiedzenia. Oglądam czasem seriale i widzę przyjaźniących się ze sobą byłych małżonków, a później ogarnia mnie smutek. Ja nie umiałabym się z Tomaszem przyjaźnić, za to Sylwia jest z nim teraz całkiem blisko. Zakumplowała się też z Zehrą, chodzą razem na zakupy, na basen, wymieniają się ciuchami. Słowem, moja rodzina widuje się ze sobą za moimi plecami, a ja zostałam sama – myślę i znowu chce mi się płakać.

Wieczorem wchodzę na insta i szukam profilu Anny, ale nie mogę jej znaleźć. Usunęła poprzedni, ten, który obserwowałam przez ostatnie lata, kiedy jeszcze się przyjaźniłyśmy, ale nowego nie założyła. Chyba że ma, ale taki, którego nie potrafię odszukać...

Kolejne tygodnie mijają bez większych zawirowań. Pracuję, wracam do pustego mieszkania, idę spać, wstaję do pracy, wracam do pustego mieszkania... Kołowrót, nuda i beznadzieja.

W dyskoncie spożywczym, w którym pracuję, jest kilka lat ode mnie młodszy facet, Grzesiek. Łysy, z brzuchem i sporą nadwagą, ale z ładnymi brązowymi oczami i niskim radiowym głosem. Podobam mu się, chyba chciałby czegoś więcej i któregoś wieczoru po tym, jak daję

się zaprosić na piwo, prawie pozwalam mu się pocałować, ale w ostatnim momencie odchylam głowę i mówię „nie”.

Nie! Nie, do cholery! Co może mi dać nieudacznik tyrający w spożywcza, z taką samą gównianą pensją, jaką i ja dostaję? – mówię sobie i robi mi się niedobrze. Moje życie jest koszmarem, myślę nocą, samotnie leżąc w łóżku. Czemu trafiają mi się same chujowe rzeczy, podczas gdy Annie to, co najlepsze? – dołuję się. I nagle dociera do mnie coś, co nieco poprawia mi nastrój. Przecież Anna jedzie teraz na tym samym wózku, co ja. Porzucona przez narzeczonego, z powrotem wpadła do nie swojej bajki, myślę i mściwie uśmiecham się w ciemnościach.

– Już nie jest tak bajkowo, prawda, Anno? – szepczę.

Na górze, nad moją głową, trwa impreza. Młot rozstał się z Mrówką i zadaje się teraz z jakąś dwudziestoletnią gówniarą, która nie ma pracy, ma za to trzech braci i wielu kumpli, a całe to towarzystwo regularnie chleje piętro wyżej, nie dając mi spać...

– Ciszej tam, kurwa – mamroczę, wciskając policzek w poduszkę.

Pół godziny później wzywam policję. Mam dość tej zapitej bandy i znudziło mi się bycie miłą, cichą i zgodną sąsiadką, której można bezkarnie nasrać na głowę. Niestety, patrol, który przyjeżdża, niewiele może zdziałać – Młot nawet nie otwiera drzwi, po prostu na chwilę ścisza muzykę, a kiedy psiarnia odjeżdża, na nowo podkręca dźwięk.

Ryczę więc z wściekłości i bezsilności, bo dochodzi druga czterdzieści nad ranem, a ja wciąż nie mogę zasnąć, chociaż przed szóstą mam być w pracy. W końcu wstaję, otwieram kupioną dzień wcześniej flaszkę wódki i pociągam kilka łyków prosto z butelki.

– Pierzone życie – mruczę, chodząc w kółko po pokoju.

Dudniące piętro wyżej basy nasilają jedynie poczucie beznadziei.

Jednak dzień później dzieje się coś, co sprawia, że życie znowu nabiera barw... Wracam z pracy, skracając sobie drogę przez park, i widzę jakieś zbiegowisko. Podchodzę bliżej i okazuje się, że młody rowerzysta niegroźnie potrącił kobietę.

Annę.



Siedzi na betonowym obramowaniu fontanny, płacze. Ma podarte rajstopy, z jej rozciętego kolana sączy się krew. Facet w kasku na głowie stoi nad nią, wyraźnie przestraszony i bezradny, wokół gęstnieje tłum, wszyscy się gapią.

Nie myślę o tym, co robię, to jest impuls. Doskakuję do niej, kucam obok i czule głaszczę ją po twarzy.

– Już dobrze – szepczę.

Na mój widok Anna się krzywi, ale jednak nie każe mi spierdalać, co przyjmuję z ulgą.

Przez chwilę ją pocieszam, później pomagam wstać i odprowadzam do pobliskiej apteki, gdzie miła młoda farmaceutka dezynfekuje i zakleja rozcięcie na jej kolanie.

– Nie jest głębokie, chyba nawet nie musi pani tego szyć. – Uśmiecha się do niej.

– Odprowadzę cię do domu – proponuję, kiedy wychodzimy na zewnątrz.

– Nie musisz. – Anna niemrawo protestuje, ale widzę, że ciągle jest roztrzęsiona i bliska płaczu. – Nie zauważyłam go... Wlazłam prosto pod rower – mówi nagle. – Czy to już starość? – parska nerwowym śmiechem.

– Zamyśliłaś się i tyle. – Posyłam jej krzepiący uśmiech. – Anka, przepraszam cię – dodaję i łapię ją za rękę. – Za to, co zrobiłam, za wszystko. Nie wiem, czemu wbiłam ci nóż w plecy, chyba byłam zazdrosna, czułam się odrzucona. A Konrad... To kurwiarz, widziałam go kiedyś w Latino, zachowywał się okropnie, macał i całował jakieś małolaty.

– Co w żaden sposób cię nie usprawiedliwia. Oskarżyłaś go o molestowanie siedemnastolatki, Iwona! Bezpodstawnie zamieniłaś nasze życie w piekło! Moja córka chciała się zabić po tym, co odpiardoliłaś!

– Martyna chciała się zabić? – Jestem tak zszokowana, że ciemnieje mi w oczach.

– Tak, ale nie chcę do tego wracać. Zresztą wyjechała na studia do Krakowa i obecnie ma się świetnie. Poznała nowego chłopaka, jego rodzina traktuje ją jak rodzoną córkę, opiekuje się nią i póki co jestem o nią spokojna – mówi Anna, a po chwili dodaje coś zaskakującego: – I nagle zostałam całkiem sama.

– To tak jak ja – mówię cicho, a w moich oczach pojawiają się łzy. – Całkiem sama – dodaję i zaczynam płakać. – Przepraszam, ostatnio mam fatalny nastrój. – Macham ręką i ocieram policzki, a Anna gładzi mnie po plecach.

– Dziękuję, że mnie odprowadziłaś – mówi, kiedy zatrzymujemy się przed jej kamienicą.

– Dobrze ci się tu mieszka? – pytam, gorączkowo szukając pretekstu do podtrzymania rozmowy. – Jakie duże balkony – zachwycam się, a ona lekko się uśmiecha.

– Nie najgorzej – odpowiada. – Na pewno lepiej niż w mieszkaniu siostry.

Wtedy pytam, czy mogę wejść. Chcę zobaczyć, jak się urządziła, mówię, i napić się wody.

Anna wyraźnie się waha.

– Między nami już nigdy nie będzie tak, jak dawniej, Iwona – stwierdza cicho. – Chociaż czasem wciąż zdarza mi się za tobą tęsknić, co bardzo mnie dziwi. Po tym, co mi zrobiłaś...

– Nie chciałam cię zranić. Po prostu mi się wymykałaś i byłam zrozpaczona – wyznaję, a ona z politowaniem kręci głową.

– Więc zemściłaś się, bo ci się wymykałam?

– Bo zaślepiła mnie zazdrość – przyznaję szczerze. – Czułam się odrzucona, opuszczona i bezwartościowa. Myślałam tylko o tym, jaka dzieli nas przepaść. Ty miałaś wyjść za milionera, ja utknęłam w moim życiu, którego nienawidzę. To, co ci zrobiłam, jest niewybaczalne. Ale zrobiłam to dlatego, że zawsze byłaś dla mnie ważna. Nie wiem, czy to ma sens? – tłumaczę się, chociaż przecież prawda jest nieco inna.

Tak, zrobiłam to z zazdrości, ale działałam wtedy z premedytacją i chciałam, żeby Anna cierpiała.

– Jestem potworem – mówię cicho, po czym siadam na krawężniku i szlocham.

Anna, poruszona moimi słowami, siada obok i przez chwilę milczymy.

– Nie jesteś potworem – odzywa się w końcu. – Jesteś po prostu zagubiona i masz wiele emocjonalnych problemów, które powinnaś przepracować z dobrym terapeutą.

– Chcesz powiedzieć, że jestem pierdolnięta? – pytam, a ona parska śmiechem.

– Szczerze? Jeszcze jak! – mówi i nagle obie się śmiejemy.

– Tęskniłam za tobą – mówię szeptem, a ona wyciąga rękę i gładzi mnie po policzku.

– Ja za tobą też. Mimo wszystko...

Dwie minuty później jesteśmy w jej mieszkaniu, gdzie z butelką taniego wina siadamy na sofie. Początkowo obie pozostajemy ostrożne, rozmowa jest bolesna, mamy w sobie wiele żalu, ale po kilku kieliszkach jest jak kiedyś – mówimy o facetach, córkach, za którymi obie tęsknimy, znajomych ludziach i życiu, a kiedy wino na dobre szumi nam w głowach, włączamy jedną z ulubionych komedii romantycznych Anny i podjadając ciasteczka, oglądamy film. Jak kiedyś, w naszych najlepszych czasach.

Kolejne tygodnie są dobre. Spotykamy się regularnie, jeździmy razem na rowerach, robimy sobie paznokcie i nie możemy się nagadać.

Znowu mam Annę tylko dla siebie, jej samotność jest moim błogosławieństwem, pozwala mi spędzać z nią mnóstwo czasu, jest jak najpiękniejszy prezent, który odmienia moje nudne, szare życie.

A Anna jest obecnie bardzo samotna i już nawet tego nie ukrywa. Tęskni za byciem w związku, ale jakoś nikt się jej nie trafia. W przyływie desperacji chce nawet wrócić do byłego męża, ale okazuje się, że on już kogoś ma.

– A jeśli tak będzie już zawsze? – pyta mnie któregoś dnia, kiedy siedzimy na balkonie w jej mieszkaniu i podjadamy orzeszki. – Jeśli już na zawsze zostaniemy same? Bez facetów, bez miłości, dwie samotne, starzejące się kobiety – mówi, a w jej sarnich oczach pojawiają się łzy. – Tęsknię za miłością. Za spaniem w jednym łóżku z mężczyzną, za seksem, podróżami, wspólnym gotowaniem. Kiedy jestem sama, więdnę. – Krzywi się.

– Masz mnie – mówię. – Przecież fajnie nam razem. Mamy wino, filmy, spacer, czekoladę – wymieniam, a ona przewraca oczami.

– To nie to samo. – Wzrusza ramionami. – Przecież dobrze wiesz, że to nie to samo. Gdzie popełniłam błąd, Iwona? W którym miejscu źle skręciłam, że teraz tkwię tu samotnie, w tym mieszkaniu? Może powinnam była wrócić do Macieja, kiedy jeszcze tego chciał? Odrzuciłam go i mam za swoje... Sama jak palec, z pierwszymi siwymi włosami na skroniach.

– Bzdury opowiadasz! – obruszam się. – Jesteś piękna!

– Jestem samotna – szepcze Anna, więc ją przytulam i długo trzymam w ramionach.

– Możemy przecież razem zamieszkać – proponuję, a ona nieruchomieje.

– Co? – pyta i parska śmiechem, zupełnie jakbym powiedziała coś niedorzecznego.

– Mówię, że możemy razem zamieszkać. Tu masz sporo miejsca, albo wynajmijmy wspólnie coś większego i...

– Nie chcę z tobą mieszkać, Iwona – wchodzi mi w słowo Anna i wyswobadza się z moich ramion. – Pocięło cię?

– Czemu to takie dziwne? Przyjaźnimy się, jesteśmy dla siebie wsparciem – bronię się, urażona do żywego jej reakcją.

– Nie jesteśmy aż tak blisko, żeby razem mieszkać. Zresztą lubię być niezależna i nie chciałabym dzielić mieszkania nawet z siostrą.

– Nie jesteśmy blisko? – powtarzam.

– Po tym, co mi zrobiłaś? Nie.

– Myślałam, że mi wybaczyłaś.

- Wybaczyłam, ale wyciągnęłam wnioski.
- Wnioski? Jakie? Że jestem toksyczna i trzeba mnie trzymać na dystans? – pytam ostro.
- To ty powiedziałaś, nie ja.
- Ale tak myślisz?! – wybucham, a Anna wzdycha.
- Nie chcę się z tobą kłócić, Iwona. Jestem zmęczona – rzuca ugodowym tonem. – Ale tak, bywasz toksyczna.
- Co tu w takim razie robisz? Czemu siedzę na twoim balkonie i piję z tobą wino?
- Dobre pytanie. – Moja przyjaciółka blado się uśmiecha i lekko wzrusza ramionami. – Myślę, że łączy nas coś, co jest dla nas dobre tylko wtedy, kiedy obie czujemy się samotne i przegrane. Ale kiedy tylko zaczyna mi się lepiej powodzić, nie radzisz sobie z tym.
- Naprawdę tak o mnie myślisz? – Jej słowa mnie ranią, sprawiają, że chce mi się płakać.
- Taka jest prawda, Iwona. A co do wspólnego mieszkania, i tak pewnie niedługo stąd wyjadę – mówi nagle, a ja zastygam w bezruchu, mając nadzieję, że się przesłyszałam.
- Wyjedziesz? – pytam, uchylając usta ze zdumienia. – Dokąd?
- Do Londynu. Mam tam przyjaciółkę, z którą kiedyś studiowałam. Właśnie się rozwiodła i szuka współlokatorki.
- Przed chwilą mówiłaś, że z własną siostrą nie mogłabyś mieszkać, a teraz...
- Z Julią będę mogła. Julia była mi kiedyś znacznie bliższa niż moja siostra. – Anna wchodzi mi w słowo i szeroko się uśmiecha, zapewne na myśl o swojej tajemniczej przyjaciółce, o której ani razu mi nie wspomniała.
- Chcesz mnie zostawić? – pytam, a w moim głosie pojawia się histeryczna nuta.
- Zostawić? Ślubu chyba nie mamy, co? – Uśmiecha się złośliwie i nagle dociera do mnie to, czego wcześniej nie zauważałam.
- Ona wcale mi nie wybaczyła. Chciała tylko się mną pobawić, dopuściła mnie do siebie, żeby zagrać na nosie i znów upokorzyć.

Otworzyłam się przed nią, przeprosiłam ją i ponownie oddałam jej całą siebie, a ona chce tak po prostu wyjechać?!

Nie, Anno, tym razem nie pozwolę ci odejść, mówię sobie w duchu. Za bardzo za tobą tęsknię, kiedy nie ma cię w pobliżu, i bez względu na wszystko zatrzymam cię przy sobie. Może jeszcze nie potrafisz mi zaufać, ale to też się zmieni. Teraz, kiedy zostałyśmy same, mamy tylko siebie. Może jeszcze nie dostrzegasz tego tak wyraźnie jak ja, ale zobaczysz.

Mnie się nie porzuca, Anno.

Już nie.

– Nie chcę, żebyś leciała do Londynu – mówię, a ona parska śmiechem.

– Wybacz, ale raczej nie pytam cię o zgodę.

– Jesteś taką pieprzoną egoistką – zarzucam jej, a ona śmieje się jeszcze głośniej i kokieteryjnym gestem poprawia włosy.

– Nie, dopiero się uczę, jak nią zostać – cedzi.

Wychodzę od niej z płaczem, cała się trzęsę.

– Właśnie sobie przypomniałam, jak nie znosiłam tych twoich histerycznych reakcji – żegna mnie Anna. – Zdzwoniemy się. A teraz nie rób dram, jak mawiają nasze córki – dodaje, ale wcale nie jestem pewna, czy jeszcze ją zobaczę.

W bramie jej kamienicy wybucham histerycznym szlochem i długo nie mogę się uspokoić. Muszę zrobić coś, żeby ją zatrzymać.

Problem polega na tym, że nie mam pojęcia co...

**28**  
**ANNA**

Czuję dym. Jest wszędzie – wnika do mojej sypialni przez szczelinę pod drzwiami, jego szary woal unosi się pod sufitem, gryzie mnie w gardle, wyciska z oczu łzy. Kręcę się w ciemnościach, spanikowana i przerażona, chcę zapalić światło, ale nie mogę znaleźć włącznika na ścianie. Odnajduję jednak drzwi i chwytam za klamkę, od razu cofając poparzoną dłoń – metal jest gorący, ogień musi już trawić pozostałą część mieszkania. Chcę krzyknąć, ale nie umiem wydobyć z siebie głosu przez zaciśnięte paniką gardło. Jestem w płonącej pułapce, nie wyjdę z tego żywa, zdaję sobie sprawę. Później usiłuję otworzyć okno. Chcę zaczerpnąć powietrza, nie myślę teraz o tym, że tlen może podsycić szalejący tuż obok ogień. Chcę żyć, pragnę tylko się stąd wydostać. Szarpię za okienną klamkę, która nie chce ustąpić, a za moimi plecami, z suchym trzaskiem pękają drewniane drzwi – jęzory ognia wślizgują się do sypialni, zachłannie liżą tapetę, suną wzdłuż regału z książkami, zajmują fotel z wysokim zagłówkiem. Uderzam dłońmi w okienną szybę, chcąc ją rozbić, zwrócić na siebie uwagę kogoś, kto być może przechodzi akurat ciemną ulicą na dole i wezwie pomoc. Moja komórka jest w kuchni, zapewne ogień zdążył już ją stopić, teraz telefon jest jedynie kawałkiem zniekształconego, kompletnie bezużytecznego plastiku...

Ratunku! – krzyczę w myślach, bo wciąż nie umiem wydobyć z gardła głosu.

Ogień nieprzyjemnie syczy, za moimi plecami coś trzaska, na podłogę spada nadpalona ramka ze zdjęciem. Sekundę później zajmuje się dywan, pożar mnie osacza, nieuchronnie się zbliża. Kulę się w kącie pokoju, tam, gdzie nic jeszcze nie zdążyło zająć się ogniem, ale

płomienie są coraz bardziej żarłoczne, trawią na swojej drodze wszystko, bezpowrotnie opanowały mieszkanie. Ktoś musiał już coś zauważyć, straż na pewno jest w drodze, pocieszam się, zanosząc jednocześnie kaszlem. Dym jest gryzący, bezlitosny – nawet skulona tuż przy podłodze zaczynam się dusić. W końcu udaje mi się wrzasnąć – krzyczę ochryple, przeciągle, bez końca.

Sekundę później się budzę – złana potem, przerażona, na granicy hysterii.

Sen! To był tylko cholerny koszmar, zdaję sobie sprawę, w panice siadając na łóżku i zapalając nocną lampkę. W mieszkaniu jest cicho i ciemno, ale długo nie mogę się uspokoić. Koszmar był tak realistyczny, że jeszcze chwilę po przebudzeniu wydaje mi się, że czuję spaleniznę – mój mózg wyraźnie sobie ze mną pogrywa.

– Jezu... – szepczę, odrzucam na bok kołdrę i wstaję z łóżka, żeby czegoś się napić.

Gardło mam wysuszone, serce wciąż niespokojnie szarpie się w mojej piersi. Zanim zapalam światło w kuchni, podchodzę do okna i przez dłuższą chwilę wpatruję się w słabo oświetlone parkowe alejki za moją kamienicą.

Iwona. Wszystko przez tę chorą sukę!

Przed południem wyjeżdżam, samolot mam o jedenastej dwadzieścia, na lotnisku powinnam być koło dziewiętej. Wiedziała, że to moja ostatnia noc w kraju i odwiedziła mnie wczoraj po dwudziestej pierwszej, pijana.

– Nie zostawiaj mnie – bełkotała, kiedy zrobiłam ten błąd i wpuściłam ją do mieszkania.

Później zaczęła szlochać, krzyczała, że ma tylko mnie, groziła mi nawet samobójstwem.

– Zabiję się, jeśli mnie zostawisz! – wykrzyczała mi prosto w twarz, ale nie zrobiło to już na mnie wrażenia.

– Musisz poszukać pomocy, sama sobie nie poradzisz – powiedziałam jej tylko, dodając, że nie czuję się już za nią odpowiedzialna.

Już nie...



Zanim wyszła, rzuciła mi się na szyję i objęła tak mocno, że dosłownie zeszytniałam w jej ramionach.

Była spocona, cuchnęła i budziła we mnie wstręt.

– Puść – powiedziałam kilka razy i w końcu się ode mnie odlepiła. – Muszę się kłaść, rano jadę na lotnisko – dodałam, a ona spojrzała na mnie z takim bólem w oczach, że aż się wzdrygnęłam.

– Wyjeżdżasz teraz, kiedy ponownie ci zaufałam – rzuciła na koniec. – Robisz to po to, żeby złamać mi serce.

– Robię to, bo trafiła mi się okazja, Iwona! Bo nic mnie tu nie trzyma, a chciałabym jeszcze przeżyć coś fajnego! Bo znam angielski i wiem, że Londyn będzie świetną przygodą. Bo moja córka w końcu radzi sobie sama, a ja chcę zrobić coś dla siebie. Nie ma to nic wspólnego z tobą! – wrzasnęłam.

– Odezdziesz się do mnie stamtąd? – zapytała cicho Iwona, a ja miałam ochotę ją uderzyć, bo skamlący ton jej głosu sprawiał, że czułam do niej wyłącznie przemieszane z litością obrzydzenie.

– Nie wiem – burknęłam, nie mając zamiaru niczego jej obiecywać.

– Nienawidzę cię – załkała.

Chwilę później wybiegła z mojego mieszkania, a ja z ulgą zatrzęsłam za nią drzwi i parokrotnie sprawdziłam, czy są zamknięte.

Rąbnięta wariatka, pomyślałam ze złością, ale przecież wiedziałam, że dużo w tym wszystkim mojej winy. Kiedy podeszła do mnie tamtego dnia i pomogła mi opatrzyć rozcięte kolano, postanowiłam się nią zabawić. Nie wybaczyłam jej tego, co zrobiła mnie i mojej córce. Jak mogłabym? Pozwoliłam jej jeszcze na trochę się do mnie zbliżyć, świetnie wiedząc, że wyjeżdżam i niebawem bez cienia sentymentu ją porzucę. Powiedziałam jej o Londynie niemal przed samym wyjazdem, choć zaproszenie od Julii dostałam kilka tygodni wcześniej. Iwoną chciałam się jedynie zabawić, upokorzyć ją po tym, jak ona upokorzyła mnie, zagrać na jej emocjach. Sama byłam sobie winna, że teraz mnie nachodziła, taka prawda...

Esemes od niej przyszedł kwadrans później.

„Żałuję, że nie spaliłam cię żywcem, kiedy miałam okazję! Jesteś niewdzięczną suką!” – napisała.

Jej słowa mnie przeraziły. Dosłownie mnie zmroziło. Kiedy miała okazję spalić mnie żywcem? – zastanawiałam się przez dłuższą chwilę, a później do mnie dotarło, że przecież zdarzało jej się spędzać noc pod moim dachem, wyjeżdżałyśmy razem nad jezioro. Więc o tym wtedy myślała, udając moją przyjaciółkę? Tak chore miała urojenia? Psychopatka! Tak, ona nie jest tylko pierdolnięta, stała się niebezpieczna!

W pierwszej chwili chciałam skasować wiadomość od niej, pomyślałam jednak, że ją zostawię. Na wypadek, gdybym jeszcze kiedyś miała z tą jebniętą dziwką do czynienia, będzie co pokazać policji...

Ale teraz wyjeżdżam i myślę już tylko o tym. Dochodzi piąta czterdzieści nad ranem, panika spowodowana koszmarnym snem powoli mnie opuszcza i czuję już głównie podekscytowanie związane z wylotem. Wczesnym popołudniem będę w Londynie – dociera do mnie.

Uśmiecham się do siebie, parząc poranną kawę. Już nie zasnę, zresztą nie zamierzam się kłaść z powrotem. Pokręcę się po mieszkaniu, wezmę długą kąpiel, zjem dobre śniadanie.

Chwilę później znowu wyglądam na ulicę, zdając sobie sprawę, że gdzieś w głębi serca nadal odczuwam niepokój. Kobieta, którą przez kilka lat uważałam za kogoś bliskiego, marzyła o tym, żeby spalić mnie żywcem... Takie odkrycie może sprawić, że człowiek traci poczucie bezpieczeństwa. Nie mogę przestać o tym myśleć.

Przez chwilę zastanawiam się, jak zdiagnozowałby Iwonę dobry psychiatra, ale wiem, że zbyt mało się na tym znam, żeby tracić czas na tego typu rozważania. Moja diagnoza jest prosta i niezwykle celna – Iwona jest ostro pierdolnięta, tyle w temacie.

Do przyjazdu taryfy jestem bardzo niespokojna. Nieustannie nasłuchuję kroków na schodach, co chwilę na przemian zerkam przez wizjer i podchodzę do okna, nie mogę znaleźć sobie miejsca.

W taksówce nieco się odprężam, ale lotnisko mnie przeraża. W tłumie obcych twarzy czuję się bezbronna, dwa razy wydaje mi się, że widzę Iwonę, a kiedy ktoś trąca mnie łokciem, niemal panikuję. Dopiero po odprawie udaje mi się wyciszyć.

Siadam w sali odlotów i głęboko oddycham z ulgą. Iwony tu nie ma, nie może jej tu być. Nie leci przecież ze mną do Londynu, mówię sobie w duchu.

Julia przyjeżdża po mnie na lotnisko, tak jak się umawialiśmy.

Jej widok przywołuje tyle pięknych wspomnień ze studenckich czasów, że gdy całuję ją na powitanie, mam w oczach łzy.

– Nic się nie zmieniłaś – zachwycam się, widząc, że wciąż nosi rozmiar trzydzieści sześć i spina grube i lśniące rude włosy w wysoki kucyk, który śmiesznie kiwa się na boki, kiedy przyjaciółka idzie.

Ona nazywała tę fryzurę końskim ogonem, co zawsze mnie bawiło.

– Ty też, kochana. Nic a nic! – zapewnia mnie Julia, kiedy zmierzamy w stronę jej samochodu.

Idę kilka kroków za nią i ciągnąc za sobą olbrzymią walizkę, przyglądam się jej ciuchom. Ma na sobie wąskie białe džinsy, zdobione kolorowymi kamykami zamszowe botki w kolorze czerwonego wina i bluzkę z połyskliwego materiału, na którą narzuciła kamizelkę ze sztucznego futra. To znaczy mam nadzieję, że jest sztuczne, bo myśl o innej opcji jest dla mnie nie do przyjęcia.

Jeździ sportowym audi. Samochód musiał kosztować majątek, ale pasuje do niej.

W aucie niewiele mówimy. Jest duży ruch, Julia skupia się na prowadzeniu, ja odpoczywam po podróży i zastanawiam się, co dalej.

Dopiero kiedy docieramy w jej okolicę, przyjaciółka się rozgaduje.

– Tutaj zaraz jest słynna Portobello Road. Wiesz, serce Notting Hill, ta ulica ze słynnym targiem staroci. Jeśli oglądałaś film z Julią Roberts...

– Oglądałam – mówię, a ona parkuje przed jedną z otynkowanych na pastelowo kamieniczek i posyła mi szeroki uśmiech.

– Jesteśmy – oznajmia, wyjmując kluczyki ze stacyjki.

– Mieszkasz w Notting Hill? – Z wrażenia dosłownie mnie zatyka.

Przecież jej ostatni adres, na który wysyłałam świąteczne kartki, to była jakaś peryferyjna dzielnica Londynu, na pewno nie ta kultowa okolica.

– Tak wyszło. – Julia uśmiecha się lisio, na twarzy ma wypisany wyraz triumfu, którego nie zamierza chyba nawet ukrywać.

Jest z siebie zadowolona, widać, że wiele osiągnęła i jest w dobrym miejscu.

– Jakim cudem udało ci się tu coś wynająć? – dziwię się.

– Kochana, ja nie wynajmuję. Kamienica jest moja. Powiedzmy, że dobrze wyszłam finansowo na rozwodzie z tym bucem Jamesem – rzuca chełpliwym tonem, a ja przez chwilę się zastanawiam, czy nie powinnam była przyjąć oferty Konrada.

Ale nie. Nie! Nie chciałam nic od tego dupka i nie powinnam nawet tak myśleć. Niech sobie wsadzi tę swoją kasę. Aż krzywię się na te myśl.

– Wchodź – mówi, przepuszczając mnie w drzwiach. Przekraczam więc próg należącej do niej kamienicy i trafiam do wąskiego korytarza, który jednak jest urządzone tak wystawnie, że robi na mnie wrażenie.

Przy drzwiach wykuszowe okno, dalej, pod schodami, regały z bibelotami, na ścianie obrazy. Wszystko jasne, zadbane, starannie dobrane kolorystycznie. Salon na parterze ma dużą powierzchnię i również jest urządzone z niezwykłym smakiem. Lustro, kominek, kryształowe żyrandole. Dom jest kobiecy, elegancki i bardzo glamour.

– Pięknie tu – mówię, a Julia lekko się uśmiecha.

– Dzięki – mówi i rzuca torebkę na sofę, a ja zauważam, że to Prada i z całą pewnością nie podróbka. – Czego się napijesz? – pyta.

– Nie wiem, wody?

– Daj spokój, wodę piją krowy. Mam prosecco, świetnego szampana, wódkę i gin.

– W takim razie otwórzmy szampana – proponuję. – Tyle czasu się nie widziałyśmy. – Uśmiecham się, a ona do mnie mruga.

– Wszystko nadrobimy – obiecuje. – Już dziś wpadamy na imprezę do Paolo, znajomego stylisty, który zna dosłownie cały Londyn. Ale najpierw cię ubiorę i zrobimy coś z twoimi włosami. – Julia lekko się krzywi, a ja posyłam jej pytające spojrzenie.

– Co jest nie tak z moimi włosami? – dziwię się, bo przecież niedawno przycięłam je do ramion, a rano umyłam i wymodelowałam na szczotce.

– Wszystko, kochana! Brakuje im pazura i modnego cięcia, ale nie martw się! W salonie Paola zajmą się tobą jeszcze dziś, dla stałych klientek zawsze znajdą miejsce, zapiszę cię jako siebie.

– Nie mam dużo kasy, Jula – przyznaję cicho. – No wiesz, żeby...

– Na mój koszt. – Koleżanka lekceważąco macha ręką. – Idę po tego szampana.

Pijemy na niewielkim balkonie, z którego widzimy pełen zieleni skwerek i ściany stojących naprzeciwko kamienic.

– Pięknie tu i tak spokojnie – mówię.

– Fakt, to dobre miejsce do życia. Czuję się tu tak... Sama nie wiem, jak to ująć... Filmowo? – Julia wybucha perlistym śmiechem i upija kilka łyków szampana. – Umieram z głodu – dodaje.

– Więc zjedz coś – radzę jej, a ona patrzy na mnie jak na wariatkę.

– Żartujesz? To ciało wymaga poświęceń. – Głodzi się po idealnie płaskim brzuchu i puszcza do mnie oko. – Liposukcja, cztery miesiące temu. Efekty są całkiem niezłe, ale pewnie za jakiś czas będę musiała powtórzyć.

– Zawsze miałaś i nadal masz niezłą figurę, po co ci to? – dziwię się.

– Tu jest Londyn, dziecinko. Tu niezła figura nie wystarczy. Tu trzeba być idealną – mruczy, po czym łapie mnie za sadełko w talii i parska śmiechem. – Tłuszczoszku, coś musimy z tobą zrobić – dodaje.

– Przecież jestem szczupła – bronię się.

– Chyba w twoich marzeniach. Jutro umówię cię z moją dietetyczką, ale mniejsza z tym. Witaj w mojej bajce. – Mruga do mnie Julia i dolewa nam szampana. – Za przyjaźń – dodaje.

– Za przyjaźń – powtarzam, choć nagle mam wrażenie, że jest w niej coś nieszczerzego.

Kiedy zaprosiła mnie do Londynu, pisząc, że szuka współlokatorki, byłam pewna, że po rozwodzie chce coś wspólnie wynająć. Ale ona nie potrzebuje ani kasy, ani kogoś, kto się z nią zrzuci na czynsz. Ona chce się przede mną pochwalić, dociera do mnie, i nagle zdają sobie sprawę, że w tym układzie to ja jestem Iwoną. Gorszą, brzydszą i mniej zaradną przyjaciółką, przy której Julia świeci blaskiem prawdziwej i bezkonkurencyjnej gwiazdy.

– Chodź, pokażę ci resztę domu. – Dawna uczelniana koleżanka ciągnie mnie na górę i robimy rundkę po sypialniach, bibliotece, pokojach gościnnych i dwóch przestronnych garderobach.

– Versace, Versace, Gucci, Prada, Prada, Armani, Versace. – Julia przesuwając na wieszakach wieczorowe suknie, głośno wymawiając nazwy znanych marek, a ja zagryzam wargę, żeby nie powiedzieć jej czegoś złośliwego.

Zmieniła się. Kiedyś była radosną, inteligentną laską, z którą można było o wszystkim pogadać i pić tanie wino do białego świtu. Dziś sprawia wrażenie zepsutej snobki, poza tym jest w niej coś sztucznego. Zachowuje się jak robot, zamieniła się w lalkę Barbie – ofiarę współczesnego konsumpcjonizmu i dążenia do z trudem osiąganego ideału.

– Mam idealne życie, prawda? – rzuca niby żartem, ale ton jej głosu jest chełpliwy.

– Prawie – mówię, a ona unosi brwi.

– Prawie? – parska. – A czegoś mi jeszcze brakuje?

Miłości, prawdziwych przyjaciół i odrobiny taktu, myślę.

Głośno jednak żartuję, że oczywiście do szczęścia brakowało jej mnie, a ona wybucha perlistym, teatralnym śmiechem i głaszcze mnie po głowie.

– Coś strasznego te twoje włosy. Cięłaś się w salonie pani Ziuty za monopolem? – rzuca i zaśmiewa się ze swojego dowcipu. – Ale to nic,

Paolo zrobi z tobą porządek. Później zabiorę cię na jakieś zakupy, zjemy wczesną kolację i poczujesz, że jesteś w Londynie.

– Przecież ty żywisz się wyłącznie szampanem – wbijam jej lekką szpilę, ale nawet nie dostrzega mojego sarkazmu.

– Odrobina kawioru dziewczynie nie zaszkodzi – mruga do mnie.

– Fakt. Pójdę się odświeżyć, masz coś przeciwko? – pytam, bo nagle chcę tylko móc chociaż na chwilę odpocząć od jej natrętnej paplaniny.

Jest wyraźnie samotna, nawet z tą wielką kasą nikogo do siebie nie przyciągnęła i chce się wygadać moim kosztem. A mnie aż boli głowa i już teraz, po jakichś dwóch godzinach spędzonych w jej towarzystwie, mam jej po prostu dość. Tego jednak nie powiem, byłabym idiotką. Jej dom jest idealnym miejscem na nowy początek, zwłaszcza że ponoć mogę tu mieszkać za darmo, dotrzymując jej towarzystwa. Zanudzi mnie na śmierć swoim gadaniem o ciuchach, butach i wizytach u fryzjera, ale cóż... W życiu trzeba czasem iść na kompromisy, mówię sobie w duchu.

Później zamykam się w elegancko urządzonej, olbrzymiej gościnnej łazience, odkręcam wodę i czekając, aż wanna wystarczająco się napełni, z błogością przymykam oczy.

Londyn. Miliony nowych miejsc, setki możliwości dostania ciekawej oferty pracy, dziesiątki tysięcy potencjalnych kandydatów na nowego faceta. Unoszę głowę, patrzę w olbrzymie lustro w złoconej ramie i uśmiecham się do siebie. Julia może sobie robić uszczypliwe żarciki na temat mojej niemodnej fryzury, ale akurat tego dnia czuję się bosko. W Polsce dopadł mnie jakiś kryzys, miałam wrażenie, że jestem stara, samotna i nikomu niepotrzebna, ale tu... Tu kobiety po czterdziestce śpią z dwudziestokilkulatkami. Tu jest tyle możliwości.

– Kochana, wszystko w porządku? – Julia puka do drzwi łazienki, kiedy siedzę w wannie.

– Tak, jasne! – odkrzykuję.

– Mogę wejść?! Chciałam ci o czymś opowiedzieć! – szczebiocze.

Odczep się, myślę, bo naprawdę chwilowo mam jej dość, ale ona już naciska klamkę.

– Nooo, ale cycki wciąż masz całkiem niezłe – rzuca z uznaniem, zanim przysiadła na sedesie. – Słuchaj, a może miałybyś ochotę jechać ze mną pojutrze do Oksfordu? Muszę się z kimś spotkać, a samej tak mi się nie chce...

– Jasne, czemu nie? – zgadzam się, bo przecież nie mam jeszcze żadnych planów.

Julia posyła mi szeroki uśmiech, pochyla się i całuje mnie w czubek głowy.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że przyleciałaś – mówi, zanim zaczyna paplać o jakimś inżynierze z Algierii, z którym niedawno się przespalała.

Słucham jednym uchem, raczej średnio zainteresowana jej erotycznymi podbojami. W głowie układam sobie za to plan dla siebie. Znaleźć ciekawą pracę, zacząć chodzić na randki, zakochać się, zamieszkać z facetem – wyliczam w myślach.

Tak, znalezienie odpowiedniego faceta to klucz do sukcesu. Dzięki temu wyniosę się od Julii i jeszcze raz spróbuję ułożyć sobie życie.

Wizyta u Paolo okazuje się całkiem owocna – londyński fryzjer cieniuje mi włosy w sposób, który mnie zachwyca. Później wpadamy na szybkie zakupy do ulubionych butików Julii, w końcu siadamy w jednej z włoskich restauracji słynącej ponoć z świetnej kuchni rzymskiej.

– Nie oglądaj się, ale gapi się na ciebie całkiem przystojny koleś – zauważa Julia, kiedy siadamy przy stoliku.

Oczywiście, wbrew jej prośbie zerkam do tyłu i posyłam gościowi kokieteryjny uśmiech. Ma obrączkę, więc wykluczam ciąg dalszy, ale jego zainteresowanie jeszcze bardziej poprawia mi nastrój.

Będę tu szczęśliwa. Zrobię wszystko, żeby znaleźć w Londynie swoje miejsce. Obiecuję to sobie wieczorem i bez cienia wahania wyjmuję kartę polskiego operatora z telefonu. Córce, byłemu mężowi i kilku



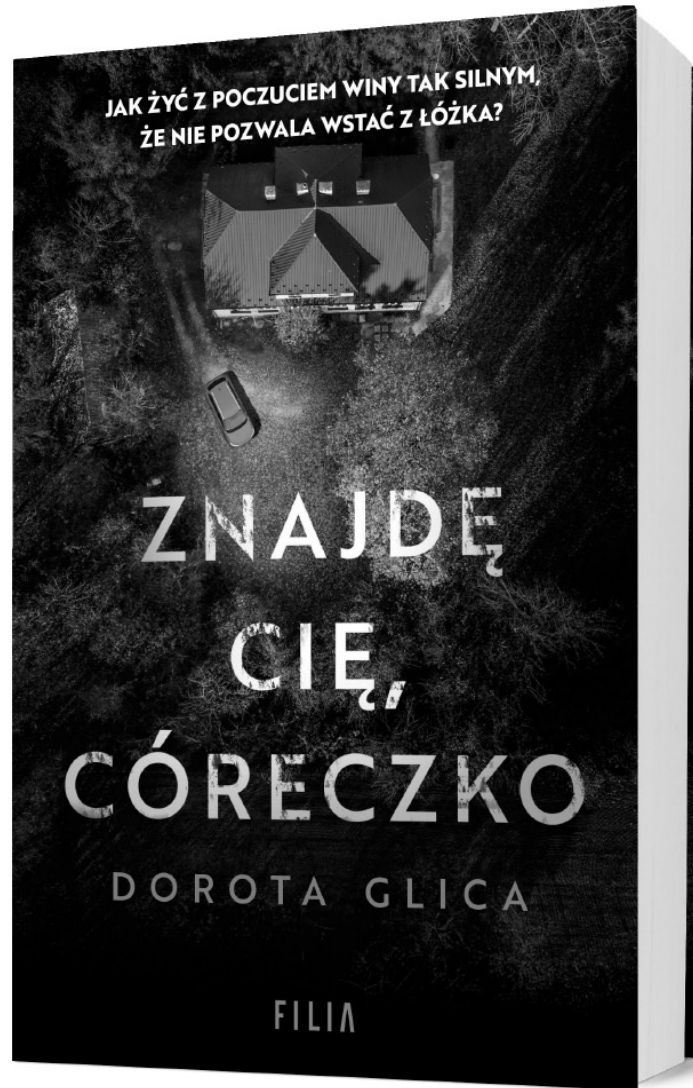
innym, wciąż dla mnie ważnym, osobom na dniach podam angielski numer. Reszta świata mnie nie interesuje.

Żegnaj, Iwono.

Witaj, Julio.

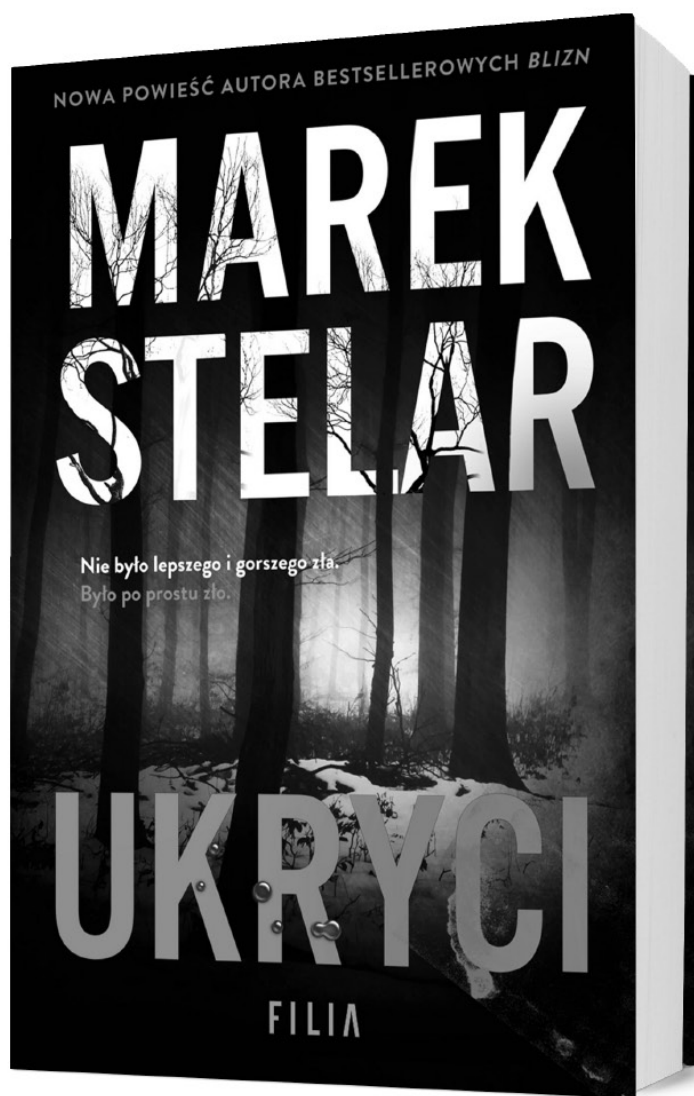
**KONIEC**

PIĘĆ MINUT, TAK NIEWIELE, A WYSTARCZYŁO,  
ŻEBYM STRACIŁA WSZYSTKO:  
IDEALNIE POUKŁADANE ŻYCIE, SZCZĘŚLIWE  
MAŁŻEŃSTWO, CÓRKĘ.



**FILIA**

Nie było lepszego i gorszego zła.  
Było po prostu zło.



**FILIA**

## **SPIS TREŚCI**

Karta tytułowa

Cytat

1. IWONA
2. ANNA
3. IWONA
4. ANNA
5. IWONA
6. ANNA
7. IWONA
8. ANNA
9. IWONA
10. ANNA
11. IWONA
12. ANNA
13. IWONA
14. ANNA
15. IWONA
16. ANNA
17. IWONA
18. ANNA
19. IWONA
20. ANNA
21. IWONA

- 22. ANNA
- 23. IWONA
- 24. ANNA
- 25. IWONA
- 26. ANNA
- 27. IWONA
- 28. ANNA

Reklama 1

Reklama 2

Karta redakcyjna

Copyright © by Sonia Rosa, 2022  
Copyright © by Grupa Wydawnicza FILIA, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2023

Projekt okładki: Marcin Słociński / monikaimarcin.com  
Zdjęcie na okładce: © Magdalena Russocka / Trevillion Images

Redakcja: Kamila Reclaw  
Korekta: MAQ PROJECTS: Marta Akuszewska, Anna Kozar  
Skład i łamanie: Dariusz Nowacki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:  
„DARKHART”  
Dariusz Nowacki  
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8280-584-0

# FILIA

Grupa Wydawnicza Folia Sp. z o.o.  
ul. Kleeberga 2  
61-615 Poznań  
wydawnictwofolia.pl  
kontakt@wydawnictwofolia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona  
mrocznastrona.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.